

221
.....



Ali Baba



BARBARA GORDON

GWIAZDY NA ZIEMI

CZYTELNIK

BARBARA GORDON

GWIAZDY NA ZIEMI



CZYTELNIK 1961

ROZDZIAŁ 1

SYRENY

W mieszkaniu Lendów na drugim piętrze zgasło światło.

- Znow przepaliły się korki - powiedziała Marianna Lendowa do córki. - Skocz no, Milka, do tego, jak mu tam, nie pamiętam nigdy nazwiska, no, do tego kierowcy piętro niżej, może by co pomógł.

- Ech tam, co też mama! On kiedy pomoże... Żeby mu tak zapłacić grubo, to i owszem. Zresztą - zapalając ręczną latarkę spojrziała na zegarek - późno. Za kwadrans dziesiąta. Pewnie już śpią.

- Spróbuj. Mam dziś jeszcze tyle roboty. Muszę jutro te fartuchy do spółdzielni oddać, bo nie zaliczą na ten miesiąc. Jak tu bez światła...

Mila Lendówna niechętnie zeszła na pierwsze piętro i zastukała. Drzwi otworzyły się natychmiast. Stała w nich drobna, chuda kobieta o zalęknionych oczach.

- Ach, to pani, panno Milu - zaciągała z wileńska. Położyła palec na białych ustach: - Tylko proszę cichutko mówić, bo mój mąż już śpi. Potrzeba coś pani?

- Nie, nie, już nic, jeżeli pani mąż się położył, to już nic, dziękuję - dziewczyna wycofywała się w głąb schodów.

- Czego tam? Kto tam?! - rozległ się z wnętrza mieszkania zachrypnięty głos o twardym brzmieniu.

Na twarzy kobiety odbiła się trwoga. Zrobiła ruch, jak gdyby chciała biec do wołającego człowieka - ale jak tu zostawić drzwi otwarte i stojącą w nich sąsiadkę? Dreptała w miejscu, bezgłośnie otwierając i zamykając usta.

- To ja, proszę pana, Mila od Lendów. Z góry. Korki nam się przepaliły, a Marka nie ma. Żeby tak pan mógł... Mama bardzo by prosiła...

- Dalibyście też spokój po nocy. Śpię, nigdzie nie pójdę. Idźcie sobie rano do administracji - odburknął niegrzecznie męski głos i gwałtownie zajęczały sprężyny łóżka.

- Panna Mila przeprosi mamusię. Ja to, wie pani, ja bym chętnie... Ale nie umiem, nie znam się na tym... - kłopotą się kobieta, cała jednocześnie zwrócona w stronę, gdzie umilkł twardy głos i zaległa cisza. Pomarszczona twarz uśmiechała się z zażenowaniem.

- Przepraszam. Dobranoc. - Mila zawróciła i wchodząc do swojego mieszkania ze złością trzasnęła drzwiami. - Mówiłam mamie, że nic z tego nie będzie. Nieużyty ordynus. Szkoda, że razem ze swoją szanowną rodzinką nie wywędrował do Vaterlandu. Nie musiałabym na tę jego ponurą gębę patrzeć.

- Co też ty, Milcia! - zawołała matka. - Nasłuchasz się głupstw i pleciesz. Taki sam on Polak, jak i my. Tyle że tutejszy. Widzisz, tamci pojechali, a on został.

- Kto tam wie, po co on tu został. Zresztą może mu tu źle? Aż za dobrze. Wielka zasługa! - prychnęła pogardliwie dziewczyna przycinając knot naftowej lampy. - A po ciemku będzie marna dziś przez niego szyła, ho, może nie?

Lendowa westchnęła z rezygnacją i sięgnęła po świecę do szuflady kuchennego kredensu.

- Wróci już dziś Marek z tej wycieczki, to naprawi światło - mruknęła pocieszająco Mila i zabrała się do odrabiania lekcji.

*

Nowobory zapadały w sen. Na pogodnym, wysokim niebie mrugały gwiazdy. Brał mróz. Gasły światła w oknach, najpierw pojedynczo, potem po kilka lub kilkanaście naraz i oto w końcu całe domy znikwały nagle sprzed oczu, chowając się za ciemnością.

Zazwyczaj nie zdarza się nic niezwykłego w porze nocnego spoczynku w niezbyt wielkim mieście, w połowie mroźnej i śnieżnej zimy, gdy gałęzie drzew i krzewów stają się kruche i łamliwe, jak gdyby ulepione zostały z gliny, której nie wypalono, pozwalając jej wysychać do woli na wietrze i mrozie. Soki z nich spłynęły wzdłuż pnia w dół, skryły się i zakrzepły w

najtajniejszych rozgałęzieniach korzeni, a wraz z sokami z rośliny, zdawałoby się, uszło życie.

Ludzie również o tej porze niechętni bywają ożywionemu działaniu. Ciężar zimowej odzieży nie sprzyja sprężystości ruchów. Troska o opał, o żywność, o ubranie dla dzieci i ich stopnie w szkole czyni uśmiechy ludzi bladymi jak leniwe, zimowe słońce. O wiosnie, która odejmie część tych ciężarów, myśli się i mówi niby o progu jakiegoś innego, nowego życia. O ostre słowo zmęczonym ludziom łatwiej. O życzliwość trudniej.

Jeśli wszakże na ogół nie zdarza się nic niezwykłego, nic tak szczególnego, iż stanowić by mogło przedmiot publicznej debaty i zwrócić na Nowobory oczy całego kraju, nie znaczy to bynajmniej, że w Nowoborach nic się nie dzieje ciekawego. W Nowoborach, oczywiście, jak i gdzie indziej, niezależnie od pory roku czy dnia, dzieją się różne ludzkie sprawy, przyjemne lub nieprzyjemne, zamykające się całkowicie w obrębie pewnego odcinka czasu lub brzemienne w długotrwałe skutki tylko dla tych ludzi, których bezpośrednio dotyczą. Przeżycia te i zdarzenia nabierają wagi ogólniejszej dopiero w tym wypadku, jeżeli dadzą się zaklasyfikować jako dana statystyczna, by posłużyć podsumowaniu jakiegoś zjawiska. Ktoś kupił książkę, ktoś po pijanemu pobił żonę, ktoś zmarł na raka, komuś urodziło się dziecko. Jeden poszedł na emeryturę, drugi rozpoczął pracę. Oto i po jednej cyfrze dodać do obliczeń, jaki to mamy stan czytelnictwa w kraju, jaką jest plaga pijaństwo, jaka śmiertelność - a jaki przyrost naturalny. O sumę wypłacaną odtąd co miesiąc pewnemu obywatelowi z Nowoborów podwyższyć trzeba budżet emerytalny, dodać jedynekę do liczby nowo zatrudnionych. W wymiarze codziennym jednak to, co dzieje się w Nowoborach, należy niepodzielnie do tych wyłącznie, których losy kształtuje powszedniość i spleta z dniami miasta.

W Nowoborach ludzie dzielą się zdecydowanie na dwie kategorie. Jedni mają zwyczaj mówić:

- Bo ja, proszę pana, mieszkam w Nowoborach! - i prostują się przy tym z godnością. Spoglądają czujnie w twarz rozmówcy, badając podejrzliwie, czy aby nie dojrzą w jego

oczach iskierki współczucia lub w skrzywieniu ust - lekceważenia.

Drudzy zaś odwracają szyk zdania:

- W Nowoborach mieszkam, proszę pana... - machają ręką ze zniechęceniem i wzdychają.

Przy tym wszystkim myliliby się ten, kto by sądził, że życie miasta płynie leniwie i płyciutko niby wąski strumyk po podmokłej łące. Kilka dużych i sporo mniejszych zakładów przemysłowych dostarcza gospodarce krajowej potrzebnych wyrobów, ludziom zaś miejscowym pracy oraz tematów do rozmów, zmartwień i radości, ponieważ normalną koleją rzeczy tu surowca na czas nie dostarczono, ówdzie nastąpiła awaria maszyny, gdzie indziej znów rozpędzono nareszcie dokuczliwą klikę lub aresztowano pracownika magazynu, który nie wytrzymał próby charakteru i przywłaszczył sobie tonę rurek o średnicy półtora cala - w celu podniesienia osobistej stopy życiowej:

Wiele się w mieście buduje. Powstało całe nowe osiedle na krańcach miasta, zamkniętych niewysokimi, krągłymi jak bochny chleba, pokrytymi ładnym lasem wzgórzami. Nowe, białe domy, świecące wesoło szybami szerokich okien, wydają się szczególnie przyjemne, gdy ogarnia je pomarańczową poświatą zachód słońca. To prawda, że budowniczowie osiedla sknócili to i owo; że drogi pozostawiono w stanie pierwotnym i nieprzydatnym dla pojazdów mechanicznych; że okna otwierają się z trudem, ale za to drzwi zamknąć nie sposób - lecz, mój Boże, Kolumba u wrót Ameryki także jeszcze nie witała Statua Wolności.

W pewnym sensie można sobie pozwolić na podobne zestawienie. Ludzie bowiem, którzy wyruszyli ławą na zasiedlenie okolic, otaczających Nowobory, czuli się z pewnością zdobywcami i odkrywcami Nowego Świata. W puste domy, porzucone przez poprzednich mieszkańców, wnieśli swoje życie, swoje obyczaje, dla siebie stare i zwykłe, dla okolic tych nowe i dziwne. Podobni się stali do ogrodnika, zaszczepiającego na zdziczałym pędzie oczko ścięte ze starego, bujnie kwitnącego różanego krzewu. Z nakładania się na siebie

obu tych starych warstw życia zrodziło się życie nowe, z którego nowości nie zawsze twórcy jego zdają sobie sprawę. Czasami, latem lub wiosną, gdy pogoda zachęca do spaceru, chadzają na cienisty, stary cmentarz miejscowy za kościołem i tam próbują odczytywać napisy, wykute w obcym języku na kamiennych, omszałych marmurowych płytach nagrobków. Wpatrują się w nieznajomy kanciasty kształt liter z taką samą zapewne ciekawością, z jaką nowi osiedleńcy za Oceanem przyglądali się posągom, kutym przez Inków lub Majów.

Zainteresowanie dla tych pamiątek posiada jednak charakter raczej powierzchowny i z biegiem lat przemijający. Nowoborzanie mają już teraz swoich zmarłych, których odwiedzają w pogodne lub poświęcone ich pamięci dni, a zresztą życie odstręcza od wpatrywania się w przeszłość. Życie jest trudne, dość w nim własnych, współczesnych trosk, dość tych problemów, jakie rodzi współżycie między ludźmi przybyłymi do Nowoborów z różnych stron kraju, a nieraz i świata. Jeden „całuje rączki”, inny klnie na to po warszawsku. Dla jednego przysmakiem „świńskie ucho”, dla drugiego ruskie pierogi. Klecą się trudne małżeństwa, niełatwe związki, animozje pomiędzy obecnymi mieszkańcami czasami oporniej zamierają aniżeli między tymi, co tu są, i tymi, co kiedyś tu byli. Dopiero chyba dzieci, które już po wojnie w tym mieście przyszły na świat, podrosły i poszły do szkoły, będą mówić o sobie wszystkie jednakowo: „my z Nowoborów!”.

Dworzec znajduje się na krańcu miasta. Jedzie się do niego małym miejscowym autobusem długą, wysadzaną wysokimi topolami i kasztanami aleją, wzdłuż której ciągnie się miejski park, ongiś należący do dóbr przemysłowo-ziemskiego magnata o bardzo długim nazwisku, rozpoczynającym się pompatycznie od „von und zu”. Prócz tego Nowobory przecina szosa, łącząca odległe wielkie miasta nicią komunikacji autobusowej, co stanowi dla nowoborzan pomyślną okoliczność. Korzystać bowiem mogą w ten sposób zarówno z kolei, jak i dalekobieżnych autobusów. Szosa ta, zanim ostrzem swym wbije się w miasto, rozsuwając na bok niedbałe, pierwsze zabudowania, zanim zginie w płataninie ulic, stając się po

prostu jedną z nich, by odzyskać swą smukłą prostotę i samotność dopiero na drugim krańcu przedmieść i wystrzelić białym biczem prosto w zagłębienie między dwoma wzgórzami - zanim wykona ten skok przez miasto lub może raczej ruch nurka, znikającego pod falą i ukazującego się znów na powierzchni po drugiej stronie wodnej fałdy - krzyżuje się z torami kolei. Miejsce to jest dość oddalone od dworca. Pociąg zdążył już tu nabrać szybkości, niezbędnej dla punktualnego przybycia do następnej węzłowej stacji. Przejazdu strzeże szlaban. Podnosi i opuszcza swe długie, patykowate ramię gestem uroczystym, mającym w sobie coś z dworskiego ceremoniału lub ze spraw ostatecznych. Zakaz, przezeń wyrażany, jest jednoznaczny, nieodwołalny i nieubłagany. Przyzwolenie, jeśli go udziela, może zostać w każdej chwili cofnięte.

Szlaban stanowi wszakże tylko narzędzie w ręku człowieka. Jest coś przerażającego w tym, iż tak często w życiu brak wspólnej miary człowieka i zadania, które ma on spełnić: jest wiele wielkich ról i miernych aktorów, wiele ciężkich sterów i słabych dłoni. Podobnie wielka bywa rozpiętość między tym, czym człowiek być może i czym się staje.

Tej nocy dróżnik, strzegący przejazdu, upił się i tej nocy szlaban nie spełnił swojego zadania. Na skrzyżowaniu szosy z torami kolejowymi zdarzył się tragiczny wypadek. O godzinie dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt pociąg osobowy zderzył się na przejeździe z autobusem, przybywającym do Nowoborów zazwyczaj o dwudziestej drugiej.

O godzinie dwudziestej drugiej w całym mieście zawyły syreny. Karetki pogotowia, straż ogniowa i milicyjne wozy rwały pełnym gazem ku krańcom miasta, zawodząc płaczkliwie i groźnie.

*

Doktor Julian Donat wkładał płaszcz w przedpokoju. Czynił to powoli, chociaż wiedział, że powinien się spieszyć. W lustrze widział swoją twarz - dużą, szeroką, jasną, o prawidłowych rysach, szaroniebieskich oczach, wysokim, gładkim czole, nad którym falowały przerzedzone nieco na skroniach włosy

piaskowego koloru. Była to twarz otwarta, budząca zaufanie wśród pacjentów i szacunek wśród podwładnych, jakkolwiek szacunek ów nie był pozbawiony domieszki lęku.

Tego wieczora Julian Donat nie nosił wszakże na swej twarzy uśmiechu, którym zwykł był dodawać otuchy cierpiącym, ani też nie ściągał surowo płowych brwi, co przywoływało natychmiast do porządku opieszale personel szpitalny. Patrzył w swoją twarz w lustrze niby w oblicze obcego, może nawet wrogiego człowieka. Grymas niesmaku i złości skuwał ciężkie rysy w nieprzyjemną maskę. Wyglądało na to, że doktor Julian Donat, dyrektor szpitala w Nowoborach, tak bezkompromisowy i wymagający w stosunku do otoczenia, jest głęboko niezadowolony z samego siebie, nie mogąc zaś pozwolić sobie na ujawnienie tej znakomitej diagnozy wobec kogokolwiek, korzysta z chwili samotności, by powiadomić o niniejszym fakcie swe odbicie w lustrze.

W ciszy mieszkania rozległ się chrobot. W uszach Donata zabrzmiał on jak krzyk, nawołujący donośnie i nagłąco: „Już czas! Ani chwili do stracenia!”. Donat skrzywił się i wykonał gest, jakby chciał zatkać sobie uszy, by nie słyszeć tego, co za chwilę nastąpi. Stary poniemiecki zegar z kukułką i ciężarkami w kształcie szyszek zapowiadał, że za minutę wydzwoni godzinę dziesiątą.

On jeden pozostał tu z dawnego urządzenia wnętrza. Zawdzięczał swą obecność Irenie. Śmieszył ją. Lubiała się śmiać i lubiała wszystko, co mogłoby sprowokować śmiech. Śmiała się ładnie, pełnym akordem czystych dźwięków, podobnych do ptasiego trełu. Zegar z kukułką został więc, śmiejąc tym bardziej, iż znalazł się na tle spokojnych, gładkich, nowoczesnych mebli, którymi, Donat zastąpił ciężkie szafy, stoły i łóżka, stanowiące prawdopodobnie dumę i chlębę poprzednich właścicieli mieszkania.

- Irena... - szepnął Julian i jeszcze raz powtórzył nieco głośniej: - Irena - próbując swoich sił przy wymawianiu tego imienia.

Już od kilku minut powinien cierpliwie tkwić na przystanku w grupie osób oczekujących przybycia dalekobieżnego

autobusu. Stoją przytupując od czasu do czasu na mrozie dla rozgrzewki lub przechadzają się wzdłuż tej strony rynku, gdzie mieści się kino, duży nowy sklep samoobsługowy i apteka. Na ukos widać oświetlone wejście do miejscowego hotelu i restauracji, przed którą do późnej nocy rozlegają się pijackie awantury. Pośrodku ciemną bryłą majaczy pusty i cichy o tej porze ratusz.

Ludzie z niepokojem spoglądają na zegarki i jeden mówi do drugiego:

- Już powinni tu być. Może autobus spóźni się dziś? Podobno zaspasy na szosie.

- Ależ nie, wczoraj przybył punktualnie, nawet minutę czy dwie przed czasem. Zależy od szofera.

Donat gra sobie całą tę scenę, jakby przed sobą samym udawał, że znajduje się już na przystanku, podczas gdy w rzeczywistości od kwadransa targuje się z własnym zegarkiem o każdą minutę.

„Nie muszę przecież marznąć tam na mrozie. Do przystanku stąd minuta drogi, może półtorej. Przez ogródek, przez podwórze i już brama... Naprzeciwko bramy przystanek. Zdążę.”

Musi zdążyć. Przynajmniej pod tym względem trzeba być wobec Ireny w porządku. Dlatego chociażby, że ona się spóźniła. Trudno nawet obliczyć, jak bardzo: o dwa lata, może o rok.

„Irena przyjeżdża. Moja żona, Irena. Już nie na dzień, dwa, nie na tydzień. Na zawsze” - powtarza sobie w myślach, zaskoczony, jak by nie wiedział dotychczas, że moment taki nadejdzie nieuchronnie. Zdumiony, że to, czego tak bardzo kiedyś pragnął, dziś stanowi tak wielki i kłopotliwy ciężar.

Irena przyjedzie i zamieszka tu razem z nim, „Może raczej obok mnie” - koryguje własną myśl skrupulatnie Julian Donat. Przez ramię patrzy niechętnie na skrzynie i paczki, ustawione w rogu przedpokoju, które przybyły dziś rano, nadane przez Irenę jako przesyłka bagażowa. Nie tknął ich, jak gdyby się bał, iż czynnością tą zaaprobuje fakt, że od tej pory stale już, dzień w dzień i noc w noc, Irena i jej sprawy wypełnią swoją obecnością

przestrzeń miejsca w tym domu i przestrzeń czasu w życiu Juliana. Przestrzeń w mieszkaniu istnieje i jest w niej miejsce dla Ireny. Ale w życiu Juliana wszystko, cokolwiek myśli, odczuwa i czyni jako lekarz i jako człowiek, nosi nazwę Łucji. Wszystkie sprawy Donata tak należą do Łucji, jak gałęzie drzewa do pnia, który je zrodził. Gałęzie odrąbane od pnia umierają. Cokolwiek istnieje poza związkiem z Łucją, nie liczy się.

Donat bada uważnie swoją twarz w lustrze: o ile ją zmieniły, jak wyraźnie utrwaliły się na niej przeżycia, które oderwały go od Ireny? Co wyczyta z tej twarzy, jej rzeźby i jej mimiki adiunkt Irena Donatowa, tak biegła w odczytywaniu starożytnych hieroglifów i określaniu bytu ludzi, zmarłych przed wiekami, na podstawie najbardziej kruchych szczątków czy narzędzi?

Irena nie miała wprawdzie zwyczaju badać jego rysów. Prawie nigdy nie pytała go, co czuje, co myśli. Po prostu brała go takim, jakim był, czy za jakiego go uważała, podobnie jak przyjmowała bez zastanowienia wszystko, co przynosiło jej życie.

- Mam wrażenie - powiedział jej kiedyś trochę ze śmiechem i trochę z gniewem - że o wiele bardziej obchodzi cię życie erotyczne Bolesława Chrobrego i posąg faraona Ramzesa aniżeli ja.

Roześmiała się beztrasko:

- Widzisz, o tobie wszystko wiem. Znam ciebie na wylot. A tamci... Ukrywają przede mną wiele tajemnic. Pas;;ami lubię odgadywać tajemnice.

Już wtedy chciał zawołać:

- Mylisz się! Mylisz się, Ireno. Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz. Ty tylko masz świadomość, że ja istnieję. Gdy odkrywasz tajemnice zmarłych, to tak, jakbyś zerwała kwiat, przechodząc drogą. Może zachwycić pięknem, ale pożyje krótko. A współżyć z żywym człowiekiem i kochać go to tak, jakbyś roślinę pielęgnowała, żywą roślinę, cierpliwie, starannie, z radością. Miłość to codzienne, niestrudzone poznawanie drugiego człowieka...

- Co dzień odkrywam w tobie coś nowego, innego, coś, czego jeszcze nie znałam. I wciąż jestem niesyta tego poznawania - powiedziała kiedyś Łucja do Juliana i Donat o mało nie powołał się na to określenie w sporze z Ireną. Łucja mówiła z uśmiechem, który uważano za ironiczny, lecz który w rzeczywistości stanowił maskę jej nieśmiałości: - Najlepiej z całej doby lubię moment, kiedy zasypiam, bo wtedy myślę o tym, że rano nastanie nowy dzień i przyniesie mi twój nowy gest, którego nie widziałam jeszcze, spojrzenie, jakiego nie zauważyłam, spostrzeżenia, z których każde jest niby kosztowny prezent.

Irena nie była ciekawa ani jego spojrzeń, ani gestów, ani sądów. Tak, mu się przynajmniej zdawało. Właściwie też bowiem niewiele o niej wiedział. Zaledwie zdążyli do siebie przywyknąć, gdy nastąpiła trzyletnia rozłąka. Julian objął stanowisko dyrektora szpitala w Nowoborach, co, z uwagi na młody stosunkowo wiek, uważano za niezłą karierę, Irena zaś pozostała w Warszawie, pragnąc uzyskać doktorat. Na długie miesiące zniknęła razem ze swoją archeologiczną grupą nad brzegami zarośniętych jezior, koczowała u stóp „szalenie interesujących” pagórków, przetrząsała okolice malutkich, zamierających osad, wątłych potomków bogatych i ruchliwych grodów prasłowiańskich.

Donat zapina płaszcz i po głowie snują się myśli przybrane w ironiczną formę, by zatrzeć nieco ich gorycz:

„Irena musi zrozumieć. Wina jest obopólna. Tyle żon rezygnuje z własnej kariery, gdy wymaga tego sytuacja ich mężów. A tu, patrzcie państwo... Wschodząca sława polskiej archeologii. Nareszcie raczyła przypomnieć sobie, że ma męża. Sprawy ułożyły się pomyślnie i oto pani adiunkt zechce uprzejmie zamieszkać na stałe ze swoim mężem. Ach, jak pięknie. Bardzo pięknie. A ja nie chcę. Ja już teraz tego nie chcę”.

Donat czuje, jak wzbiera w nim głucha niechęć do Ireny, granicząca z nienawiścią.

Zegar z kukułką, śmieszny zegar - zabawka Ireny. „Ja też jestem jej zabawką. Może też ją śmieszę” - dręczy siebie Donat,

aby potem móc tym łatwiej wydobyć z siebie to, co ma do powiedzenia Irenie.

Otwierają się u góry nad cyferblatem mikroskopijne drzwiczki i wysuwa się z nich mały, drewniany ptaszek, oznajmiając kukaniem godzinę dziesiątą. Jego głosik jest przekorny i zawadiacki. Julianowi wydaje się, że ptaszek drwi z niego w bezczelny sposób.

Zdarza się, że jakieś wspomnienie dopada nas tak nagle, iż odczuwamy je niczym niespodziewany i bolesny cios. Donatowi kukanie drewnianego ptaszka przypomniało pewien upalny czerwcowy dzień, spędzony z Ireną. Poznali się bardzo po prostu w pewnej mazowieckiej wsi. Zachorował ktoś w grupie studentów archeologii, odbywających ćwiczenia praktyczne pod kierunkiem adiunkta; wezwano młodego lekarza z pobliskiego miasteczka. Jedną ze studentek Donat zabrał ze sobą wracając, by przyniosła z apteki potrzebne dla chorego kolegi lekarstwa. Dziewczyna miała oczy koloru dojrzałego kasztana, przysłonięte długimi, bardzo gęstymi, czarnymi rzęsami o zawiniętych końcach. Oczy te miały lekko skośny, nieco egzotyczny wykrój, mrużyła je, gdy patrzyła z bliska na rozmówcę i gdy się śmiała. Długie ciemne włosy miała upięte w koronę. W świetle słońca połyskiwały rdzawo. W małym miasteczku nudno. Młody lekarz umówił się ze studentką na wycieczkę kajakiem po pobliskiej rzece. Rzeka pachniała chłodną wilgocią wykrotów i przybrzeżnych zarośli, niedojrzałe jeszcze zboża na wietrze opalizowały na przemian zielenią i fioletem, ze strony lasu dolatywało wołanie kukulki. Wyciągnęli kajak na brzeg, pozostawili go beztrósko na piaszczystej łysinie łączki i milcząc poszli w kierunku lasu, jak gdyby posłuszni wezwaniu kukulki.

Donat kuli się pod naporem tego przypomnianego obrazu. Może dlatego Irena tak lubi ten stary zegar? Dlaczego dziś dopiero skojarzył to dawne wspomnienie i dźwięk, którego obojętnie wysłuchiwał tyle razy dziennie od trzech lat?

W tej samej chwili za oknem rozlega się zawrodo syreny. Wzmagają się i narasta, przelatuje tuż nad dachem domu, wdziera się do wnętrza mieszkania, aż dzwoni szkło w

kredensie, i oddała pośpiesznie, zachłystując się własną trwogą. Kukulka kuka nie zrażona i pogodna. Donat nasłuchuje i drżącymi palcami sprawdza, czy ma klucze od mieszkania w kieszeni. Znów sygnał wybiega z ciemnej i cichej głębi usypiającego miasta, tnie jak biczem i odlatuje. Kukanie kukulki płynie po tej wznoszącej się i opadającej fali zawodzenia syreny niczym swawolnie huśtająca się łódeczka.

Teraz słyhać dwie syreny jednocześnie. Dogania je trzecia i już cała ciemność nad miastem jest nie barwą, lecz dźwiękiem. Całe miasto woła o pomoc. Doktor Donat wybiega z mieszkania, zatraskując z rozmachem drzwi.

W sekundzie ciszy, gdy jęk najbliższej syreny miękko opada, słuch Juliana odnajduje jeszcze raz dobiegające zza drzwi odezwanie się kukulki.

*

Łucja Bitmarowa, chirurg ordynator szpitala w Nowoborach, o godzinie dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt zamknęła za sobą starannie drzwi swojej kawalerki i przekręciła klucz. Gestem tym rozstawała się z pracowitym dniem i witała trudną noc. Nie zapalając światła podeszła do okna i przyłożyła gorące czoło do szyby, parzącej mrozem. Szybę pokrywała lodowa narośl, układająca się warstwami w wymyślne ornamenty. Wyobraźnia mogła wyszukać wśród nich konkretne kształty: tu wierzba płacząca, ówdzie palma, niżej mech, paprocie wysuwające spośród pierzastych liści długie, koleczaste łodygi, ni to pędy róży ogołoczone z liści i kwiatów, ni to lekko wygięte szpady, wklute ostrzem w górną płaszczyznę szyby, pustą jak blade, zimowe niebo. Poprzez ten dziwny, egzotyczny las z niespokojnego snu lub płótna surrealistycznego malarza Łucja widziała, jak w głównym pawilonie szpitalnym kolejno wygaszano światła w poszczególnych pokojach i salach. Doktor Łucja Bitmarowa pomyślała z ulgą, że po tak męczącym dniu, jak dzisiejszy, nic już chyba nie powinno się zdarzyć. Długimi, szczupłymi palcami dotknęła boleśnie pulsujących skroni.

Właściwie koniecznie trzeba by w ciągu nocy zajrzeć na oddział. Przykra sprawa. Jak to się złożyło, że dziś znów tych dwoje ma dyżur? Antoś Firmin powinien mieć gabinet lekarski

w eleganckiej dzielnicy Londynu i tam udzielać porad znużonym życiem bogatym kobietom. Akurat do tego się nadaje ze swoją szczupłą, wytworną sylwetką, czarującymi ruchami i z tą miną uwodziciela pensjonarek. Nic dziwnego, że taka Flora Dyląg straciła głowę. Tych dwoje - Antoś jako dyżurny lekarz i Flora jako dyżurna siostra - nie gwarantuje spokojnej nocy. Znów im strzeli coś do głowy, jak w zeszłym tygodniu w sobotę.

- My przecież wyszliśmy tylko na godzinkę. Na kawę. No i raz zatańczyliśmy... To naprawdę nie trwało długo... - szlochała Flora, podczas gdy piękny Antoś zachowywał olimpijski spokój. Jego nic nie potrafi wytrącić z równowagi.

W Warszawie albo w większym szpitalu żadne z nich nie zostałoby na stanowisku ani dnia. Dyscyplinarka z miejsca. Ale tu... Wciąż trzeba się z każdym liczyć. Nikt nie chce zbyt długo siedzieć w tej dziurze.

Czy dopilnują na przykład Feliksiaka W separacie? Flora wieczorem machnęła ręką i wycedziła pogardliwie:

- E tam, taki chuligan... Szkoda zachodu. Dziś jego, jutro on kogoś nożem ciachnie. Dziwią się wszyscy, że pani doktor tak się nim przejmuje.

Edwarda Feliksiaka przywieziono wczesnym ranem z kłutą raną boku. Ostrze noża zadrasnęło osierdzie.

- Porachunki towarzyskie - orzekł fachowo sanitariusz Ramuć pchając wózek na salę operacyjną. - O tę rudą Heńkę, bufetową z baru „Przodownik”, im poszło. Jemu, znaczy się Feliksiakowi, i Zdziśkowi od Boruckich, co to wie pani doktor, zakład rymarski niedaleko rynku mają.

- No i co ten Borucki, przyznał się, siedzi? - spytała myjąc starannie rękę.

- Ale tam! Uciekł. Ukrywa się. Tyle że wszyscy wiedzą, gdzie. Nikt go nie wyda, on nożem, za przeproszeniem, sprawniej może od pani doktor macha.

Operacja trwała prawie cztery godziny. Łucja myślała z odrobiną goryczy, że gdyby taka operacja zdarzyła się w innym, większym mieście, napisaliby o niej w prasie. Z Nowoborów do gazety nie trafisz. Edek Feliksiak będzie żył. Chociaż ma trochę

racji postrzelona Flora: bezużyteczny twór przyrody. Kiedy wyjdzie ze szpitala, będzie zapewne znów pić i straszyć zapóźnionych przechodniów po ciemnych ulicach. I będzie czekać, aż Zdzisiek Borucki opuści kryjówkę albo więzienie, żeby mu odpłacić, bo państwowa sprawiedliwość swoją drogą, a pamięć ludzka swoją.

Łucja myślała o tym mimo woli, kładąc uważnie i starannie ostatnie szwy. Właściwie nie powinno się znać ludzi, których się operuje. To maćci myśli, rozprasza uwagę. Lekarz nie ma prawa ludzi sądzić, nie jego to rzecz. Pomyślała wówczas także przelotnie o pewnym zbrodniarzu wojennym, skazanym sądownie na śmierć za śmierć tysięcy ludzi, której był sprawcą. Zbrodniarz dogorywa w więzieniu, gdyż prawo zabrania wykonywania wyroku na człowieku obłożnie chorym. Oto z jednej strony człowiek chory, który, wbrew naturze, nie powinien życzyć sobie wyzdrowienia. Z drugiej - lekarz, któremu powierzono leczenie skazańca. Co czuje, co myśli taki lekarz, któremu etyka jego zawodu nie pozwala sądzić i skazywać ludzi? A jeżeli ktoś z bliskich lub przyjaciół tego lekarza zginął z rozkazu osądzonego oprawcy? To co? To nic. Jego wiedza lekarska należy do pacjenta - kimkolwiek on jest. „To bardzo trudne, ale to jest słuszne. Trzeba uznać ten hamulec, bo przecież nie jesteśmy święci” - myśli Łucja i mówi do asystującego kolegi:

- Jeszcze jedna transfuzja będzie tu potrzebna.

- Nie mamy już krwi grupy A - odpowiada z niezmaconym spokojem młody człowiek o puciołowatej, różowej twarzy.

- A ja teraz się o tym dowiaduję - denerwuje się Łucja.

Trzeba zaraz po operacji pójść w tej sprawie do Donata. Ten mały Zawilski to istny gamoń. Zadziwiająca flegmatyczność, a przecież to jego pierwsza posada, powinien przejmować się, niechby się nawet zdenerwował choć raz. A on nic - jak skała. Widocznie wszystko to razem nic go nie obchodzi. Na pewno kiedy szedł na medycynę, śniły mu się krecie z prywatnej praktyki. A tu Nowobory i „klops z kapustą”, jak mawia sanitariusz Ramuc, były kapral.

Za to Łucja umie się jeszcze przejmować i nie potrafi nie denerwować się. Zanim jeszcze poszła do Donata, wezwano ją na konsultację na interneę.

- Pani doktor... Ratujcie... Ja chcę żyć... Dzieci. Dzieci - jęczała tracąc przytomność, Michalina Kraskowa.

Łucja pamiętała tę szczupłą, bladą twarz o wielkich, zielonkawych oczach, okoloną rzadkimi, wypłowiałymi włosami, spiętymi w mały kok. Ta kobieta przynosiła w menażce obiad elektrykowi, który pracował przy remoncie szpitala i montował przewody w nowej salce aparatury rentgenowskiej.

- Ogólne zakażenie - informował Łucję ginekolog, doktor Kamil Kora, starszy, dobroduszny człowiek o staroświeckich poglądach na życie. - Usunęła ciążę w czwartym miesiącu u pokątnej babki. Chyba tutaj nic się już nie da zrobić.

Bolesław Kraska siedział na ławeczce w korytarzu i patrzył przed siebie otępiąłym wzrokiem.

- Jak pan mógł do tego dopuścić?! - krzyczała na niego Łucja.

- A bo ja wiedziałem, czy co? Sama poszła się psuć.

- Ale do takiej baby, co to wszyscy wiedzą, że znachorka!

Wzruszył ramionami:

- Znachorka, nie znachorka, kto ją tam wie. Innym widać dobrze robiła. Na doktora skąd brać, kiedy cała pensja tysiąc dwieście złotych. Troje dzieci w domu.

- A szpital po co jest? Do przychodni nie mogła się zgłosić?

Popatrzył zgorszony w wielkie, szare oczy Łucji, płonące gniewem, i nagle złagodniał. Ze smutnym, pobłażliwym uśmiechem machnął desperacko ręką:

- Pani doktor to jak dziecko, słowo daję... Do przychodni. Zaraz by wszyscy wiedzieli, co się kroi. Pani doktor to niby nie wie, jacy ludzie są? „Nie godzi się...” Życie by zatruli do grobu.

- Ludzie, ludzie! Będą wam teraz te troje dzieci wychowywać? Tak lepiej, co?! - dławiała się własnymi słowami i niemożnością wytłumaczenia temu człowiekowi swojej racji, która była dla niego i niepojęta, i wroga.

Gniótł czapkę w palcach, obracając ją na wszystkie strony, i patrzył spode łba zarazem tępo i błagalnie, jak bite zwierzę.

Rozłożył ręce gestem wyrażającym tradycyjne, bezradne i bierne poddanie się wyrokowi opatrności:..

- Tak na to widać przyszło. A niechże tam pani doktor się jakoś postara...

Nie słuchała już. Pobiegła do gabinetu Donata i nerwowo splatając i rozplatając palce, jak gdyby gimnastykowała je bezustannie, słuchała, jak Donat rozmawia z Warszawą, prosi o przyjęcie chorej na klinikę dla zastosowania sztucznej nerki, jak zamawia lotnicze pogotowie ratunkowe. Gdy doktor Kora i siostra oddziałowa opuszczali gabinet Donata, chciała wyjść razem z nimi. Julian powiedział cicho:

- Zostań.

Teraz dopiero zauważyła, że siedzi przy biurku blady, przygarbiony, skrzyżowawszy na szklanym blacie swe duże, mocne ręce ruchem podobnym do gestu Bolesława Kraski. Podniósł głowę i spojrzał na Łucję pustymi oczami. Jego słowa zabrzmiały sucho i twardo:

- Dziś przyjeżdża Irena.

- Ach, tak... Na długo?

- Na zawsze.

Łucja przeciągnęła ręką po oczach, jakby budziła się ze snu. Zdawało jej się, że nie rozumie, co do niej mówi Julian. Spytała:

- Teraz dopiero mi to mówisz? To tak... tak nagle jakoś się zdecydowało?

- Dziś rano otrzymałem list. Odmówiła udziału w ekspedycji do Egiptu i ma prowadzić badania gdzieś tu, w pobliżu. Wierzy, że bardzo się cieszę - dokończył ironicznie, w oczy Łucji jednak nie patrząc.

Czuła, że mówi nieprawdę. Po prostu nie miał odwagi powiedzieć jej o tym. Z pewnością od paru dni obmyślał, jak ma jej to powiedzieć. Znadto go kochała, żeby się na niego gniewać.

- No i jak teraz będzie, Julianie? Co będzie z nami? Jak sobie wyobrażasz? - zadawała cicho pytania, raczej sobie samej niż jemu.

- Och, nie wiem... Nie wiem! Pomyślmy. Jakoś to przecież trzeba rozwiązać. Irena to bardzo... bardzo porządnym człowiekiem. Jest rozsądna. Powinna się zgodzić na... rozejście się. Nie sądzę, żeby jej tak bardzo na mnie zależało. Przecież wiesz.

Brzmiało to dość porywczo, dość przekonująco, lecz Łucja wiedziała doskonale, że wszystko nie jest bynajmniej takie proste, jak Julian by chciał.

Wyszła bez słowa i Donat już jej nie zatrzymywał.

Teraz siedziała bez ruchu, skulona na swoim tapczanie, wsunawszy obie dłonie w gąszcz potarganych, jasnych jak len włosów. Czuli się przemarznięta do kości, chociaż kaloryfery grzały mocno. Jej niewysoka, szczupła postać skurczyła się. Opanowało ją poczucie zupełnej bezsilności. Zapłakała. Dlaczego właśnie jej tak fatalnie układa się los? Czego się tknie, wali się w gruzy, co nawiąże, pruje się jak zetlała nitka. Zaczęło się od sprawy Pawła. Jej były mąż, nałogowiec, istota kaleka i wykolejeniec. Lata koszmaru i lata ucieczki. Zawsze ją odnajdywał sobie tylko wiadomymi sposobami. Uginała się, wracała i piekło zaczynało się od nowa. Ale to nie on winien, że został narkomanem, i ta świadomość kazała jej za każdym razem przyjmować błagalne zapewnienia, iż wszystko się zmieni, bez wiary w trwałość tych przyrzeczeń. Dopiero Julian przerwał ten koszmarne łańcuch.

Czy dobrze się stało, że w ten sposób krzywda Pawła i klęska Pawła stały się ostateczne? Wszyscy współczuli Łucji, litowali się nad nią, a ona jedna wiedziała, że to Pawła trzeba żałować, nie ją. Przez nią przestał być człowiekiem, bo nie wolno wiązać życia z kimś, kogo się nie kocha. Nie wolno bezkarnie zabijać czyjejś miłości obojętnością. Zabijać miłość w człowieku to takie samo przestępstwo, jak okaleczyć fizycznie albo zabić człowieka. Łucja zabiła Pawła, choć człowiek ten żyje. Poczucie utraty własnej godności, nie Pawła, lecz Łucji, jak zaraza poraziło ich dom i ten dom rozpadł się. Dziewiętnastoletnia zbuntowana Monika - u siostry Łucji w dalekiej Warszawie. To nie córka - to obca i wroga dziewczyna. Gdy pytają Łucję, czy ma dzieci, odpowiada:

- Tak, mam córkę. Studiuje w Warszawie - i stara się zmienić temat.

Alina pisze, że Monika znów przestała się uczyć, polonistyką ją nudzi, i zaczęła występować w jakimś zespole studenckim.

Przy Julianie Łucja odżyła. Odzyskała pewność siebie. A dziś znów się wszystko zawaliło. Nie stanowi to dla Łucji niespodzianki. Przecież wiedziała o Irenie. Irena była wszakże dalekim cieniem, przemykającym tak, jak odbicie chmury przeleci czasami przez pole. Julian chce rozejść się z Ireną. Ale Łucja nie ma już sił, by zaczynać życie wciąż od nowa. Tu, w Nowoborach, taka rzecz jest w ogóle nie do przeprowadzenia. Ludzie... Łucja nie zniesie ludzkich uśmiezków, drwinek, aluzji i afrontów, czynionych wprost czy za plecami. Myśli z goryczą:

„Jakie miałam prawo wymyślać dziś temu nieszczęśliwemu elektrykowi? Jego matka z pewnością jeszcze zamawia kołtun u wnuków. A ja, wykształcony człowiek, i też boję się ludzi. Co będą myśleć, mówić, robić ze mną”.

Mogłaby wyjechać. Znów tułać się po obcych kątach w jakimś prowincjonalnym szpitalu, zając po raz któryś z rzędu nieprzytulny pokój w bocznym skrzydle i pozwalać nowym ludziom rozgryzać po kawałeczku, ze smakiem i zaciekawieniem, swoje nieudane, nieudolne życie? Nie. Dość.

Otworzyła podręczną apteczkę, wyjęła z niej kasetkę. Z kasetki wydobyła mały flakonik, odsypała z niego szczyptę proszku do opłątka. Położyła go na dłoni. Przyglądała mu się z bacznością, marszcząc cienkie, jasne brwi. Nie chciała się pomylić: to nie powinno trwać długo i nikt nie powinien mieć z nią kłopotów. Przełożyła opłatek do lewej dłoni, jak by bojąc się z nim rozstać, i skreśliła pospiesznie kilka słów na bloczku z receptami, który pierwszy nawinął się jej pod rękę.

Pomyślała raczej ubawiona:

„Ale będzie skandal! Ale będą gadać! Tylko mnie na szczęście nic to już nie będzie obchodzić. Zupełnie jak w kiepskim melodramacie: on, kochanka, żona wraca, kochanka popępnia samobójstwo. Trudno, nic na to nie poradzę. Przecież on od

niej nigdy nie odejdzie, choćby nie wiem co mi opowiadał. Tylko że ja nie chcę o tym nic wiedzieć”.

Pisała ostatnie słowa, gdy doleciał do niej z oddali narastający, rwący się, coraz bliższy, w końcu przesywający na wskroś, monotonicznie falujący jęk syreny. Nie był to jednak zwykły sygnał pogotowia, gdy pod bramę szpitala zajeżdża karetka z chorym czy ofiarą ulicznego wypadku. Sygnał ten ciągnął za sobą inne, jak gdyby stanowił jądro komety, one zaś prószyły za nim smugą, warkoczem uwitym tym razem nie z rozżarzonych pyłów, lecz z jątrzących dźwięków. Pierwszy sygnał rozbił się o masywną, żelazną bramę szpitala i zgasł tuż pod nią, zdławiony piskiem gwałtownie hamowanych opon. Ale już rój następnych sygnałów nadciągał, przegarniając ciszę i ciemność nad miastem długimi, lepkiemi mackami.

Do drzwi pokoju Łucji Bitmarowej dobijała się energicznie siostra Flora:- Pani doktor! Pani doktor! Proszę zaraz na dół, do hallu! Ach, Boże Boże, cóż za straszna katastrofa!

Doktor Bitmarowa zgmiotła zapisaną kartkę w małą kulkę i wrzuciła do popielniczki. Pomięty opłatek potoczył się po stole. Schwyciła go i odruchowo wsunęła do kieszeni lekarskiego fartucha.

- Już idę - odpowiedziała swoim zwykłym, opanowanym głosem, który zabrzmiał może tylko odrobinę bardziej głucho.

*

- Za piętnaście minut powinniśmy być na miejscu - powiedział wesoło do Ireny sąsiad, drobny, szczupły szatynek lat około czterdziestu. Adorował ją przez całą drogę, wpatrując się z uwielbieniem w jej smagłą, oryginalną twarz o nieco zbyt wystających kościach policzkowych. Mrużyła przekornie swoje brązowe, skośne oczy. Bawiła ją ta przygoda. Opowie Julianowi, będzie się śmiał. Włożyła puszystą, wełnianą czapczkę na ciemne warkocze, upięte w imponującą koronę dookoła małej, zgrabnej głowy. To uczesanie miało wielką zaletę: nie wymagało zabiegów fryzjerskich, których daremnie szukać na biwakach i stanowiskach archeologicznych.

- Niech pani pamięta... Gdyby pani potrzebowała jakichś materiałów, powiedzmy, cegły, cementu, to do mnie jak w dym.

Pamięta pani: Maurycy Jantar, inżynier, wszyscy mnie znają. Wystarczy zapytać, każdy powie, gdzie mnie szukać. Może pani na mnie liczyć. Jeszcze dobre pół roku potrwa ta budowa, przebudowa i licho wie co jeszcze tam wymyślą. A potem dalej, w świat, w Polskę... - dorzucił zawiadaczko.

- Nie znudziło się panu tak stałe wędrować z miejsca na miejsce? - spytała zawiązując szalik.

- Wie pani, że nie. Jak dotychczas, to nie. Wesole życie, raz tu, raz tam. Wciąż nowi ludzie. Nowe, hm, hm... kobiety - cmoknął znacząco i przymilny uśmiech okraślił jego pełne, różowe wargi.

- No, a co żona na to?

- Mowa! - roześmiał się cwaniacko. Irenę zastanowił ten żargon w ustach pana inżyniera. - Kto by tam zważał! Niech i tak szczęśliwa będzie, że moniaki posyłam. Owszem, nawiedziła mnie tu kiedyś ukochana małżonka, posiedziała dwa dni, posłuchała, popatrzyła i orzekła: „Nic tu po mnie”. Nie podobało jej się w Nowoborach. I wróciła do Radomia, tam mieszka z córką przy swoich rodzicach. I dobrze. Ot, gdybym ja taką żonę miał, jak pani, nie przymierzając, to co innego. Sam bym na krok od siebie nie puszczał. Ho, ho, o nie! - znów śmiał się impertynencko, mrużąc bure oczka.

Irena pomyślała: „Nie powinnam potępiać tego człowieka”. Z innych pobudek, ale przecież właściwie przez całe lata robiła to samo. Julian przyjechał kiedyś do niej pod Kruszwicę, gdzie prowadziła, jak to nazywał, swoje „wykopki”. Miał urlop i chciał spędzić cały miesiąc z nią razem. Po dziesięciu dniach już go nie było. Koledzy śmieli się: „Nie szkodzi. Potęskni, lepiej będzie kochać”. Czy tak? Czy na pewno tak? Julian ostatnio coraz rzadziej pyta: „Kiedy to się skończy? Kiedy będziemy już zawsze razem?” A może nawet ostatnio nie pytał już o to wcale? Irena nie może sobie przypomnieć.

Autobus podskakiwał na dziurawej szosie. Ścieśniły się wzdłuż drogi krągłe, przysadziste wzgórza. Zębata linia lasu upodabniała ich wierzchołki do grzbietów legendarnych smoków z dziecinnych książek. Nagle za wzgórzami zajaśniało, jakby ktoś zapalił poza nimi mocny reflektor. Wysunął się

rąbek księżycyca - był wielki i rozplaszczony. Szybko zamienił się w ogromną, jasną kulę, toczącą się na wyścigi z autobusem po krawędzi wzgórz wzdłuż drogi. Pomarańczowa barwa wyciekała, pozostawiając w kuli księżycyca barwę żółtą, potem cytrynową. Jak gdyby razem z barwą uchodziło z balonika powietrze, księżyc zaczął maleć i nabrawszy lekkości oderwał się od ziemi.

Irena, zapatrzona w księżyc i zamyślona, nieuważnie słuchała paplaniny sąsiada. Czy nie dlatego właśnie zrezygnowała z udziału w wymarzonej ekspedycji do Nubii, że pieszcocie Juliana zaprzeczał jego daleki i obojętny wzrok, że tak często w jej obecności spoglądał na zegarek, jak gdyby się spieszył, gdy zaś zapytała go, czy ma jakąś pilną sprawę do załatwienia, odpowiadał skwapliwie: „Ach nie, nie, tak tylko chciałem wiedzieć, która godzina...” Może liczył godziny, minuty i sekundy jej pobytu nie z żalem, że tak szybko mijają, lecz z pretensją, że zbyt wolno bieżą. Mówił też „mój dom”, a nie „nasz dom”.

- Teraz będzie inaczej -, powie Irena do Juliana, gdy zasiądą za pół godziny przy herbacie, choć właściwie żałowała, że porzuci dotychczasowy tryb życia. Dla niej dorywczość ich stosunku stanowiła nieustającą atrakcję. O spotkaniach z Julianem myślała jak o świątecznych dniach.

- Nie będę ci nigdy cerowała skarpetek ani pichciła nóżek wieprzowych w galarecie. Nie potrafię, nie lubię tego i nie nadaję się na gospodynię domową. Zaraz przestałabym cię kochać. Chyba nie chcesz? - tłumaczyła mu kiedyś i zdawało się, że Julian przyjmuje jej argumenty ze spokojnym zrozumieniem.

Grupa młodzieży z miejscowego technikum, wracająca z wycieczki do stolicy, zaczęła śpiewać. Jak zwykle w takich wypadkach przeplatały się przyspiewki z repertuaru „Śląska” i „Mazowska” z modnymi szlagierami. Śmiali się głośno i hałaśliwie, dziewczęta chichotały zalotnie. Dziewczyna, siedząca po drugiej stronie przejścia obok Ireny, odwróciła głowę w stronę śpiewających i popatrzyła na nich niechętnie i pogardliwie. Jej twarz wydała się Donatowej znajoma, a może

tylko podobna do czyjejs innej, znanej. Przez całą drogę dziewczyna siedziała zaszępiła, nie odezwała się ani razu, robiła wrażenie znudzonej. Wpatrywała się dużymi, szarymi oczami w monotony krajobraz. Bujne, kasztanowate włosy, niestarannie utrzymane, opadały kosmykami na ładne czoło. Za Ireną tęga blondyna w futrze z nutrii, ze śmiesznym kołpakiem na głowie i w kosztownych, ale za to brzydkich botkach na nogach, zwierzała się sąsiadce głośnym szeptem ze świetnych interesów, zrobionych w Warszawie na jakichś zagranicznych paczkach.

- Ten szpital... - mamrotał sąsiad Ireny. Nastawiła uszu. Nie wspominała mu, kim jest ani po co jedzie do Nowoborów. - Ten szpital - ciągnął poufnie - będę remontować, jak długo się da. Rozumie pani, mam jeszcze inną budowę, za tamtą grubsza forsa polecą. A tu... - i machnął lekceważąco ręką - szkoda gadać. Ale za to przerzuty materiałowe mogę sobie robić. Ot co. Ci ze szpitala zmiarkowali coś ostatnio i gwałtują. Skargi na mnie piszą, a jakże. Tam taki jeden jest, co najwięcej się ciska. Pan doktor Donat. Zna pani może? - Nie czekając na odpowiedź Ireny zwierzał się dalej: - A ja nie lubię, jak mi kto w parady wchodzi. Czy ja wtrącam się do jego chorych albo, za przeproszeniem, do jego romansów? Zresztą - zachichotał nieprzyjemnie - ja to bym na tę jego cieżę nawet nie poleciał. Za chuda na mój gust. I taka anielica. Nieprzystępna. Podobnież pobrać się mają. Tylko że on żonaty. Ale mówią, że rozwód dostanie, bo z żoną tak jak by nie żył, ona gdzieś w Warszawie stale przebywa, dzieci nie mają. Pewnie dostanie ten rozwód...

Plótl jeszcze coś, ale Irena już nie słuchała. Co mówi ten człowiek? O kim to on tak mówi? O Julianie? Co za brednie. Którą kobietę łączy z Julianem? Irena bardzo rzadko zaglądała do szpitala. Zbyt krótkie bywały jej odwiedziny w Nowoborach, by miała interesować się jeszcze sprawami zawodowymi Juliana, a zresztą, prawdę mówiąc, Irena nie cierpiała szpitalnej atmosfery. Kiedyś jednak, podczas pobytu Ireny, przyszła do domu z jakimiś ważnymi papierami kobieta, do której Julian mówił „Łucjo”. Irena odniosła wrażenie, że Julian jest wściekły, iż kobieta ta niepokoi go w domu szpitalnymi

sprawami. „Nie można było poczekać z tym do jutra?” - denerwował się. Łucja nie odpowiedziała. Milczała, bacznie przypatrując się Irenie. Irena pomyślała wtedy, że zapewne z ciekawością, jak też wygląda żona dyrektora. Dziś uświadomiła sobie: ciemnoszare oczy w oprawie długich, jasnych rzęs miały wyraz wrogi.

Kojarzyła teraz szybko w myślach te oczy i reakcje Juliana, które same w sobie mogły nie znaczyć nic lub znamionować chwilowe zmęczenie, rozdrażnienie - lecz w kręgu spojrzenia owej małej Irenie znanej Łucji nabierały szczególnej wagi. „Nie, to niemożliwe. Po prostu niewiarygodne. Nie będę przecież wierzyła plotce, opowiedanej przez poznane przygodnie indywiduum, z pewnością nie budzące zaufania. To jakiś bardzo nieciekawy człowiek. Zapewne mierzy świat i ludzi swoją rozciągliwą miarką. Nic, nic, to niemożliwe. Nasza miłość była zbyt wielka, żeby Julian mógł tak łatwo jej zaprzeczyć...”

A pomimo wszystko przykry niepokój kazał jej wypatrywać światła miasta zarazem z niecierpliwością i z poczuciem, iż czeka na nią coś bardzo nieprzyjemnego. Światła przedmieścia, spełniając życzenie Ireny, wybiegały już jej naprzeciw, przyciągając ku sobie pędzący autobus. Szosę przecinały raz po raz boczne, poprzeczne drogi, niewidzialne w ciemności, ogołoconej z kształtów i perspektywy. Istnienie tych dróg potwierdzały tylko światła biegnące wzdłuż nich pojedynczym lub podwójnym szeregiem. Widziane z wnętrza jadącego autobusu złudnie zbliżały się do siebie i oddalały, mijały się i okręzały, niby w tańcu. Z daleka zamigotały latarnie przy przejeździe kolejowym. Kierowca autobusu zwolnił, obserwując obojętnie, jak ramię szlabanu unosi się wolno do góry, zapraszając do wjazdu w obręb miasta. Myślał o tym, że starter nie jest w porządku i że on sam już bardzo zmęczony. „Jakoś do Nowoborów zajedziecie” - powiedział rano kierownik garażu. Może nie powinien był brać tego kursu po poprzedniej nie przespanej nocy. Ale za zastępstwo poleci dodatkowy grosz, tak potrzebny na wesele córki.

Irena nerwowo skubała rękawiczkę, serce jej biło ostrym, nierównym, prawie bolesnym rytmem. Sąsiad Ireny uniósł się z siedzenia i zaczął ściągać z półki swój podręczny bagaż. Tęga blondyna otworzyła pękatą torebkę i sprawdzała, czy ma przy sobie pieniądze, czy nie okradł jej kto w drodze. Dziewczyna o szarych oczach odwróciła jeszcze raz głowę do tyłu, gdy młodzież z technikum podjęła chórem następną zwrotkę „Karolinki”:

„Wróć się, Karolinko, bo jadą goście...” Najdonośniej brzmiał młodzieńczy, dźwięczny tenor. Oczy dziewczyny zderzyły się ze wzrokiem śpiewającego. Oczy chłopca paliły się wesołym ogniem. Wydały się dziewczynie zupełnie czarne na tle błękitnych białek. Chłopiec uśmiechnął się łobuzersko. Dziewczyna odwróciła od niego twarz z wyrazem niesmaku, wzruszając ramionami.

Dróżnik Karpień z ulgą patrzył, jak szlaban unosi się i zatrzymuje, godząc niemal pionowo w gwiazdziste niebo i jasną, okrągłą piłkę księżycą. Niech już przejedzie ten piekielny autobus, włączający swoje światła prosto w twarz Karpiecia. Te światła niby dwa ostre noże zanurzały się w jego obolałych oczach i sięgały aż do mózgu. Dróżnik Karpień przed chwilą dopiero uniósł ociężałą głowę, zamroczoną bimbrem, przyniesionym usłudze przez kuzyna. Teraz usiłował sobie coś przypomnieć, zawieszając wzrok w miejscu, gdzie czubek pasiastego drąga dotykał tarczy księżycy - jak by ktoś balonik trzymał na kiju. Dróżnik Karpień usiłował sobie przypomnieć, ile to czasu minęło od chwili, gdy przejeżdżał tędy pospieszny, wlokąc za sobą przenikliwy gwizd i roziskrzony welon dymu. Przedtem czy potem był telefon? Czy w ogóle był jakiś telefon, czy mu się zdawało tylko? A może to jeszcze gwizdek pospiesznego tak dzwonił mu natarcywie w uszach, spragnionych ciszy? Karpień nie wie nic: co działo się i co się stało w tej chwili. Gdy nawykłym ruchem podnosił szlaban, myślał tylko o tym, by autobus przestał mu świecić w oczy. Teraz blade koło księżycy, nabite na ostrze szlabanu, skojarzyło mu się z okiem parowozu. Czy to nie przez telefon mówił mu

ktoś o spóźnionym osobowym, który ma przejść poza rozkładem?

Kierowca Domański mocował się z biegiem i ze starterem. Na lewo od przejazdu, na plancie, ekipa - kolejowa naprawiała jakieś uszkodzenie. W żelaznych koszach żarzył się koks, sypały się iskry z palnika acetylenowego, migały na czerwonym tle czarne sylwetki robotników, ktoś głośno klepał szynę. Z tego kierunku zbliżyły się dwa wątle światła - jak gdyby dwie iskry oderwały się w locie od strumienia ognia, miotanego przez palnik, i niesione wiatrem nadbiegały ku przejazdowi. Tego jednak nikt nie dostrzegł.

W motorze autobusu coś zazgrzytało, reflektory na chwilę przygasły. Gdy ruszył, wszyscy poczuli, jak przednie koła podskoczyły płynnie na pierwszym torze.

„A ja się nie wrócę, bom już na moście” - piosenka urwała się i młodzież roześmiała się hałaśliwie. Irena patrzyła przed siebie i myślała, że za chwilę zobaczy Juliana. Najlepiej będzie, gdy zapyta go wprost.

Szofer autobusu westchnął z ulgą. Uważnie wpatrywał się w drogę przed sobą. Zaraz odpocznie i będzie mógł nareszcie wyprostować obolałe z wysiłku ciało.

Dziewczyna o szarych oczach zgasiła papierosa, rozgniatając go o podeszwę śniegowca, z którego wyzierała jaskrawą plamą czerwona pończocha.

Sąsiad Ireny pochylił się i powiedział:

- No już...

Rozległ się ogłuszający huk, autobusem targnął konwulsyjny wstrząs. Oślepiające światło zamknęło ludziom powieki i otworzyło usta do krzyku, którego nikt z nich nie usłyszał.

ROZDZIAŁ 2 NA PRZEJEŹDZIE

Gdy doktor Donat wybiegł z bramy, miasto już ożyło. Mogłoby się wydawać, że ludzie właściwie wcale nie spali i tylko po to pogasili światła, aby zza ciemnych szyb, z wnętrza

ciemnych pokoi lepiej móc widzieć, co się dzieje na dworze, i aby we właściwym momencie wybiec i działać bez zwłoki. Domy, przyczajone za ciemnością, zrzucały ją z siebie, wracały na swoje miejsca, ukazując znów oblicze miasta, upstrzone światłami i gwarne ludzkimi głosami. Pomimo mrozu otwierały się okna i wychyleni z nich ludzie nawoływali tych, którzy już biegli jezdnią i chodnikiem. Trzaskały drzwi. Grupki ludzkie formowały się zaledwie na chwilę, by rozpiezchnąć się niby stada spłoszonych ptaków. Rozsypywały się w tyralierę i wydłużały w szeregi, wylewały się z ulic i zaułków małymi strumykami, łączyły się w coraz szersze potoki. Wszystkie one spływały w Aleję Wyzwolenia, po której, jak korytem głównej rzeki, rwał w stronę przejazdu kolejowego wezbrany nurt ludzkiego tłumu.

Od chwili katastrofy minęło właśnie trzynaście minut. Osiem minut od momentu, kiedy, jeden z robotników, pracujących na plancie, powiadomił o niej naczelnika stacji w Nowoborach przez służbowy telefon w budce dróżnika. Minutę później dzwonki alarmowe rozległy się w Pogotowiu, w Miejskiej Komendzie Milicji, w Komendzie Straży Ogniowej. Pięć minut odmierzyły zegary i zegarki w Nowoborach od tego miejsca na tarczach, na którym zatrzymały się oczy ludzi, zbudzonych pierwszym sygnałem karetek Pogotowia Ratunkowego. Nie pierwszy sygnał jednak, lecz dopiero następne poderwały ludzi na nogi i kazały im opuścić mieszkanie, stolik w kawiarni, miejsce w kinie, zarzucić na siebie w pośpiechu płaszcze, swetry lub tylko chustkę na plecy i biec tropem jęklivych syren.

Jeszcze pięć minut temu doktor Kamil Kora trzymał w rękę trzynaście kart. Był na dogranej i cztery bez aty wydawały się nie do odebrania.

- Szalenie interesujący układ - powiedział jeden z kontrpartnerów, prokurator Filip Brand. Wyszedł w waleta kier i wtedy usłyszeli syreny.

Walet kier pozostał bez towarzystwa na staroświeckim stoliczku, pokrytym przetartym malinowym suknem. Doktor Kamil Kora poruszał się z trudem: otyłość i astma hamowały jego ruchy. Powinien by już właściwie przejść na emeryturę.

Nie nadążał za medycznymi nowinkami, zgorzkniał. Miał wiele pretensji do nowych czasów, tę chociażby, że musiał zlikwidować swoją prywatną klinikę położniczą, w której do wszystkich pacjentek zwykł był mówić „córeczko”. Teraz walczył o każdy miesiąc pracy i widząc te jego żalosne starania, nikt jakoś w szpitalu nie miał serca czy odwagi przyspieszyć toku urzędowego postępowania, w wyniku którego miejsce Kamila Kory o zmęczonych, wyblakłych oczach zająłby młodszy, energiczny kolega, propagator świadomego macierzyństwa i bezbolesnych porodów.

Tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to jego tusza, Kora biegł w rozpiętym płaszczu w kierunku przejazdu.

Prokurator Filip Brand wyprzedził go znacznie i wkrótce wsiąkł w tłum. W pewnej chwili doktor Kora zatrzymał się, by złapać oddech. Ktoś z biegnących potrącił go niecierpliwie. Poczul, iż ktoś inny ujmuje go pod ramię. W świetle latarni błysnęły okulary na pызatej, rumianej jak u dziewczyny twarzy. Doktor Janusz Zawilski, przewany przez Łucję Bitmarową „gamonem”, jedną ręką przytrzymał drzwiczki taksówki, drugą zaś ciągnął za ramię Korę.

- Ależ proszę... proszę wsiąść. Będziemy szybciej.

- Co się stało właściwie? - Kora oddychał ciężko, ocierając pot z czoła wielką, kraciastą chustką.

- Dokładnie nie wiem. Usłyszałem tylko karetki. Mówią ludzie, że na przejeździe wielka katastrofa. Autobus rozbity.

Dookoła nich niepowstrzymaną falą biegli ludzie, ślizgając się na ośnieżonym i zamarzniętym chodniku, potykając o przyzmy zgarbnętego śniegu. I choć tylu ludzi biegło, iż zdawałoby się, że biegnie całe miasto, że chyba tylko dzieci i starcy pozostali w domach, panowało głucho milczenie. Słysząc było tylko tupot nóg po grudzie i skrzypienie śniegu w nie udeptanych miejscach. Ostre, długie smugi samochodowych świateł rozgarniały na boki ludzką ciżbę, torując drogę coraz liczniejszym wozom.

- To my musimy do szpitala. Natychmiast. Tam - Kora wskazał ręką kierunek, w którym oddalał się potężny wóz

straży ogniowej, oblepiony, jak błyszczącą łuską, kaskami strażaków - tam i bez nas się obejdą. My musimy do szpitala.

Taksówka zawróciła z trudem i przebijała się wolno pod prąd w stronę szpitala. Kierowca milczał ponuro zaciskając wąskie wargi. Janusz Zawilski z niepokojem obliczał, czy wystarczy mu na opłacenie kursu. Miał tylko trochę drobnych w kieszeni, bo nie był w domu, kiedy usłyszał dalekie syreny. W domu zresztą też pieniędzy nie posiadał zbyt wiele. Cóż może zarobić młody lekarz na pierwszej posadzie, bez wyrobionej praktyki prywatnej. Ostatecznie Kora dołoży. Mówią, że stary ma forsy jak lodu. Zawilski myślał o rzekomych czy rzeczywistych skarbach Kory z zazdrością, lecz uczuciu temu brakowało ostrości. Podobne było do pretensji o romans, który ukochanej kobiecie przydarzył się przed wieloma laty, zanim się ją poznało. Bardziej dojmująca była niechęć do Łucji, że uzurpuje sobie prawo obchodzenia się z nim jak ze szczeniakiem, zawiść z przymieszką podziwu z powodu nieomyślności posunięć Donata, z powodu nadmiernej pewności siebie Firmina. Marzył o tym, by zdarzyło się cokolwiek, co zachwiałoby ich autorytetami, cokolwiek, co jemu pozwoliłoby zabłysnąć swoją racją. Pięć minut temu znajdował się u dziewczyny. Była to skromna urzędniczka z Miejskiej Rady Narodowej. Imponowało jej, że mą przyjaciela lekarza, postanowiła sobie, że wyda się za niego za mąż, choć była starsza od niego o dwa lata, wyższa o głowę i śmieszyła ją jego puciołowata, różowa twarz dziecka. Jego zaś ten romans przyprawiał o jeszcze dokuczliwsze rozdrażnienie: wolałby stanowić cel marzeń dla kogoś bardziej interesującego.

Nie tyle z wewnętrznego poczucia obowiązku, ile z nawyku, wdrożonego twardą ręką Donata - a po trochu może z ciekawości, podniecony, że coś nareszcie się dzieje wśród nudy vegetacji, odsunął szorstko Jankę, gdy tylko usłyszał syreny. Janka mieszkała w nowym osiedlu na przedmieściu i Janusz myślał z niezadowoleniem, że zanim dotrze do miasta, będzie już może po wszystkim.

Bloki, przed chwilą ciemne, rozświeślały się, przebudzone alarmem. Na dole, w podwórzu, kierowca wyprowadzał swój wóz z garażu.

- Siadaj pan - powiedział krótko i niezbyt grzecznie. Zawilski wskoczył do taksówki, niewiele myśląc. Znał tego kierowcę, ostatecznie nie tak znów wiele taksówek posiadają Nowobory. Nieużyty zdzierca. Nie weźmie za nic kursu, który mu się nie opłaci sownie, choćby go błagać na klęczkach.

Przed szpitalem kierowca stanął. I tu już gromadził się tłum. W wielką, kutą w żelazie bramę, otwartą na rościę, skręcała właśnie karetka.

- Dalej wjeżdżać nie warto, tam tłok - pochylił się Kora w stronę kierowcy.

- Ile panu płacę? - spytał Zawilski szperając po kieszeniach.

Doktor Kora już wysiadł. Jego tęga, masywna postać, biegnąca drobnym truchtem przez szpitalne podwórze, wyglądała śmiesznie. Janusz patrzył w twarz kierowcy, chudą, złą i zaciętą. Napotkał spojrzenie małych, kłujących oczu. Zwężone źrenice wpatrywały się w młodego lekarza z jawną drwiną.

- Pan doktor krótko jeszcze widać na świecie żyje. Człowieka nie widział - syknął kierowca i poderwał z miejsca wóz.

Janusz Zawilski nie bardzo zrozumiał, o co chodzi złośliwemu kierowcy zielonej warszawy. Stał zaskoczony przed szpitalną bramą, odruchowo potrząsając w dłoni monetami, wydobytymi z portmonetki. Wzruszył ramionami i niezbyt się spiesząc poszedł w kierunku głównego budynku.

Człowiek o nieprzyjemnych oczach zawrócił swoją taksówkę i wyprowadził ją zręcznie z tłumy, coraz bardziej gęstniejącego wokół szpitalnej bramy. Kilka ulic przejechał na pełnym gazie, gdy znalazł się jednak znów na szosie, prowadzącej do kolejowego przejazdu, musiał zwolnić. Rozglądał się uważnie po bokach. Na chodnikach, w miejscach, gdzie nie docierało światło latarni, ciemne postacie spieszących ludzi spletały się z równie ciemnymi konturami topoli i kasztanów; miało się wrażenie, zwłaszcza patrząc z okna jadącego samochodu, że porusza się cała kolumna drzewnych pni i ciągnie w kierunku

jarzącej się luny. Kolejny oświetlony odstęp drogi kładł kres temu złudzeniu, przywracał drzewom nieruchomość, kształt zaś ruchomym ludzkim cieniom. Tam oczy kierowcy odnalazły postać, która go zainteresowała. Podjechał do krawężnika wpierając niemal maskę wozu w pryzmę śniegu, i głośno zawołał w ślad za szybko oddalającym się mężczyzną:

- Panie doktorze, proszę tutaj!

Donat odwrócił się. Otworzył usta, chyba zamierzał zapytać, kto i po co go woła, lecz nie odezwał się. Przeskoczył przez śnieżny wał i zajął miejsce obok kierowcy. Jechali w zaciętym milczeniu, pełnym napięcia i niecierpliwości, dopasowani do milczącego tłumu, do milczenia nocy - jak gdyby się bali bodaj szeptem zakładać jedyny dźwięk, który miał prawo rozbrzmiewać donośnie i bez przeszkód: przeciągłe zawodzenie syren.

W miarę zbliżania się do przejazdu gniazdo ognia, balansujące na horyzoncie u wylotu szosy, rozrastało się i rozpychało mrok. Ciemność nocy zdawałoby się pękać w tym miejscu, ukazując oczom swoje płonące wnętrza. Autobus, a raczej to, co z niego pozostało, rozgniecione przez potężny parowóz i rozwleczone wzdłuż torów na przestrzeni kilkudziesięciu metrów, płonęło oblane benzyną z rozdartego motoru i pękniętych kanistrów. Tłum stał dookoła gęsty, zwarty, rozstępujący się tylko przed kolejną karetką pogotowia czy strażackim wozem. Obaj mężczyźni wysiedli z samochodu.

- To ja tu poczekam na pana doktora - odezwał się kierowca. Głos miał równie nieprzyjemny jak spojrzenie, chrapliwy i brzmiały szorstko.

Donat spojrzał na niego pytająco. Wciąż jeszcze nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, jakby niewidzialna czyjaś ręka trzymała go za gardło.

-; No bo przecie pan doktor chyba tu nie zostanie. Chyba pan doktor będzie musiał do szpitala - wyjaśnił szofer prawie z naganą.

Donat niemo skinął głową. Stojący w pobliżu odwrócili się ku mówiącemu, w ciszy jego słowa rozlegały się donośnie. Lekki szept przebiegł wśród zgromadzonych. Ludzie rozstępowali się

przed Donatem, pozwalając mu precyzyjnie się. Za Donatem, korzystając ze swobodnego przejścia, przepychał się drobny, zaaferowany człowieczek.

- Proszę i proszę, dajcie, ludzie, przejść, przecież ja tu służbowo, mówię im, wiceprzewodniczący Rady Narodowej jestem, muszę się tam dostać, a oni nic. Jak mur. Milicja, gdzie milicja... Trzeba by stąd wszystkich poussuwać.

Gderał coś jeszcze, niezbyt głośno i niezbyt pewny siebie, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi.

- Zamilczałbyś pan lepiej - stęknął czyjś głos z boku bez gniewu, lecz tak, jak uspokaja się rozkrzyczane dziecko - ludzi trzeba ratować, a nie tam milicją straszyć.

Dotarli wreszcie do pierwszych szeregów. Otworzyło się przed nimi na kształt sceny wielkie półkole, które bez tłumu wydało się niemal puste, chociaż działali w jego obrębie ludzie. Tłum nie napierał na ten swobodny krąg zaśnieżonej polnej płaszczyzny, na której różowym odbłaskiem kładły się barwy płomienia i czerniały tu i ówdzie rozrzucone szczątki autobusu. Pierwszy szereg tłumu tworzył kordon, przypadkowi ludzie trzymali się za ręce, chociaż właściwie nie było to potrzebne. Przejazd pozostał o kilkadziesiąt metrów na prawo. Pośrodku stał pociąg, świecąc pustymi oknami przedziałów i lśniąc groźnie ciężkim, masywnym korpusem lokomotywy. Jej światła i silne reflektory milicyjnych i strażackich wozów rozjaśniały pole, płytkie rowy przy torach, wypełnione skrzącym się śniegiem, i sylwetki krzątających się ludzi. Strażacy gasili palące się szczątki autobusu. Kolarze i sanitariusze wyszukiwali i nosili rannych, milicjanci snuli się między parowozem i budką dróżnika, mierzyli coś, notowali i robili zdjęcia.

Donat ogarnął wzrokiem całość obrazu i wyszedł poza kordon, na pole. Przekroczenie tej linii wyrwało go z odrętwienia. Chciał zawołać: „Ireno! Ireno, odezwij się, gdzie jesteś?” - ale opanował się. Podszedł do grupy stojącej przy lokomotywie. Znajdował się tu naczelnik stacji, komendant milicji, sekretarz partyjny Żarnowiec i ów wąty, szczupły wiceprzewodniczący Rady Narodowej, Migotek, który niczym

zaaferowany wróbel, krążąc drobnym, podskakującym kroczkiem wokół Żarnowca, szarpał go ustawicznie za ramię i nie ustawał w jakichś perswazjach czy propozycjach.

Donat i Żarnowiec uścisnęli sobie ręce sztywno i dość chłodno. Po prostu nie lubili się. Żarnowiec uważał Donata za sobiepanka i „zarozumiałego inteligenta”, Donat miał za złe sekretarzowi, że wtrąca się do „nie swoich” spraw, na których na dodatek mało się zna, to znaczy do spraw szpitala, traktowanych przez Donata jako domena specjalnego, wyższego wtajemniczenia.

- Nie starczy karetek - powiedział Donat - trzeba zorganizować dodatkowy transport rannych.

- Zaraz, zaraz... - zaniepokoił się wiceprzewodniczący Migotek - tylko ci ludzie... Jak by tu zrobić, żeby tych ludzi usunąć...

- Wy, doktorze, chyba pojedziecie zaraz stąd do szpitala? - pytanie Żarnowca brzmiało jak nakaz.

Czoło Donata sfałdowało się, usta zacisnęły się w wąską kreskę. Skinął głową.

Wiceprzewodniczący po cichu wydawał tymczasem rozkazy jednemu z milicjantów. Milicjant kiwał ze zrozumieniem głową, ale ręce rozkładał ruchem oznaczającym bezradność. Z ciemności wyłoniła się obok nich wysoka, szczupła sylwetka.

- No i co, towarzyszu Brand?

Prokurator Filip Brand mimo trzaskającego mrozu wachlował się rękawiczkami:

- Z tego, co mówią robotnicy, którzy pracowali tu na plancie, wynika, że winien dróżnik. Widzieli, jak podnosi się szlaban i jak autobus wjeżdża na przejazd, ktoś z nich dostrzegł nawet nadjeżdżający pociąg, wołał, ale było już za późno.

- A co mówi dróżnik?

- Zwiął. Tam już ludzie rozbiegli się, szukają go. Życzę mu, żeby go raczej odnalazła milicja. Może dojść do samosądu - powiedział poważnie, zwracając się do komendanta milicji. - Zabezpieczyłem wszystkie dowody w budce dróżnika. Chodźmy tam, obywatelu naczelniku, musimy przesłuchać waszego dyżurnego ruchu ze stacji.

Oddalili się, naczelnik dowodził czegoś prokuratorowi, wymachując energicznie rękami niby wiosłami. Żarnowiec przytrzymał za ramię Donata, który odszedł już kilka kroków:

- Dlaczego mówicie, doktorze, że karetka nie starczy? Jest ich, zaraz, ile? Pięć, nie, sześć. Tak, sześć. Nie wiemy jeszcze; ile jest ofiar, może nie tak dużo. Mówią, że w autobusie chyba nie wszystkie miejsca były zajęte...

Donat popatrzył w twarz Żarnowca, zaróżowioną odbłaskami wciąż jeszcze palących się szczątków autobusu. Była to twarz o wydatnych, mocno uformowanych rysach, głębokich fałdach i bruzdach, zacięta i pochmurna, chłopska twarz z obrazów dawnych polskich malarzy. Ciemne oczy, wykrojone ukośnie, z opuszczonymi ku dołowi kącikami, przypominały nieraz Donatowi oczy wyźła. Odpowiedział sucho:

- Autobus był pełny. Moja żona telefonowała wczoraj, że udało jej się wykupić ostatnie miejsce.

Odwrócił się i odszedł szybkim krokiem, biegiem prawie, aby nie patrzeć już w twarz Żarnowca i aby nie słyszeć współczującego „och” małego człowieka z Rady Narodowej.

Irena leżała w owym płytkim, iskrzącym się w świetle reflektorów rowie, na wznak, zgiętym ramieniem przykrywając oczy, jak gdyby raziło ją światło reflektorów.

Nie była to pierwsza ofiara katastrofy, nad którą Donat pochylił swoją wysoką, barczystą postać. Pochylał się przedtem już wielokrotnie i za każdym razem zdawało mu się, że to Irena. Kilkanaście razy tak zginał się, prostował, unosił się z klęczek, szedł dalej. Odnosił wrażenie, iż czynność tę powtarza godzinami, że zmasakrowanych i poranionych postaci są setki. Gdy wreszcie schylił się nad ośnieżonym krzakiem, pod którym leżała Irena, nie poznał jej. Automatycznym ruchem podniósł się i chciał iść dalej. Kiedy jednak z góry, z wysoka spojrzął na leżącą, nie jej obca, nie znana mu, biała twarz, zastygła w tragicznym skurczu i poplamiona krwią, ale całe ułożenie postaci, ów ruch ramienia, przesłaniającego oczy, powiedział mu, że to ona.

Wziął ją na ręce. Nie jęknęła, chociaż wiedział, że żyje. Znał ten objaw. Ci ranni będą milczeć pomimo bólu szarpiącego ich

ciała. Chociaż żywi, będą bezwolnie i martwo poddawać się wszystkim najboleśniejszym opatrunkom i zabiegom. Po pewnym czasie dopiero zdołają wydobyć z siebie krzyk. Niektórzy z nich do końca życia zrywać się będą po nocach z krzykiem, gdy sen przypomni im te chwile, kiedy krzyczeć nie mogli.

Położył Irenę w miejscu, gdzie gromadzono rannych do transportu. Orientował się, jak szybko, do jakiego stopnia szybko potrzebna jest im pomoc. Pomoc ta nadchodziła zbyt wolno. W chwili gdy stał nad szeregiem martwo leżących, ciemnych kształtów, kolejna karetka odjechała. Następna nadjedzie dopiero za pięć, dziesięć minut. Śnieg czernieje wokół leżących ludzi, jak gdyby tajał i odsłaniał wilgotną, ciemną ziemię. Ale to nie ziemia, to krew.

Donat obwiodł wzrokiem miejsce katastrofy, mroczną, nieruchomą, milczącą ścianę ludzi, otaczającą niby wał zaśnieżoną płachtę pola ze spiętrzonego pośrodku pociągiem. Widział twarze tych, co stali w pierwszym szeregu. Nie znał nikogo. Poczł się bezradny i osamotniony. Czy kogokolwiek z nich stać na jakąś radę? Nie wiedział. Człł, że czegoś od nich chce, czegoś oczekuje, ale nie wiedział sam, czego mógł się spodziewać. Nikt nie przeniesie tu na barkach szpitala, aby ratować życie owych sześćdziesięciu rannych, rozrzuconych po polu, uwięzionych w resztkach autobusu, być może pod kołami lokomotywy. Ani nie dadzą rady zanieść rannych do szpitala, a choćby nawet zdołali tego dokonać, ranni skonąją im po drodze z upływu krwi. Tu potrzebna jakaś inna pomoc, i to natychmiastowa.

Z gniewem obrócił twarz w kierunku grupki, która, jak mu się zdawało, tkwiła obojętna i nieporuszona przy lokomotywie. Spostrzegł jednak, że grupa się powiększyła. Przed Żarnowcem stało kilka osób, wśród nich w pozie dość sztywnej, widocznie pragnąc podkreślić swoją niezależność, ów kierowca, który przywiózł Donata na przejazd. Julian zbliżył się do nich szybkim krokiem.

- Dobrze, że jesteście, doktorze. Kazałem już was szukać. Co myślicie o tej propozycji: tu zgłosił się obywatel z taksówką i

zorganizował jeszcze kilkanaście wozów do przewozu rannych. Czy ranni są w takim stanie... No, czy można ich kłaść do taksówek...? - Donatowi wydało się, iż Żarnowca krępuje fakt, że musi go prosić o radę.

- Czy można... - mruknął ponuro. - Trzeba. I to trzeba natychmiast, jeżeli chcemy mieć o kilka śmierci mniej.

Spojrzał w ciemną, chmurną twarz kierowcy. Właściwie teraz dopiero zobaczył ją dokładnie; gdy jechali taksówką, Julian patrzył tylko przed siebie. Na twarzy tej przełamywały się i krzyżowały ostre światła reflektorów, czyniąc jej rysy jeszcze bardziej ostrymi, wydłużając spiczasty nos i przydając ciężaru kanciastemu podbródkowi. Półprzymknięte powieki ukrywały wyraz oczu. „Jaka niesympatyczna twarz” - pomyślał mimo woli Donat.

- No to już - rzucił nieprzyjemny kierowca i Donat ze zdziwieniem dosłyszał w tym krótkim zdaniu ulgę i jakby ciepło.

Sprawa nie była jednak prosta. Wozy należało przeprowadzić po zaśnieżonym polu i przez gęsty tłum. W tłumie zaś zaczynała wzbierać panika: nadbiegli teraz widocznie ci, których bliscy znajdowali się wśród pasażerów rozbitego autobusu. Jakaś kobieta krzyczała histerycznie, głos jej wznosił się i opadał, podobny do jęku syreny.

Kiedy do Żarnowca podszedł niechlujnie ubrany wysoki i chudy człowiek, sekretarz zachnął się. Jeszcze tego brakowało, żeby w takim momencie, przy takim ludzkim zbiegowisku, gromadziły się męty. Zaraz zacznie się rozróbka. Ale tym razem Kurzawa nie był pijany. Jakaś zacięta determinacja malowała się na jego groźnej, dziobatej twarzy.

- Mogiem pomóc - odezwał się wyzywająco, nie do Żarnowca bezpośrednio, lecz do ludzi stojących za plecami sekretarza.

Żarnowiec obejrzał się, szukał kogoś, kto pomógłby mu okiełznać w porę notorycznego awanturnika. Komendanta milicji zabrał ze sobą Brand. Kilkunastu innych milicjantów pomagało kolejarzom i żołnierzom przeszukiwać teren.

- Mogiem pomóc - powtórzył z naciskiem Kurzawa. Jego podpuchnięte i obwiedzione ciemnym sińcem oczy patrzyły na Żarnowca z drwiącym wyzwaniem.

Ale Żarnowiec już się opanował. Spokojnym, rzeczowym głosem, jak gdyby pierwszy raz w życiu spotkał się z tym człowiekiem, powiedział:

- Dobrze. Oczywiście, pomagajcie. - Z nawyku organizacyjnego chciał jeszcze zapytać, tak, jak zwykł informować się, gdy zgłaszała się jakaś ochotnicza brygada młodzieżowa albo aktywiści z zakładów pracy: „A ilu maci4 ludzi?”, pomyślał jednak, że w tym wypadku odezwanie się takie stanowiłoby coś w rodzaju towarzyskiego nietaktu. Milicja szacowała bandę Kurzawy na mniej więcej dwadzieścia osób, a kto tam mógł wiedzieć, ilu ich jest naprawdę, skoro połowy wyczynów nikt nie był w stanie im dowieść.

Kuriawa odwrócił się i znikł w tłumie. W tej chwili dopiero Żarnowiec zorientował się, że nie powiedział, co ma robić niezwykła ekipa pomocnicza. Machnął ręką. Może i lepiej. Powiedzą później, że bandziorami dyrygował. Ale oto w tłumie zaczął się ruch. Żarnowiec dosłyszał ciche gwizdnięcie i ciżba ludzka zaczęła rozdzielać się, rozstępować, usuwać na boki. Mocny łańcuch połączonych rąk uformował kordon. Utworzyły się dwa szerokie wolne pasy, na których zamigotały reflektory nadjeżdżających taksówek. „Ma chłop zmysł organizacji” - pomyślał Żarnowiec i ruszył w kierunku, gdzie nad rannymi stał Donat i kilku innych lekarzy, którym udało się przedrzeć przez tłum.

Żarnowiec nachylił się nad pierwszym z brzegu leżącym i zawołał do wiceprzewodniczącego, który sprawiał wrażenie ogluszonego wszystkim, co działo się dookoła niego, a nie zostało przewidziane w żadnym z okólników czy rozporządzeń:

- Pomoglibyście tu rannych nosić, obywatelu Migotek, pożytek by z was był!

Przejsiemiem, strzeżonym przez tajemniczych kumpli Kurzawy, udało się wreszcie przedostać się na miejsce katastrofy także ludziom z acetylenowymi palnikami. Przybyli z odległej, bo mieszczącej się aż na drugim końcu miasta, fabryki silników.

Należeli do nocnej zmiany. Żarnowiec nie mógł się dowiedzieć, kto ich zawiadamiał, kto wezwał na pomoc.

- Ano, przyjechał jakiś chłopak na motocyklu, zziąjany jak nieboskie stworzenie, i mówi, że aparaty potrzebne do cięcia, bo autobus zgnieciony i ludzi nie ma jak z niego wydobyć - tłumaczył stary, tęgi majster, którego Żarnowiec znał z różnych narad, odpraw i konferencji.

Stary majster nie zaliczał się do tych, którzy sekretarzowi ułatwiali życie. Do jego zwyczajów należało mieć własne zdanie, nie zawsze zgodne z racją ogólną. Żarnowiec uważał, że majster nie widzi dalej własnego nosa, pod określeniem tym rozumiejąc nieszeroki zasięg interesów jego brygady.

Gdy rozbłyski jaskrawego, błękitnego światła oznajmiły, iż krnąbrna brygada przystąpiła do działania, wyłoniła się nowa trudność. Ale teraz już Żarnowiec działał swobodnie i pewnie. Jak gdyby nawiązały się nici pomiędzy nim i zwartym, milczącym tłumem, sięgał śmiało w mrok i sprowadzał z niego pomoc. Trudność przestawała być groźna. Tak zdobył ludzi do noszenia rannych i prowizoryczne opatrunki, których wciąż było zbyt mało, tak też wydobyto spod rumowiska pogiętego i rozpalonego żelastwa pozostałe ofiary katastrofy i uprzątnięto plant kolejowy, aby pociągi zaczęły znów normalnie kursować.

Pan sędzia Wróblewski, tego wieczora trzeci partner brydżowy doktora Kory i prokuratora Branda, wraz z jednym z „ludzi Kurzawy” nieznużenie dźwigał rannych na prowizorycznych noszach, zrobionych z koca przyniesionego przez mieszkającą w pobliżu przejazdu staruszkę-emerytkę. Koc stanowił prawdopodobnie jeden z jej cenniejszych i nielicznych skarbów. Swego pomocnika sędzia Wróblewski kilka lat temu obdarzył dość okazałym wyrokiem.

Franka Koralczyk z początku bez celu deptała po piętach Kurzawie. Wreszcie znudziło mu się:

- Nie majówka dla szanownej panny - warknął - klienta tu nie złapiesz. Do roboty byś się wzięła.

Milczała. Do tego nie przywykła. Zazwyczaj odpowiadała stekiem wulgarnych słów. Ze wszystkich dziewczyn ulicznych w Nowoborach ta była chyba najgorsza. Taka wróciła z Niemiec

po wojnie. Mówili, że w, głowie jej się pomieszało, bo w obozie dziecko jej zabili fenolem, inni plotkowali, że dwa lata trzymano ją w żołnierskim burdelu. Teraz Kurzawa patrzył w jej twarz przesłoniętą półmrokiem. Odwróciła się. Przez brzydką, zniszczoną, okrutną twarz przesunął się promień reflektora karetki i zgasł, pozostawiając znów białawą plamę bez wyrazu. Franką Koralczyk płakała i obraz ten poruszył nienawykłego do takich widoków Kurzawę.

- Co ci? - spytał szorstko, lecz już bez drwiny.

- Tam - wskazała ręką tory - taka mała dziewczynka... Może ze dwa lata. Z matką widać jechała... - Franka zatrzęsała się nerwowo. Oczy jej błyszczały nawet przez mrok.

Kurzawa poklepał Frankę po plecach. Nie umiał pocieszać ani przemawiać, nie jego fach.

- Idź, Franka - powiedział miękko - trzeba by, wiesz, pozbierać klamoty, co na drodze porzrucane. Teraz to nikt o tym i nie myśli. Pewnie, racja. Ale potem to się pokapują. Jeszcze kto rozkradnie, na nas będzie. Idź, zrób tam co.

Siąknęła z fasonem nosem i już po chwili Kurzawa słyszał jej przepity, zachrypnięty głos, komenderujący jakimiś młodymi chłopakami, których wyłowiła z najbliższego tłumy. Zbierać rzeczy nie było łatwo. Stos rozprutych walizek, podartych płaszczy, zawiniątek, torebek rósł jednak w rowie, gdzie pilnował go jeden z milicjantów, uproszony przez Frankę.

Franka wpełzła pod spiętrzony stos pogiętego żelastwa. Tkwiło wśród niego skrecone w nieprawdopodobnej pozycji ciało tęgiej kobiety w eleganckim futrze z nutrii. Głowę miała rozmiądzoną, z całą pewnością nie żyła. Franka знаła tę kobietę. Interesy, prowadzone przez tęgą blondynę, sytuowały się często na pograniczu podziemnego światka Nowoborów.

- Ale ją urządziło - mruknęła do siebie Koralczykówna.

Ostatnim świadomym ruchem, zanim została zabita, kobieta ratowała widocznie to, co uważała za najcenniejsze: kurczowo ścisnęła w rękach pękatą torbę.

Franka wyjęła ją ze sztywnych palców zabitej. Zajrzała do środka i gwizdnęła. A co, jeżeli by tak podebrać sobie z tego choć połowę? Nikt się nie dowie. W katastrofie przepadło i tyle.

W domu blondyny został tylko mąż, kutwa, nie lepszy od tej tu... Na co tyle forsy dziadowi? Upić by się można za wszystkie czasy. Franka stawia. Dziś Franka stawia ferajnie. Kupi sobie ciuchy, ot, choćby takie, jak ta ma na sobie. I może jeszcze... Może mogłaby się urwać z tych przeklętych Nowoborów. Pojedzie gdzie, pokój najmie, życie sobie odmieni. Czy można jeszcze odmienić życie? Takie życie, jak jej? Nic z tego życia odmienić się nie da. Nie da się odmienić tego, co było, a po tym, co było, inne życie nie może być, jak tylko to. Tylko takie, jakie Franka prowadzi.

- Tfu, do diabła. Ale mnie oblażło jak wszy... - Franka splunęła pogardliwie i podrzucając niedbale ciężką torbę, poniosła ją pośpiesznie i rzuciła ze złością na stos piętrzący się u stóp milicjanta.

- Coś taka panna Frania grzeczna dziś - mruknął zjadliwie.

- Taka już z natury jestem. Tylko milicja się na mnie nie poznała - burknęła niechętnie i znikła.

Donat odjechał jedną z pierwszych taksówek, z tym samym ponurym kierowcą, który zorganizował transport rannych. Żarnowiec i Migotek pozostali na miejscu, dopóki przejazd nie opustoszał. Mały wiceprzewodniczący w niczym nie przypominał zadufanego i obcesowego urzędnika, który osiem godzin temu przepychał się za Donatem i miał ludziom za złe, że nie rozstępują się na sam dźwięk jego głosu. Ubranie jego wyglądało opłakanie, podarte, zasmolone i przemoczone; w brudnej i spoconej twarzy, którą ocierał rękawem poplamionym krwią, błyszczały gorączkowo zmęczone oczy.

Zgąsło błękitne światło palników, ekipa fabryczna odjechała, załadowawszy się razem ze swoim sprzętem do taksówek, krążących bezustannie pod komendą ponurego kierowcy zielonej warszawy.

- Będiesz pan musiał przez tydzień szorować i pucować tę swoją arkę Noego - sapał gruby majster sadowiac się w starym fiacie.

Kierowca machnął lekceważąco ręką. Jak wszyscy teraz, w godzinie zimowego przedświt, twarz miał ciemną spopieląłą, poprzecinaną głębokimi krechami znużenia:

- Co tam... Nieważne. Ot, z głowy mi wyjść nie może co innego. Chłopak taki jeden, którego wiozłem. I nie dowiozłem. Umarł mi w drodze do szpitala. Ojca znam.

Nacisnął starter i fiacik ruszył z szybkością, o jaką majster nigdy by go nie podejrzewał.

Ludzie rozchodzili się. Zaczynało świtać i już jak okiem sięgnąć szarzała płaszczyna zaśnieżonych pól, lekko-błękitna, jak gdyby rozlał się i przywarł do niej niebieski odbłask acetylenowych aparatów. Z wolna wyłaniały się z mroku pagórki i cały krajobraz zaczynał przybierać znany, powszedni widok, do którego nawykły oczy. Fatalny pociąg wycofano na bocznice. Rzeczy pasażerów, pozbierane skrzętnie przez Frankę Koralczyk i chłopaków, zabrała milicja. Gdyby nie udeptany, szerniały miejscami śnieg, gdyby nie stos szczątków autobusu, widniejący na skraju plantu, Żarnowiec mógłby sądzić, iż przeżył właśnie tej nocy jakiś bardzo dziwny i dramatyczny sen. Nie mógłby bowiem autorytatywnie stwierdzić na jawie: czy rzeczywiście przed chwilą jeszcze podszedł do niego wysoki, barczysty człowiek o bezczelnej, dziobatej twarzy i bezceremonialnie wyciągając rękę, powiedział:

- No to po wszystkim. Odmeldowuję się, proszę władzy. A jak by co jeszcze było potrzeba, Kurzawa do usług. Przez radiowęzeł zwywać nie trzeba. Sam się zgłoszę.

Żarnowiec poczuł w tym momencie dopiero, jak bardzo jest wyczerpany i przemarznięty. A tu zaczyna się nowy dzień. Normalny, zwykły dzień pracy. Trzeba teraz zajrzeć do szpitala. Dowiedzieć się, co z rannymi, czy czego nie potrzeba. Na pewno potrzeba. W szpitalu i tak zawsze miejsc brak, a tu dodatkowo sześćdziesiąt osób. Ile zmarło? Zdaje się, dziesięciu pasażerów. Kierowca. Co z kierowcą?

Wstrząśnięty do głębi obrazami, które przesunęły się przed jego oczyma, ledwo trzymający się na nogach, czuł jednak mimo wszystko w sobie jakieś trudne do uchwycenia uniesienie. Przypomniał sobie, jak w czasie wojny po jednej z bitew Świerczewski przypinał mu order. Doznał wtedy podobnego uczucia. Tamta chwila była odświętna, podniosła, utwierdzała wiarę w siebie. A dziś przecież co innego.

Tragiczna katastrofa. Czyjaś zbrodnicza nieuwaga czy opieszałość. Trzeba będzie grzebać się znów w czyichś brudach. Dłaczegóż więc tak mu pasują do siebie tamto wspomnienie i dzisiejsza noc? Żarnowiec nie wie. Nie umie sobie tego wytłumaczyć. Trudno zastanawiać się w chwili, gdy trzeba dalej działać.

Dwaj milicjanci przechadzają się wzdłuż toru. Migotek milczy, zziębnięty i skulony. „O czym myśli teraz taki Migotek?” - zastanawia się Żarnowiec. Niebo nabrało już barwy szarosinej. Chyba niedługo wzejdzie słońce. Biała jasność jak woda zmywa z nieba ostatnie gwiazdy. Gdy nocą migwały po polu i wzdłuż rowów, w miejscach nie oświetlonych przez reflektory, ręczne latarki, Żarnowiec pomyślał: „Jakby gwiazdy pospadały z nieba i błakały się wśród szczątków rozbitego autobusu”. Nadbiegło jakieś przypomnienie, które być może rozwiązałoby mu równanie dwóch momentów jego życia, tak różnych, a tak jakoś zbliżonych. Ale w tej chwili Migotek spłoszył jego nie dokończoną myśl. Dotknął rękawa Żarnowca i powiedział:

- O, popatrzcie, już przywrócili komunikację.

Z daleka nadlatywał, gwizdząc i świecąc wielkimi, jasnymi oczami świateł, poranny pociąg pośpieszny.

- No, pójdziemy już, mój drogi - powiedział Żarnowiec do Migotka niespodziewanie dla siebie ciepło i przyjaźnie.

Ci ludzie dzisiejszej nocy... Ci ludzie, których Migotek w pierwszym urzędowo-twórczym zapale chciał porozpędzać. Ci ludzie, których Waclaw Żarnowiec znał przecież na codzien i na wylot, co tu ukrywać, często nie od najlepszej strony. To byli ci sami ludzie tu, dziś w nocy, na miejscu katastrofy, czy jacyś inni?

Odwrócili się twarzą ku miastu i zaczęli iść środkiem jezdni, udeptanej i wyjeżdżonej, wypolerowanej aż do lśniącej, porcelanowej gładzizny. Otwierały się drzwi domów, trzaskały furtki. Ludzie szli już do pracy.

W szpitalu trwała dziesiąta z rzędu operacja.

ROZDZIAŁ 3 ŚWIATŁO BEZ CIENIA

Droga do szpitala wydała się Donatowi beznadziejnie długa. Nie próbował jednak przynaglać szofera. Ponury człowiek za kierownicą zanadto był pewny siebie. Jego zacięta twarz o długim nosie i przymrużonych impertynencko oczach mówiła: „Lepiej wiem od pana, panie doktorze, jak należy jechać po nocy, śliską szosą, pełną ludzi, i to na dodatek mając na tylnym siedzeniu wozu dwóch ciężko rannych”. A może ten człowiek w ogóle lepiej wiedział niż Julian, co i jak w życiu należy robić? Zresztą, to nie sztuka wiedzieć lepiej od niego, gdy on sam w tej chwili czuje się tak całkowicie wytracony z równowagi.

Przede wszystkim dręczyło go pytanie, co się dzieje w tej chwili w szpitalu. Spojrzał na zegarek: jedenasta. A więc zaledwie godzina minęła od momentu, gdy wsłuchując się z niechęcią w niefrasobliwe kukanie swego ściennego zegara, usłyszał pierwszą syrenę Pogotowia. Gdyby go jednak ktoś zapytał, jak dawno się to zdarzyło, odpowiedziałby, że bardzo, bardzo dawno i że od tamtych liczonych minut minęła już chyba cała noc, a może doba. W pierwszym odruchu postąpił z pewnością, jako lekarz, właściwie: spieszył tam, skąd szło wołanie o pomoc. Ale jego odpowiedzialność była wyższego rzędu: odpowiadał za szpital i tam powinien był niezwłocznie podążyć, zawrócić z drogi, gdy tylko dowiedział się, co się stało. Przecież w szpitalu najbliższe godziny, ułamki sekund, decydują o życiu kilkudziesięciu ludzi. Julian Donat, dyrektor szpitala, nie zawrócił jednak z drogi. Udał się natomiast na miejsce katastrofy, tracąc cenny czas, owe minuty i sekundy, należące do ludzi, których okrwawione ciała wydobywano z nadludzkiem wysiłkiem spod stosów pogiętego, połamanego i płonącego żelastwa. Uczynił zaś tak dlatego, że wśród pasażerów autobusu znajdowała się jego żona.

Zdawał sobie sprawę, że teraz - choć nikt mu tego nie zarzuci, odwrotnie, wszyscy podkreślać zaczną, jak czynny i ofiarny brał udział w bezpośredniej akcji ratowniczej - czuć się będzie do

końca życia winnym każdej śmierci, która dosięgnie na terenie szpitala którąkolwiek spośród ofiar katastrofy.

A czy nie dlatego nie zawrócił z drogi, wpatrzony w lunę na przejeździe, że, wbrew rozsądkowi, poczuwał się do odpowiedzialności za to, co stać się mogło i co rzeczywiście stało się z Ireną? Ów dziwny, pochmurny i milczący człowiek, siedzący obok przy kierownicy, którego nie znał, ale którego ciemną twarz widywał czasami przelotnie na ulicy za przednią szybą zielonej taksówki, nazwałby zapewne to, co czuł Julian, wyrzutami sumienia. Donat posiadał bystry umysł i nazbyt głęboką znajomość ludzkiej natury, aby siebie samego wprowadzać w błąd co do pobudek swego działania: gdyby kochał jeszcze Irenę i gdyby pragnął jej powrotu równie mocno, jak trzy lata temu, potrafiłby się wyrzec ratowania jej życia za cenę życia innych ludzi. Stawiłby się natychmiast w szpitalu, jak to już uczynili zapewne inni lekarze, jego podwładni, spełniałby po prostu swój obowiązek mimo gorączkowej trwogi o życie bliskiego człowieka. Opanował go jednocześnie tępy, zły gniew. Jeden rzut oka na zmasakrowane ciało Ireny uświadomił mu: jeśli ta kobieta wyżyje, Julian nigdy nie wyzna jej tego, co miał powiedzieć dzisiejszej nocy. Oto jak martwe, bezmyślnie zawieszono nie w porę nad przejazdem ramię szlabanu zdecydowało o losach jego i Łucji.

Tak się zamyślił, że nie dostrzegł, iż samochód skręcił już w szpitalne podwórze i zahamował przed głównym wejściem.

- Panie doktorze!

Poczuł dotyk twardej ręki na swym ramieniu. Kierowca budził go z odrętwienia. Donat wysiadł posłusznie i na moment zastygł. Widok, który zobaczył, poraził go tak, że chciał krzyknąć:

- Ależ, proszę pana, to pomyłka! Mieliśmy jechać do szpitala...

Wydało mu się bowiem, że oto znaleźli się z powrotem na przejeździe. Ten sam tłum, zwarty, gęsty, milczący, wypełniał całą niemal przestrzeń podwórza. Jak tam, i tu ludzie stali niemo, wpatrzeni w światła. Światła, w które teraz patrzyli, nie były już jednak oślepiającymi, nierównymi smugami

reflektorów lokomotywy i samochodów. Równe, łagodne, jasne pasma spływały ze szpitalnych okien, rozjaśniających wszystkie kondygnacje przysadzistego gmachu. Ku zdumieniu Donata świeciło się nawet w skrzydle remontowanym opornie od przeszło pół roku i na skutek remontu nieczynnym.

Miał ochotę powiedzieć coś tym ludziom stojącym tu na mrozie. Że stoją niepotrzebnie. Że nawet przeszkadzają. Że w niczym przecież nie mogą być pomocni lekarzom, ani w opatrywaniu, ani w zszywaniu ran. Niech więc zostaną tylko ci, których krewni znaleźli się w niebezpieczeństwie. Czuł jednak, że nie potrafi tego im powiedzieć. Stali się mu jakoś dziwnie bliscy przez to, że po prostu byli blisko. Byli obok niego i z nim niby jego własny cień albo mroźne powietrze, którym oddychał, w trudnej chwili, jaką przeżywał, i to sprawiało mu ulgę. Chyba byłoby mu jeszcze ciężiej, gdyby nie miał świadomości, że napotka tę zbitą w gromadę, ciepłą ludzką ciżbę, jeżeli tylko wyciągnie rękę. Gotów by w tej chwili wyznać im swoje strapienie, pewien, że zostałyby przez nich cierpliwie wysłuchane.

Od tłumu oderwały się dwie postacie. Dźwigały nosze. Nie zajaśniały jednak w mroku szpitalne białe kitle. Nosze dla rannych przynieśli jacyś zwykli ludzie. W jednym z nich Donat rozpoznał młodego ekspedienta z galanteryjnego sklepu. Wysokiej, szczupłej dziewczyny nie znał. Ktoś trzeci i czwarty z tłumu uważnie wydobywał z taksówki rannych. Ułożyli ciała na noszach i ponieśli bez słowa. Skrzypnęły drzwi, przytrzymywane przez nieruchomo stojących przy nich, jakby na harcerskiej warcie, chłopców; rozbłysła i zgasła szeroka jasna plama wnętrza szpitalnego hallu. Donat powiedział cicho: - Dziękuję.

Nikt mu nie odpowiedział. Drzwi, kiedy przed nimi stanął, otworzyły się i Julian niepostrzeżenie dla siebie przeszedł z głuchej ciemności w jasność, która wbrew oczekiwaniom również trwała w milczącym skupieniu.

W ciemnym, wyfroterowanym do lustrzanego połysku linoleum korytarzy odbijały się blaski, płynące z pootwieranych drzwi szpitalnych sal, gabinetów i gospodarczych pomieszczeń.

Teraz dopiero poznawało się: pozorna cisza jest sygnałem, że cały szpital znajduje się w stanie ostrego pogotowia. Za otwartymi drzwiami, wśród bieli ścian i kaflowych podłóg, pod ulewą światła wszystkich lamp, przelamujących się błyskawicami na lśniących instrumentach lekarskich, trwała bezgłośnie, zacięta walka o życie kilkudziesięciu ludzi.

Donata minął na korytarzu Kora w poplamionym krwią fartuchu. Twarz starego lekarza jakby odmłodziła. Napięcie nerwowe ściągnęło jej rysy, wygładziło fałdy. Wyblakłe oczy paliły się energią i patrzyły czujnie.

- Ostrożnie, ostrożnie... - upominał szeptem ludzi niosących za nim na noszach czyjeś ciało, przykryte prześcieradłem. Zniknęli niemal bezszelestnie w jednej z sal i wtedy dopiero Donat uświadomił sobie, że jednym z niosących rannego był kierownik administracyjny szpitala, drugim zaś pacjent z interny, któremu sam Donat jeszcze rano zalecał bezwzględny spokój.

Szukał Łucji. W pomieszczeniu, przylegającym do dużej sali operacyjnej, dezynfekowała ręce. Gdy podniosła ku górze oczy, wydało mu się, iż patrzą one na niego z wielkiego oddalenia, podobne do dwu lusterek wody, oglądanych z dużej wysokości.

- Byłem tam... - wykrztusił, jak gdyby pragnął się usprawiedliwić. - Na przejeździe - dodał starając się opanować drżenie głosu, podczas gdy Łucja nie przerywała mycia rąk.

Skinęła głową obojętnie:

- Wiem. Mówili. Tu jakoś... Jakoś idzie. Zrobiliśmy, co można, co się dało. Teraz się zajmij... wszystkim. Ja muszę na salę.

Odeszła, trzymając wysoko do góry obie ręce, uniesione ruchem przypominającym gest błogosławieństwa. Te ręce, zwinne i szczupłe, nie powinny już teraz dotknąć niczego oprócz chirurgicznych narzędzi. Julian przypomniał sobie, że Łucja zawsze, przed każdą operacją, ma taki nieobecny wzrok i obcy wyraz twarzy. Jej drobna, biała postać znikła w szerokiej framudze drzwi operacyjnej sali, jak gdyby stopiła się w jedno z jaskrawym światłem bezcieniowych lamp.

Donat odwrócił się i znalazł niemal twarzą w twarz z Firminem. Młody lekarz też odprowadzał wzrokiem oddalającą się Łucję i wyraz jego oczu zastanowił Donata. „Wygląda jak urzeczony” - pomyślał Julian. Zdarzały mu się w życiu momenty, kiedy powracał do kręgu pojęć i definicji swojej matki, chłopki spod Łowicza.

- Słucham, panie kolego - powiedział chłodno. Firmin nie zwrócił na to uwagi:

- Doktor Bitmarowa prosiła, żebym ją chwilowo zastąpił w kierowaniu całą akcją, dopóki pan doktor nie przyjdzie. Więc teraz chciałem zreferować...

- Dobrze. Chodźmy. - Donat czuł, że musi zaraz, natychmiast, znów poczuć się tu gospodarzem, a nie gościem. Inaczej zacznie krzyczeć, a może kłać albo płakać wśród tej dławiącej, głuchej ciszy, pełnej przycajonej grozy i stłumionego ruchu.

- Przywieziono w sumie sześćdziesiąt dwie osoby - meldował Firmin głosem dźwięcznym, melodyjnym i Donat pomyślał z niechęcią, że ten przystojny, młody człowiek powinien być zostać aktorem filmowym. Na pewno ładnie śpiewa i czyni to chętnie na prośbę licznie zgromadzonego towarzystwa. Nie speszony milczeniem przełożonego, Firmin ciągnął dalej: - Sześćdziesiąt osób z autobusu i dwie z tego pociągu pospiesznego, maszynista z szokiem i starszy człowiek, pasażer, z zawałem. Z tych sześćdziesięciu - dwanaście osób nie żyje.

W tym kierowca autobusu. Dziesięć ofiar zginęło tam, na miejscu. Dwie zmarły już tu. To było... - głos Firmina załamał się lekko - to było beznadziejne.

Donat przystanął i przymknął oczy. Milczał i czekał; teraz Firmin mu powie o Irenie. Stali na podeście schodów. Nad nimi i pod nimi ciągnęły się oświetlone korytarze, z których dobiegał bezustanny cichy szelest, odgłosy krzątania, stąpania; Donatowi przemknęło przez myśl: „Jak w Zaduszki na cmentarzu, kiedy szeleszczą liście i deszcz!”. Za oknem rosochate, ośnieżone gałęzie starej lipy tworzyły zawiłą, żalobną, czarno-białą grafikę, pełną niespodziewanych załamań i plam.

- Doktor Bitmarowa - podjął Firmin po chwili z wahaniem - poleciła mi powtórzyć, że żona pana doktora została umieszczona w separacie na urazówce. Nie sama, jest tam jeszcze dwóch pacjentów, no bo przecież... nie ma gdzie. Jest tam Flora... siostra Flora - poprawił się czerwieniejąc - doktor Bitmarowa czeka na pana doktora z tą operacją.

Donat skinął głową. Łucja czeka. Więc albo to nic groźnego, skoro można czekać, albo... Albo jest tak źle, że Łucja boi się brać na siebie odpowiedzialność. Irena i Łucja. Którą z nich straci dzisiejszej nocy, a może dzisiejszego dnia? Co będzie go bardziej bolało? Zadając sobie to pytanie pomyślał, że tak można by pytać pacjenta: czy woli żyć lata z nie gojącą się i bolesną raną, czy umrzeć, również cierpiąc. Zapytał Firmina spokojnie:

- A co z personelem?

- Nasi są wszyscy, ze wszystkich oddziałów, siedemnastu lekarzy. Nawet nie posyłaliśmy po nikogo, sami przyszli - po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Firmin ożywił się i Donat znów, zaskoczony nieco, spojrzał na niego uważniej. - No i niespodzianka, panie doktorze: mamy tu już przy rannych kolegów z zewnątrz.

Z przychodni rejonowych, z ośrodka, z ambulatoriów fabrycznych. A wysoka władza z Wydziału Zdrowia narkozę daje. Pan doktor Łobzowski osobiście. Razem w tej chwili pracuje trzydziestu lekarzy.

- Pielęgniarki? - rzucił Donat.

- Wszystkie. Tak samo i naszej i z miasta. W komplecie personel pomocniczy. Apteka, laboratorium, magazyny, kuchnia, pralnia. Ale ja... ja teraz przeproszę pana doktora... Ja muszę na operacyjną. Obie są czynne i ja...

- Ależ niech pan idzie, panie kolego. Ja tam zaraz przyjdę.

Donat obszedł szybko pierwsze piętro. Tu znajdowali się lżej ranni. Jego oddział, interna. Mniej obłożnie chorzy, zdolni do poruszania się i wstawania, odstąpili swoje łóżka ofiarom katastrofy. Kapryśna żona sędziego, z którą cały szpital miał utrapienie od dwóch tygodni, teraz wysłuchiwała w pokornym skupieniu pouczeń pielęgniarki, na jakie objawy należy zwrócić

uwagę, gdyby pogorszyło się rannej, zajmującej jej łóżko. Drobną, szczupłą staruszką, u której podejrzewano raka, suchą dłonią gładziła po głowie młodą dziewczynę o bujnej, rudej czuprynie i bladej, niby martwej twarzy:

- No, no, dziecko, już dobrze, już dobrze. Pośpij se teraz. Pośpij. Dobrze ci to zrobi - przemawiała do dziewczyny jak do dziecka.

Na parterze, w przestronnej poczekalni ambulatorium, panował największy tłok. Lokowano w niej w pierwszym rzucie wszystkich rannych, przywożonych przez karetki i taksówki. Stąd dopiero przenoszono ich bądź na salę operacyjną, bądź też po udzieleniu pierwszej, najniezbędniejszej pomocy - do sal na łóżka. Pracowało tu kilku lekarzy pod ogólnym kierownictwem Janusza Zawilskiego. Nareszcie miał swój „wielki dzień”, ale chyba zdziwiłby się, gdyby ktoś mu o tym napomknął. Kilka pracownic pochylało się nad leżącymi. Trwała identyfikacja i rejestracja. Nie wszyscy pasażerowie mieli przy sobie dowody, nie rozpoznany naklejało na przegubach plastry z numerami.

- Popatrz - szepnęła młodsza rejestratorka, pulchna blondyneczka, do koleżanki - dla kogoś to Janek czy Jurek, syn albo brat, a my tu przykleimy mu numerek trzydzieści trzy i tyle.

- Pst. Rób swoje i nie mędrkuj - starsza rejestratorka, chuda brunetka, została o godzinie dziesiątej swoje chore dziecko pod opieką głuchej babki i myślami znajdowała się przy nim. Czy babka będzie pamiętała, żeby Jankowi dać o szóstej lekarstwo? „I czego leczysz, czego? - gderała babka - nie wołali, widać nie trzeba. Będzie trzeba, zawołają. Po co się sama pchasz...” Machnęła ręką i wybiegła w ciemną, mroźną noc. Kilometr biegła po grudzie. Babka głucha, takiej to wszystko jedno, wyją syreny czy cisza dokoła. A ona ma dobry słuch. Czy można słyszeć i pozostać jednocześnie głuchą?

Donat czuł się tak, jak gdyby przez cały czas wspinał się pod górę z ciężarem, ale rzecz dziwna, ciężaru tego powoli ubywało. Tu wszystko zrobiono, jak powiedziała Łucja, rzeczywiście wszystko, co dało się zrobić w tej sytuacji, aby ratować

poranionych ludzi. Jakże często narzekał na tych swoich podwładnych, na ich niedopatrzenia i niedbalstwo, na niepunktualność i ograniczoność spojrzenia. Dziś wszyscy znaleźli się na swych miejscach i każdy bez nakazu robił to, co powinien był robić. Młodziutka asystentka Donata podawała mieszankę przeciw-wstrząsową, znany mu tylko z widzenia lekarz z przychodni dziecięcej wstrzykiwał przeciwtężcową surowicę. Laryngolog obchodził szeregi leżących na noszach i badał puls. Janusz Zawilski, o którym Donat tylu niepochlebnych uwag nasłuchiwał się od Łucji, z napiętą uwagą badał każdego rannego kolejno, wydając dyspozycje. Młody lekarz nie mylił się. Jego puciołowata, różowa twarz jakby schudła i przybladła. Zaostrzone rysy wyrażały pełne skupienie, pulchne dłonie, podobne do kobiecych, delikatnie i pewnie sunęły po obnażonych, skrwawionych ciałach, okaleczonych kończynach, dotykały głów, pokrytych, jak perukami, zakrzepłą na włosach krwią, zmieszaną z błotem.

- Rentgen... rentgen... rentgen... - padały raz po raz z jego ust krótkie, suche stwierdzenia.

Donat zmartwiał. Co on mówi, ten człowiek? Czy w zamieszaniu zapomniał, że rentgen nieczynny od tygodnia? Przecież cała instalacja rozpaprana, przerabiają ją od nowa. Pochylił się razem z Zawilskim nad młodym człowiekiem o twarzy białej jak kreda w obramowaniu ciemnych, wijących się włosów. Z uda przebitego widocznie ostrym jakimś prętem żelaznym lała się bez przerwy szeroką strugą krew.

- Rentgen? - spytał cicho i karcąco Zawilskiego, chcąc go przywołać do rozsądku.

- Od pół godziny czynny - mruknął młody lekarz dość niegrzecznie, ignorując całkowicie fakt, że ma przed sobą groźnego Donata. Stosował właśnie prowizoryczny ucisk”, aby krew przestała chlustać z rozdartej rany.

Donat przetaił dłońmi oczy. Przeszło mu przez myśl, że wypadki toczą się tak, jak by mu ktoś o nich opowiadał, snując bajkę, w której wszystko przebiega niezbyt zgodnie z wymogami rzeczywistości, ale za to nadzwyczaj pomyślnie. Rentgen czynny. Któż to i w jaki sposób uruchomił aparaturę,

której brak cały szpital tak boleśnie odczuwał w ciągu wielu ostatnich dni?

O rentgenie myśli również w tej samej chwili Łucja Bitmarowa, przeprowadzając skomplikowaną trepanację czaszki. Bez rentgena nie mogłaby dokonać jej tak, jak należy. Musiałaby działać na ślepo. Jak to dobrze, że jest ten rentgen.

Skalpel sprawnie nacina i oddziela płat skóry. Łucja oddycha z ulgą: oto wraca do domu, do siebie. Dookoła wszystko swojskie, znane, zwyczajne. Bezcieńniowa lampa, pacjentka na stole, obnażone operacyjne pole, aparaty do transfuzji, do narkozy. Siostra Maria, z dobroduszną, okrągłą twarzą, ukrytą pod maską, że widać tylko jej pocziwe, uważne, brązowe oczy, bez podpowiadania podaje instrumenty, których właśnie Łucji potrzeba. Niezawodna, nieomylna i, zdawałoby się, pozbawiona nerwów pomocnica. Gdzieś daleko pozostał koszmar, o którym Łucja nie powinna, nie może teraz pamiętać. Z boku, obok Łucji, pojawia się wysoka postać. Łucja nie patrzy, ale wie, że to Firmin: uruchamia aparat wstrzymujący krwawienie. Już dawno nie robiła takiej trudnej operacji. Usiłuje sobie przypomnieć konieczną kolejność wszystkich czynności. Chora oddycha normalnie, ale tu powinno się uważać wielokrotnie bardziej i inaczej niż przy zwykłej operacji. Przecież także szok. Serce? Tętno? Natychmiast kroplówka.

Narkozę daje Łobzowski. Ileż to razy Łucja razem z Donatem, czy w zastępstwie Donata, miała z nim do czynienia w Wydziale Zdrowia. Przeważnie nic dobrego z tego nie wynikało - Łucję ponosiły nerwy i kończyło się awanturą. Ciężkie obojętne spojrzenie, utkwione w Łucji i badające ją z zainteresowaniem niby jakiś niezwykle i rzadki okaz, towarzyszyło zazwyczaj skąpym i powściągliwym obietnicom dopomożenia szpitalowi w trudnościach. Skąd się ten Łobzowski wziął tu dziś? Wszystko jedno. Dobrze, że jest. Narkozę daje nawet nie najgorzej.

Łucja wydobywa z rany pokruszone odłamki kości, utkwione głęboko w różowoszarych zwojach mózgu. Tak, Łobzowski

przybiegł na samym początku. Kiedy przyjechała pierwsza karetka, Łucja zapytała sanitariusza:

- Ilu rannych?

Machnął desperacko ręką. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób, to już najmniej. A może więcej. Ten autobus...

Łucja czuje, jak pot spływa jej po czole i łaskocze brew. Ktoś ociera go delikatnie. Firmin. Zdaje się, że to zrobił Firmin. Łucja kiwa głową, że już dobrze. Wszystko przez to, że przypomniała sobie tamtą chwilę. Jak stała pośrodku hallu, bezradna niby po otrzymaniu ciosu, a dookoła zaczynało się kłębić. Jacyś ludzie wpadali, wnosili rannych, chorzy wylegli z sal, przebudzeni, z nieprzytomnym, przerażonym wzrokiem.

- Szczytce - mówi Łucja automatycznie i uśmiecha się pod maską, bo ma je przecież już w ręku, podane przez siostrę Marię.

Widzi teraz przed sobą okrągłą, różową twarz Zawilskiego. On i Kora pomogli jej uporządkować jakoś na początku sprawy. A potem, niby na zaklęcie, wszystko zaczęło działać, jak gdyby to nie noc trwała, lecz zwykły, może tylko bardziej niż zazwyczaj pracowity dzień. Dla lekarzy, którzy zgłosili się z miasta, znalazły się natychmiast fartuchy, bo przyszedł magazynier. Przemknęły obok niej, nie witając się, pracownice z laboratorium i apteki. Jacyś chłopcy nieśli kosze z butelkami krwi, sprowadzone ze stacji krwiodawstwa. Kto to zarządził? Nie wiedziała. Może ona sama. Może Janusz Zawilski. Może Kora. A może nikt.

Wtedy spotkała tego elektryka. Jakżeż on się nazywa? Aha, Kraska. Stał, zupełnie jak rano, na korytarzu, miała wrażenie, że chyba się stamtąd przez cały czas nie ruszył. Gniótł czapkę w rękach i Łucja pomyślała ze zniecierpliwieniem, że pewno przyszedł tu tak nie w porę, by dowiedzieć się o stan swojej żony. Ale Kraska zapytał tylko:

- Przepraszam, ja... pani doktor... chciałem się dowiedzieć, czy nie jestem czasem potrzebny... I wtedy to Łucji przemknęła przez głowę zbawcza myśl: - Rentgen. Niech pan uruchomi rentgen. Za wszelką cenę.

Wyraz jego twarzy przeobraził się natychmiast. To już był inny zupełnie człowiek. Znikł za drzwiami, mamrocząc coś do siebie. Za pół godziny zawiadomił Łucję, że rentgen czynny będzie tak długo, jak trzeba. Tak, tak, ależ oczywiście, rozumie, że przez najbliższe godziny cała sieć elektryczna szpitala będzie przeciążona. Instalacja prowizoryczna. Przywołał kolegów z elektrowni. Cała ekipa. Nie ruszą się z miejsca, będą pilnować.

Łucja operuje spokojnie, pewnie. Jeszcze raz stwierdza z satysfakcją, że czuje się uspokojona. Dlaczego, skoro dokoła dzieją się takie rzeczy? Bo czy zdążą na przykład dokonać wszystkich tych operacji, które są konieczne? Czy nie pozostanie nikt kaleką, dlatego że niezbyt sprawnie i szybko pospieszono mu z pomocą? Łucja odnajduje wreszcie w swoich myślach ów okruczeństwo neutralizujący niepokój i lęk niby kropla narkotyku. Znalazł się Donat. To przywróciło jej równowagę. Jak słabą jest jednak istotą. Trzeba jej było dopiero widoku jego szerokiej, jasnej twarzy, spojrzenia jego szaroniebieskich, chłodnych oczu, żeby poczuła się na powrót silna i bezpieczna. Gdzie on się podziewał przez ten cały czas? Dlaczego nie zjawił się od razu w szpitalu, tam gdzie jego miejsce? Powiedział jej, gdzie był, i widziała na jego twarzy zmieszanie. No tak...

Jeszcze jeden odłamek kości utkwiał głęboko w zwojach mózgu. Nie może tam pozostać. Ta kobieta stałaby się kaleką na całe życie. Łucja nie wie, kto to jest. Czy jest kochana, czy znienawidzona przez bliskich. Czy jest szczęśliwa, czy też może nieraz życzyłaby sobie śmierci, aby przestać myśleć o swojej życiowej kłęsce. Czy jest dobra, czy zła. Teraz potrzebna jest Łucji największa odwaga i największa sprawność oczu, nerwów, dłoni. Ale podjęta już nic myśli o Julianie ciągnie się dalej. Trzeba ją przerwać, Łucja stara się o to z całych sił. Nie potrafi.

Ten krzyk. Czy to pacjentka na stole krzyknęła, aż Łucji zadzwoniło w uszach? Ależ nie. Pacjentka głęboko uśpiona. Żaden z asystujących Łucji lekarzy nie podnosi alarmu. Padają spokojne słowa, zawiadamiające o pracy serca, płuc. Przecież wszystko tu odbywa się w świetle bez cienia. Jeżeli nawet w tym świetle pojawia się śmierć, przychodzi cicho i podstępnie

kładzie swoje piętno na ciele, obłożonym-białymi płachtami na lśniącym stole. Krzyk jest elementem świata, w którym światło i cień nie odstepują od siebie.

To tam Łucja musiała usłyszeć krzyk, którego nie może zapomnieć. Jakże jednak mogło dojść do tego, że ktoś krzyknął, skoro wszyscy ranni przeżywają głęboki wstrząs pourazowy? Nieprzewyciężone milczenie skuwa ich wargi, języki uczyniło ciężkimi jak ołów, ciasną obręczą zdusiło krztanie. Nikt nie krzyczy, nikt nie jęczy nawet. Nikt nie może krzyczeć. Mimo to w uszach Łucji brzmi wysoki, świdrujący dźwięk, podobny dp jęku syreny, ale to głos ludzki i tym bardziej przejmujący, że rozlegający się samotnie wśród zmartwiałej ciszy szpitalnych sal i korytarzy.

„Nie myśleć o tym krzyku. Nie myśleć o tym krzyku” - rozkazuje sobie Łucja i czuje, jak pinceta ułowiła wreszcie i trzyma drobny okruch zmiażdżonej kości.

Krzyk jednak nie ustaje. Tkwi w Łucji niby ów odłamek kości w mózgu operowanej kobiety i przyprawia Łucję o wielki, nie do zniesienia prawie ból. Rodzi się w niej, narasta, potężnieje, rozpycha się i zamiera, a potem znów zaczyna się to samo.

Łucji zadrżała ręka i oto ostrza pincety zwarły się. Puste. Nic w nich nie ma. Łucja raczej czuje niż widzi, jak drgnął obok niej Firmin. Wyciąga w jej kierunku dłoń; to odruch na widok jej niezręczności. Chciałby ją wyręczyć.

Bezcieniowe światło obnaża wszystkie szczegóły aż do najmniejszego pyłku. Przedmioty i ludzie, narzędzia i najdrobniejsza żyłka w operowanym organizmie rysują się dokładnie i jasno. Bez złudzeń. Łucja czuje się jak gdyby stała obnażona pod tym bezlitosnym światłem i w oczach otaczających ją ludzi. Musi im pokazać, że stać ją na opanowanie.

Tak samo przecież opanowała się, tam w cieniu wysokiej marmurowej kolumny w hallu, kiedy pochylała się nad każdym ciałem. Nie czyniła tego wyłącznie z lekarskiego obowiązku. Stać ją i na to, żeby sobie to szczerze wyznać. Przez cały czas szukała tej postaci, którą odnalazła wreszcie na noszach pod kolumną.

Rozplecione, ciemne warkocze Ireny Donatowej nadawały jej wygląd dziewczęcy. Odrzucone w bok ramię czyniło ją bezbronną. Tym gestem zdawała się mówić: „Widzisz, jestem odsłonięta. Widzisz; nie bronię się. Możesz mnie osiągnąć”. Wtedy właśnie, nagle i zupełnie niespodziewanie, ciemne, skośne oczy Ireny otworzyły się i przyłgnęły do nisko pochylonej nad nią twarzy Bitmarowej. Przez moment pozostały nieruchome, puste i bez wyrazu, nieświadome widoku, który ogarniały. Strzępy płaszcza i rozdarta suknia ukazywały fragmenty ciała, drobną pierś, okrwawione, krągłe biodro, smagłą skórę mocnych, smukłych, opalonych ud. Przekrzywiona w nienaturalnej pozycji postać i podkurczone, bezwładne nogi nasunęły Łucji przypuszczenie: kręgosłup. Przesunęła dłonią po stawie biodrowym i w tej chwili w ciemnych oczach Ireny błysnęła świadomość. Trudno powiedzieć, rozpoznany obraz czy skojarzenie odbiło się w źrenicach i na twarzy wyrazem wstrętu, przerażenia i nienawiści.

Łucja jest już spokojna. Przepowiadanie sobie w myślach całego ciągu tamtych wydarzeń - niczym lekcji szkolnej, której należy nauczyć się na pamięć - pomaga. Sprawy stają się realne i wymierne. Tamto, straszne i przerażające, pozostało poza obrębem sali operacyjnej, nad którą Łucja panuje niepodzielnie i nie pozwoli nikomu, ani Irenie, ani Donatowi, ani samej sobie mieć tu spokoju i ciszy. Dzwoni lekko stal instrumentów, słychać przyspieszony oddech doktora Łobzowskiego. Widocznie jest chory na serce i dlatego pracuje nie w szpitalu, ale w Wydziale Zdrowia.

Łucja pomyślnie kończy operację. Mówi do Firmina cicho, przez zaciśnięte zęby, stara się opanować drżenie głosu i udaje się to jej w zupełności:

- Zaszuj...

Szybkim krokiem wybiega z sali. W umywalni jest pusto. Nie dbając o to, że krwią, plamiąc jej fartuch i ręce, brudzi niepokalaną biel parapetu, Łucja Bitmarowa przywiera do okiennej framugi.

Teraz głos Ireny Donatowej może w niej krzyżeć bez przeszkód. Łucja zaś może wsłuchiwać się do woli w ten krzyk, zamknąwszy oczy i zacisnąwszy w pięści dłonie, z których nie zdążyła jeszcze zdjąć gumowych rękawic:

- Ty! Ty nie! Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj!

Łucja odwraca się i widzi, jak przez korytarzyk ciągnie korowód ludzi. Łobzowski i stary sanitariusz, były kapral Ramuć, pchają wózek z operowaną kobietą, której Łucja przywróciła życie. Wchodzi Firmin swoim posuwistym, zręcznym krokiem. Zdejmuje fartuch i myje ręce. Szumi woda. Łucja z ulgą myśli o tym, że za chwilę wróci znów na salę operacyjną, w swój świat światła bez cienia.

ROZDZIAŁ 4 ZANIM SŁOŃCE WZEJDZIE

O godzinie czwartej nad ranem niesympatyczny kierowca zielonej taksówki odbył po raz ostatni kurs od przejazdu kolejowego do szpitala. Zaparkował wóz przed bramą i wszedł na podwórze. Tłum przerzedził się już wprawdzie, ale ludzie stali tu jeszcze, zbici w grupki, wsparci o mur, o wilgotne pnie rozłożystych drzew. Starsi lub bardziej zmęczeni przysiedli na ławkach, ustawionych wzdłuż alejki służącej latem do spacerów lżej chorym i ozdrowieńcom. Rozmawiali przyciszonymi głosami, milkli, gdy ktoś wychodził z gmachu albo do niego wchodził, odprowadzali idącego czujnym wzrokiem, jakby napominając, iż tu żadna lekkomyślność, niedokładność czy niedbałość nie ujdzie bacznej ludzkiej uwagi. Czasami zaczepiali nieśmiało:

- No i co? I jak tam?

- Co z Kowalskim? Nie słyszał pan? Nie wie pan, co z Kowalskim? Taki szatyn, niewysoki. To sąsiad. Od syna z Warszawy wracał. Wnuczek mu się akurat urodził...

Kierowca zachwiał się. Ciemną, chudą ręką przetarł twarz i oczy, jak gdyby ścierając z nich senność i mrok.

- Nie wiem nic, ludzie, dajcie spokój, doktorów się pytajcie...

Kołyszącym się krokiem, niby pijany, wszedł do szpitala i przysiadł na krześle w hallu. Teraz było tu już pusto. Tylko dwie sprzątaczkę zmywały ślady krwi i błota od czasu do czasu przebiegał ktoś z personelu. W otoczeniu kilku postaci w białych kitlach przeszedł Donat. Jego wysoka postać była przygarbiona, twarz poszarzała, a może tylko tak się wydawało w ostrym, jaskrawym świetle: w hallu pozapalano bowiem wszystkie lampy, nikomu zaś nie przychodziło obecnie do głowy, że takie pełne oświetlenie nie jest już potrzebne. Donat zatrzymał się na chwilę przed człowiekiem siedzącym na krześle. Wyglądało, że chce mu coś powiedzieć. Zrezygnował jednak. Zniknął, przesłonięty chmurą białych płaszczy w drzwiach prowadzących do bocznego skrzydła i człowiek na krześle znów pozostał sam.

„Kowalskiemu urodził się wnuk” - pomyślał. Popatrzcie no, a przecież jeszcze nie tak dawno chyba, ileż to lat temu: ze sześć? Nie, siedem albo osiem lat temu była heca o kamienie z „małym” Kowalskim. Miara czasu zawodzi, gdy się wspomina lata wstecz; przeszłość to płaskie strzępy obrazów, czas w nich umarł i wyłącznie natężenie barwy przeżyć zbliża do nas lata dalekie lub oddala okresy nie tak dawno minione. Człowiek o ciemnej i zaciętej twarzy widocznie mocno przeżywał tamten czas, skoro wydaje mu się, że to nie tak dawno Mietek Kowalski, któremu w Warszawie urodził się w tych dniach syn, ciskał z chłopakami kamieniami w jego taksówkę. Nie jeździł wtedy jeszcze zieloną warszawą, miał małego, starego opla.

- Szkop! - wołali za nim - Hitler! Podobnie jak nazwisko, zasłyszane na podwórzu szpitalnym, nie obca wspomnieniom, ale bliska jest ta noc mroźna, zimowa, pełna zamętu. W taką noc czternaście lat temu urodził się Kazik. Po na pół spalonym i wyludnionym mieście chodziły bandy. Na jednym krańcu stało wojsko, na drugim nie ustawała strzelanina. Kto tu żył, barykadował drzwi, czym się dało. Nie otwierało się na żadne wołanie. Katarzyna rodziła ciężko, pewnie przez to, że tyle przeszła w obozie. Jej oczy patrzyły na niego tak jak wtedy, gdy przywlokła się przed jego dom na wiosnę w czterdziestym piątym roku i prosiła o nocleg. Mieszkali w warsztacie - tylko

tyle zostało z jego schludnego obejścia na przedmieściu. Wybiegł w mroźną noc i szukał dla niej ratunku. Poznał wówczas Żarnowca. Organizował on ochronę ocalałych urządzeń przemysłowych. Nosił mundur, kipiał energią, miał dobre oczy i budził zaufanie. Pomógł sprowadzić wojskowego lekarza. Kazik był wątlý, odziedziczył delikatną urodę po swojej matce i po niej chyba także charakter, wzrastał ufny i przyjazny ludziom. Z zabaw na podwórzu, ze szkoły wracał posiniaczony, ale umiał milczeć. Musieli podpatrywać, od sąsiadów dowiadywać się, o co poszło między dziećmi. Między dziećmi zaś szło o to samo, o co między dorosłymi: kto pozostał z dawnych czasów - obcy. Niemiec. Narodziny małego Kazika z matki wilnianki, wywiezionej na roboty i potem do obozu przez hitlerowców, narodziny na ziemi już polskiej, nie pogodziły nowych przybyszów z jego ojcem. Kowalski zaś...

- Proszę pana... proszę pana - ktoś szarpał go za ramię. Podniósł głowę i zobaczył przed sobą ładną kobiecą twarz, nieco przybladłą ze zmęczenia, o dużych piwnych oczach. Na wijących się ciemnoblonde włosach bielił się pielęgniarzski czepeczek, przecięty w poprzek czarnym paskiem. Przypomniał sobie: chyba w zeszłym tygodniu wiozł tę przystojną dziewczynę i towarzyszącego jej mężczyznę z Rynku do szpitala. Była noc, oprócz należności za kurs otrzymał jeszcze sporą dopłatę.

- Szybciej, proszę pana, szybciej - przynagliła go wtedy pasażerka. Wydawało mu się, że w głosie jej słyszeć trwogę.

- Nie bój się, zdążymy. Biorę to na siebie - śmiał się jej partner. W widoczny sposób lekceważył niepokój dziewczyny.

Teraz znów stała przed kierowcą zdyszana i nakłaniała go do pośpiechu:

- Pan dyrektor Donat prosi, żeby pan zaraz pojechał do Stacji Krwiodawstwa po transport butelek z krwią... Szybko, szybko, proszę pana bardzo...

- Siostró Floro! Siostró Floro! - wołał ktoś na nią z głębi korytarza.

- Idę - krzyknęła - już idę!

Odbiegła szeleszcząc białym, nakrochmalonym obficie fartuchem. Kierowca odruchowo spojrzął na zegarek: pięć po czwartej. Wstał z trudem i ciężkim krokiem skierował się w stronę wyjścia.

Siostra Flora Dyląg obejrzała się raz jeszcze, zanim skrzyła w korytarz, i odetchnęła na widok zamykających się za kierowcą masywnych wejściowych drzwi. Ona także przypomniła sobie ujrzaną przed chwilą twarz. Twarz o ostrych rysach i nieprzyjaznych oczach - łatwą do zapamiętania. Bała się, że szofer wspomni coś o tamtej nocy, o tamtym kursie. Wszystko zaś, co kojarzyło się z tamtą nocą, przyprowadzało Florę o przykry, dojmujący skurcz serca. Nawet bladła, gdy ktoś o tym napomknął. Firmin śmiał się z niej:

- Też masz się czym przejmować!

Ale ona, póki żyje, nie zapomni, jak Donat zwołał wszystkich pracowników na odprawę i mówił spokojnie, twardo, swoim metalicznym, opanowanym głosem:- Zdarzyła się w naszym szpitalu rzecz niesłychana. Ogarnia mnie głęboki wstyd, kiedy o tym myślę i kiedy muszę o tym mówić. Nie dlatego, że jestem dyrektorem szpitala, w którym dwoje pracowników dopuściło się wykroczenia, ale dlatego, że jestem lekarzem. W naszym zawodzie poczucie odpowiedzialności jest równie ważne, jak posiadane kwalifikacje, jak nasza wiedza, talent czy doświadczenie. Jest ono dla nas tym, czym dla organizmu kręgosłup. I w naszym zawodzie, jak może w żadnym innym, tego poczucia odpowiedzialności nie da się dzielić: „ja odpowiadam”, „ty odpowiadasz”. Ono jest niepodzielne. A jeżeli dzieje się inaczej, to dzieje się źle. Odpowiadając za siebie, odpowiadamy za wszystkich. Jeden niesumienny lekarz może zdziałać więcej zła, aniżeli sprawi dobrego stu sumiennych. A oto w naszym szpitalu dwoje pracowników wykazało zasadniczy brak poczucia - odpowiedzialności. Kolega Antoni Firmin z oddziału chirurgii i siostra Flora Dyląg, pełniący dzisiejszej nocy dyżur, opuścili szpital i po kryjomu udali się na zabawę. Wrócili po dwóch godzinach. Przez te dwie godziny chorzy pozostawali wyłącznie pod opieką młodszej siostry. Może ktoś powiedzieć: „No, na szczęście nie stało się w

tym czasie nikomu nic złego”. Ja jednak uważam, że lekarz, który spóźni się o pięć minut na pozornie błahe badanie pacjenta, innym razem potrafi się spóźnić o sekundę z zastrzykiem, decydującym o życiu człowieka...

Flora wysłuchała wówczas tej reprimendy z mieszanymi uczuciami. Teoretycznie przyznawała Donatowi rację, choć uważała, że przesadza. Śmiertelna powaga, z jaką on, Łucja i Maria, siostra przełożona, i inni jeszcze z jej otoczenia traktowali sprawy szpitala, nudziła ją. Cóż, praca jak każda inna. I jak w każdej innej zdarzyć się może, że się coś przeoczy, coś się nie uda. A tu zaraz o byle co krzyk, awantura. Dlaczego właściwie wybrała ten zawód? Młoda była, głupia. Wiesia, serdeczna szkolna przyjaciółka, zapisała się do szkoły pielęgniarstwa, a ona za nią. „Żeby się nie rozstawać nigdy w życiu”... Kiedy była na drugim roku, Wiesia wyszła za mąż za chłopaka, z którym chodziła Flora, i wyjechała z nim na przeciwległy kraniec Polski. „Zostań już na tym pielęgniarstwie - tłumaczyła Florze matka - wiele tam nie zarobisz, ale może za jakiego doktora się wydasz...” Matka Flory pracowała jako woźna w ministerstwie, Flora była jej nieślubnym dzieckiem. Zamążpójście córki stanowiło I szczyt jej marzeń.

Teraz Flora ma dwadzieścia trzy lata. Za mąż jeszcze nie wyszła, ale do pracy swojej przywykła. Żeby tylko się jeszcze tak nie czepiali, można by wytrzymać.

Na odprawie zrobiło się jej głupio. Flirt z Firminem zapowiadał się bardzo interesująco. Gdy przebywali razem, udawała wielkie zaciekawienie medycyną. Właściwie pech tylko sprawił - zwierzyła mu się - że nie została lekarką. Ale i tak tyle już wie i umie, że mogłaby doskonale zastąpić czasami lekarza. Może dlatego jej zachowanie się przy pracy wygada na nonszalancję: wyrosła już ponad swoje funkcje. A tu Donat potraktował ją publicznie jak nieodpowiedzialną smarkulę. Wszyscy słuchają go z powagą, ale Flora wie: kiedy rozejdą się, każdy do swojej pracy, nie oszczędzi jej nikt. Jeden doda coś jeszcze do przemówienia Donata, inny będzie się chmurzyć i patrzeć na nią spode łba niczym na grzesznicę, będą unikać dyżurów z nią, posypią się kpinki i żarciki. Patrzy na Firmina.

Siedzi w pozycji niedbałej, szczupłe ręce splótł na kolanie, mruży swoje błyszczące zielone oczy, a kiedy Donat nie kieruje wprost na niego wzroku, uśmiecha się kącikami pięknie wykrojonych warg. Jak gdyby wszystko to nie jego dotyczyło. Flora nagle zdaje sobie sprawę: on nic sobie z tego nie robi. Z niej też. Ma ochotę podejść i uderzyć go w tę ładną, arogancko uśmiechniętą twarz.

Twarz Firmina, którą Flora ma w tej chwili przed sobą, jest zupełnie inna. To twarz, której nie zna. Nie należy ona do człowieka, którego kochała, ani do człowieka, którym gardzi. Flora po prostu nie potrafi przeniknąć jej wyrazu i dlatego zapewne budzi ona w niej lęk. Z ulgą wita chwilę, kiedy tę twarz zasłania maska operatora.

Flora pierwszy raz samodzielnie będzie wykonywać funkcję instrumentariuszki przy operacji. Dotychczas tylko czasami pomagała siostrze Marii. Ale dziś, kiedy nawet chorych wciągnięto do pomocy i kiedy Donat wbrew wszelkim szpitalnym zwyczajom zezwolił krewnym na dyżurowanie przy rannych, bo inaczej nie można sobie dać rady, lekkomyślna Flora Dyląg staje przy stoliku z narzędziami chirurgicznymi. Boi się. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. Lśnią kasety, iskrzą się narzędzia ostrym blaskiem, który zdaje się płynąć z nich samych, a nie z wielkich, jasnych lamp. Oczy boją od tego blasku. W głowie pustka. Jak się to wszystko nazywa? Zapomniała. Nie pamięta nazw tych powyginanych kawałków stali, tych łyżek, szczypców, haków. Drży jej ręka, gdy dotyka pierwszych z brzegu instrumentów. Za pierwszym razem myli się. Firmin powiedział: - Hak.

Podala mu płaski przedmiot z zawiniętymi z obu stron końcami.

- Nie ten. Nie perthes, proszę roux. - W głosie Firmina zadrgała nutka zniecierpliwienia.

Zawahała się przez moment. Kątem oka dostrzega, że lekarka z Pogotowia, asystująca Firminowi, robi krok w jego stronę. Chce pomóc. Flora zaciska zęby. Nie. Już wie, o który to instrument chodzi. Firmin mruczy cicho:

- Dziękuję...

Przez moment oczy ich spotykają się. Podawany z ręki do ręki instrument łączy przez ułamek sekundy tych dwoje ludzi, kiedyś bliskich sobie, potem prawie wrogich i teraz znów bliskich, ale inną bliskością, innym gatunkiem zrozumienia. Florze wydaje się, że nie chłodny kawałek stali trzyma w lekko drżącej dłoni, lecz przewód po którym przepływa ku niej od mężczyzny, skrytego za maską, ciepły, przyjazny prąd. Odczuwa zarazem ulgę i podniecenie, jak gdyby opadły z niej więzy krępujące ruchy. Już się nie myli. Pracuje sprawnie, szybko. Przestaje myśleć o sobie, o tym, że obok znajduje się Firmin, o dniach goryczy i upokorzenia, które ma za sobą, o złożonym wczoraj rano Donatowi podaniu z prośbą o przeniesienie do innego szpitala. Oblicza każdy ruch, wytycza w myślach najkrótsze ścieżki niby najdogodniejsze trasy przy trudnej wspinaczce, by jak najoszczędniejszym gestem, skapiąc jak najbardziej czasu, przez mały odcinek powietrza, leżący między nią i rękoma Firmina, dostarczyć potrzebne mu kleszcze. Bo ten mały odcinek powietrza, wytyczony przez ich poruszające się dłonie, to w tej chwili ścieżka czyjegoś życia. Każdym centymetrem i minutą, milimetrem i sekundą mierzy się tu czyjeś życie. Flora zobaczyła to nagle tak, jak człowiek idący monotonną drogą niespodziewanie za którymś tam, byle jakim zakrętem dostrzega widok porażający jego oczy wyrazistością zarazem grozy i piękna.

Operowany ma przebite udo, złamaną w nim kość, Rozszarpane biodro. Prawdopodobnie grozi mu trwałe kalectwo. Flora zna tego człowieka. Zna go także Antoni Firmin. Marek Lenda był narzeczonym Flory, zanim do Nowoborów przyjechał doktor Antoni Firmin o zielonych oczach, melodyjnym głosie i z grymasem ironicznej melancholii na twarzy.

Jest rzecz trudniejsza niż cokolwiek na świecie. Trudniejsza aniżeli różne przykre momenty w życiu, jakie przydarzyły się Florze. Stara się o tym nie myśleć, gdy pomaga przesuwać Marka na wózek - ale wie, że to jej nie ominie. Flora musi, przetaczając ten wózek przez korytarz, przejść obok matki Marka.

Marianna Lendowa, tak drobna i szczupła, że postać jej niemal niknie na tle wielkiej, ciemnej, masywnej ławki, umieszczonej we wnęce korytarza, otula się szczelnie wełnianą chustą, jak gdyby zziębła, mimo, że w szpitalu palą stosunkowo niezłe. Powieki ma zaczerwienione, ale oczy suche. Myśli: „Nie zabrałam z domu okularów... Marek. Będą wieźli Marka, może nie pozwolą mi podejść blisko do niego. Jakże zobaczę go stąd bez okularów? Marek. Kiedy był mały, wołali na niego »Cygan«, że niby taki ciemny: oczy czarne i włosy. Do ojca podobny. Z charakteru też. Taki zawzięty. Dobry, ale zawzięty. Przez to Grzegorza niemieccy dywersanci zabili. Marek. Żeby chociaż go zobaczyć. Ale nie zabrałam okularów. Z pośpiechu. Tak poganiał ten, no, jakże on się nazywa... nigdy nie pamiętam. Ten kierowca, co pod nami mieszka. Wpadł jak szalony, woła: - Pani Lendowa, prędko, ubierać się, zawiozę panią do szpitala. Tam pani syn... A światła nie chciał przedtem zreperować, takie głupstwo przecież. Darmo przywiózł. Tyli kawał drogi. Mówiłam Milce, nie jest on zły człowiek, ten kierowca. Tylko pewnie życie miał złe, przez to ludziom nieżyczliwy. Gdzie te okulary zostały? Przy maszynie chyba, na stole. Marek. Ciężkie miał życie. Od dziecka. Jakeśmy sami zostali, bez Grzegorza! Ani szkoły skończyć nie mógł, jak należy. I przez tę Florę nieszczęśliwy. Mówiłam mu: nie dla ciebie taka panna z fochami. Nie słuchał. Dopóki młody człowiek, życia nie zna, zdaje mu się, że wie lepiej, co i jak. Oni to nazywają wiarą w życie. Zdaje się im, że potrafią zrobić to, czego my, starzy, nie potrafiliśmy. Dopiero jak się ma tyle lat, co ja, to się wie, że na wiele rzeczy w życiu nie ma rady. Nie ma i już. Co ja mogłam poradzić, kiedy Grzegorz szedł ścigać w lasy tę bandę? Nic. Co mogę Markowi poradzić teraz? Też nic. Jakbym czuła coś niedobrego, mówiłam: mało tam mają w technikum nauczycieli, wychowawców, to ty musisz z tą wycieczką jechać? A on na to, że to nie szkoła, tylko ich koło krajoznawcze, czy jakieś tam, wycieczkę organizuje i on właśnie musi. Takie dziecko z niego jeszcze, takie dziecko...

Zakrzuszyła się suchym, bezradnym szlochem.

Otworzyły się szerokie, do połowy oszklone, drzwi. Lendowa opiera się drżącą ręką o poręcz ławki, chce wstać, ale nie może. Przygniata ją do twardego oparcia wielki ciężar, który czuje w sobie i którego mogłaby się pozbyć, gdyby zaczęła krzyczeć. Tłumiąc ten krzyk, tłumi nawet oddech. Dlatego jej tak ciężko.

Flora myśli: „Muszę ją minąć. Może się uda. Przebiegłabym szybko, ale wózek... Nie będę patrzeć. Nie będę patrzeć. Nienawidzę jej. Gdyby na mnie nie spoglądała zawsze tak, jak gdyby chciała przejrzeć mnie na wylot, jak gdyby wiedziała wszystko, co myślę i co zamierzam, może nie odeszłabym od Marka. Uważa, że jej Marek Bóg wie jakie cudo i nie ma takiej, co byłaby go warta. To pokazałam jej, że mi na jej Marku nie zależy. Pomyliłam się i przez to nienawidzę jej jeszcze bardziej. Może żadna z nas nie będzie go miała. A jeżeli wyżyje, pędzie kaleką... Powiem jej to, o ile nie uda mi się przejąc niespostrzeżenie. Niech wie. Niech płacze”.

Flora nie patrzy, ale wyczuwa wszystkimi nerwami cień niszy i skryty w nim jeszcze ciemniejszy cień starej kobiety. - Słyszy jej urywany, tłumiony oddech. Najstraszniejsze jest to, że matka Marka nie płacze. Flora wpija oczy w mrok i widzi drobną, szczupłą postać, skuloną w kącie wielkiej ławy. Sprawia żalosne wrażenie. Jej oczy są pełne przerażenia i rozpacz. Florze widok ten coś przypomina. Przypomina spojrzenie skrzywdzonego dziecka. Z małej dziewczynki, pozbawionej ojca, szydziły kiedyś bezlitośnie dzieci z warszawskiego podwórka. Wbiegała zaszczuta do sutereny, gdzie mieszkała, zawsze ciemnej i wilgotnej. Matki nie było, pracowała. Nie miał kto pocieszyć. Suchymi oczami, pełnymi bólu, Flora wpatrywała się w popękany odłamek lusterka, żeby się przekonać, czy ona jest naprawdę inna niż wszystkie dzieci. Oczy starej kobiety, spoglądające na nią teraz z mroku, mają ten sam wyraz, co oczy dziewczynki w lustrze, zapamiętane sprzed lat. Wyrażają strach przed tym, wobec czego człowiek, zarówno bardzo młody, jak i bardzo stary, ugina się bezsilnie.

Wilgotny, lepki, laskotliwy kłęb wpycha się Florze do gardła. Po policzkach płyną ciężkie łzy. Te łzy zmywają złość i gniew, przynoszą ulgę i uspokojenie. Za chwilę siostra Dyląg musi

zjawić się wśród chorych i rannych, na sali pełnej ruchu, ciszy i jaskrawego światła i tam powinna pokazać swoją zwykłą, trochę profesjonalnie obojętną, gładką twarz. Tylko tutaj, teraz, w ciemnej niszy, w obecności wrogiej jej kobiety może pozwolić sobie na luksus ujawnienia swoich uczuć. Bierze za rękę tę starą, niechętną jej kobietę, głaszcze jej dygocące ramię i podprowadza ją do wózka. Odchyła na moment prześcieradło i odkrywa twarz rannego. Czułość dla niego po raz pierwszy nie dzieli obu kobiet. Nie zapala się w jednej i drugiej podobna myśl: „Nienawidzę jej, bo kocham Aflarka”. Nie zdarza się chyba miłość idealnie jednorodna, będąca tylko i jedynie miłością, nie noszącą w sobie ziarenka nienawiści. Bo gdy kogoś kochamy, nienawidzimy jego wrogów, ludzi, którzy byli nam obojętni, zanim ogarnęła nas miłość. Stajemy się wrody tym, którzy odbierają nam obiekt naszej miłości lub ograniczają nasze prawa do niego. Ta druga twarz naszej miłości często, żyje dłużej niż sama miłość.

Obie kobiety pochylają się nad nieruchomym ciałem, wpatrują się w bladą twarz, obramowaną ciemnymi włosami. Na zapadnięte policzki długie czarne rzęsy rzucają gęsty cień. Obydwie nasłuchują nieregularnego, ledwie wyczuwalnego oddechu.

- Będzie teraz spać - szepcze Flora - kilka godzin... Ale wszystko już w porządku. Będzie dobrze...

- Czy ja mogłabym - pyta Lendowa szeptem równie cichym, chociaż wiadomo, że nic w tej chwili nie zdołałoby obudzić Marka - czy ja mogłabym zostać przy nim?...

O tym musi zadecydować Donat. Ale Donat, pomimo całej swojej życzliwości i współczucia dla starej kobiety, jest temu przeciwny. Marianna Lendowa w ubiegłym roku przeleżała w tym samym szpitalu trzy miesiące na skutek zawału serca. Wtedy to właśnie Marek, gdy odwiedzał matkę w szpitalu, poznał Florę. Donat posiada znakomitą pamięć. Mógłby teraz jeszcze podać dokładny opis przebiegu choroby Marianny Lendowej, wdowy, lat pięćdziesiąt pięć, z zawodu krawcowej. Powinna wrócić do domu. Daje jej nawet jakieś krople i poleca zażyć natychmiast po powrocie do mieszkania. Odmierza

lekarstwo z dużej butli do małego flakonika i wpycha go do ręki swojej byłej pacjentce. Ale jeżeli jest ktoś młodszy w rodzinie, to proszę bardzo. Niech przyjdzie i pomoże w pełnieniu dyżurów. Siostra? Dobrze. A pani Lendowa może przyjść w ciągu dnia, by dowiedzieć się o zdrowie syna. Na pewno wszystko będzie w porządku. Noga? Co z nogą? Donat spogląda na Florę. Flora odpowiada mu kilkoma medycznymi terminami, z których Marianna Lendowa nie rozumie nic. No więc tak... Na początku, przez pewien czas, chyba będzie trochę kulał. Potrzebna będzie kuracja. Ale z czasem to przejdzie.

Gdy Lendowa idzie przez hall, zderza się z kierowcą, który ją tu przywiózł. Dwóch ludzi wnosi za nim kosze z butelkami.

- Pani poczeka tu na mnie - woła kierowca w przelocie i dorzuca - odwiezę panią do domu...

Za chwilę mkną ulicami miasta, już rozjaśnionymi przez zimowy poranek. Obydwojgu wydaje się dziwne, że tu oto tak zwyczajnie, jak co dnia, ludzie spieszą do swoich zajęć, otwierają się sklepy spożywcze, trąbi na zakręcie autobus.

Wzdłuż drogi prowadzącej do osiedla różowym odbłaskiem wschodzącego słońca lśnią polne płaszczyzny, okryte śniegiem. Marianna Lendowa mówi jak by do siebie albo tak, jak by kończyła rozmowę, rozpoczętą poprzednio z mężczyzną, milczącym zawzięcie obok niej:

- Nie wiadomo tylko, jak będzie z nogą. Pocieszają mnie, że z czasem poprawi się. Ale czy to oni, doktorzy, prawdę powiedzą choćby i matce? Jak to w życiu bywa, że człowiek ani się spodziewa, kiedy zły los na niego przyjdzie. Tak już u nas ku lepszemu szło... Marek awansował, dobrze zarabiał. Ja pracę w tej nowej spółdzielni krawieckiej dostałam, co to odzież roboczą szyje, wie pan, magazyn przy Rynku mają... I Milcia w tym roku szkołę kończy, gimnazjum. Myślałam, odpocznę już na stare lata. I dzieci szczęśliwe, i ja. A tu takie nieszczęście, takie nieszczęście..

Kierowca zaciska wąskie usta, mocne, chude dłonie obejmują kurczowo kierownicę. Marek Lenda przyjaźnił się z jego synem, Kazikiem. Przyjaźń ta jednak rozwinęła się w czasie, gdy on sam już do reszty odsunął się od ludzi, przestał wierzyć w

jakąkolwiek bezinteresowność, we wszystkim wietrzył podstęp. Dziwna to była zresztą przyjaźń - dwudziestoparoletniego młodego człowieka i czternastoletniego chłopca. Pod wpływem Marka chłopiec żył z otoczeniem, wrogim jego ojcu, i odchodził od ojca. Należał „do nich”. Chodził z Markiem na ryby, od Marka brał książki do czytania, biegał za nim wszędzie niczym wierny psiak. Marek to - i Marek tamto. Marek stał się wyrocznią i wcieleniem wszelkich ideałów. Gdzie Marek, tam Kazik. Kazik promieniał szczęściem, jego ojciec poddawał się zgryzocie.

- Właśnie - odpowiedział Lendowej, gdy umilkła, wpatrując się w purpurowy krąg słońca, wynurzony do połowy ponad kreskę horyzontu. Jechali prosto w to słońce. Jego blask raził oczy, zaczerwienione z niewyspania, zmęczone od ustawicznego uważnego wpatrywania się w drogę, w nocne ciemności. Kierowca opuścił przeciwsloneczny daszek i mruknął jeszcze raz: - Właśnie. Tak bywa. Spodziewasz się zawsze czegoś dobrego, nigdy złego. Ale zanim słońce wzejdzie, pani Lendowa... Zanim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje. Pani powie mojej żonie, pani Lendowa, że będę w domu za jakie dwie, trzy godziny. Niech nigdzie nie wychodzi. Niech na mnie czeka. Pani jej to powie.

Lendowa westchnęła i smutno pokiwała głową. Gdyby nie była tak zaabsorbowana własną troską, dostrzegłaby zapewne, że głos kierowcy zabrzmiał bardziej chrapliwie niż zazwyczaj.

Słońce zaś wznosiło się coraz wyżej. Poprzez gęste, lecz gołe konary starych lip zdołało wdrzeć się już także i do szpitalnych pomieszczeń. Gaszono światła prócz tych, które płonęły bez przerwy nad trzema stołami operacyjnymi. Donat wpatrywał się w czerwone odbłyski, jakie wschodzące słońce zapalało w szkle butelek, ustawionych na jego biurku. Ociężałą ręką odłożył na widelki słuchawkę telefoniczną. Telefon potwierdził wiadomość, przyniesioną przez ponurego kierowcę. To ostatni transport krwi. I co teraz dalej? Zanim sprowadzi się rezerwę z województwa albo z któregoś z sąsiednich miast, miną godziny. A krew do transfuzji potrzebna natychmiast, i to w dużych ilościach. Doktor Janusz Zawilski, przeliczający butelki i

zapisujący, ile jakiej grupy dostarczono, mówi do Donata, niby odgadując jego myśli:

- Tu w nocy, kilka godzin temu, zaraz po katastrofie, zgłaszali się ludzie. Chcieli dawać krew.

- Jacy ludzie?

- Ci z podwórza - odpowiada Zawilski unosząc jasne, rzadkie brwi nad swymi niebieskimi, okrągłymi oczami dziecka, zdziwiony, że Donat nie rozumie, o kogo chodzi. Oczywiście - ci z podwórza. Z miasta. Wystarczy ich zawołać.

W jaskrawym już świetle zimowego, mroźnego poranka, ludzie na podwórzu wyglądają, jak gdyby nosili na sobie jeszcze strzępy nocy. Ich twarze są ciemne, zmęczone, oczy przygasłe.

Doktor Zawilski sam się dziwi, jak donośnie, dźwięcznie, stanowczo brzmi jego głos, gdy z wejściowego podestu zwraca się do ludzi, co całą noc spędzili na mrozie pod murami szpitala.

- Potrzebna nam dla rannych krew. Szpital prosi o krew. Prosimy tu obecnych, aby przyszli nam z pomocą i aby zawiadomili, kogo tylko mogą w mieście.

Jego niewysoka, wątła postać pręży się. Nie wie wprawdzie, jak czuje się generał odbierający defiladę, ale sądzi, że odczuwa chyba podobny rodzaj uniesienia i pewności siebie, co on w tej chwili, gdy posłusznie zbliża się ku niemu tłum, gdy z tłumy tego oddzielają się poszczególne postacie i mijając go w otwartych drzwiach, wchodzi jedna za drugą do hallu, skąd kieruje się przybyłych do laboratorium. Tam ekipa, przybyła ze Stacji Krwiodawstwa, przygotowuje gorączkowo aparaty do pobierania krwi.

ROZDZIAŁ 5 LANCET CHIRURGA

Nastał już jasny dzień, ale Łucja Bitmarowa i Julian Donat zanurzają się w ciemność bardziej zwartą i nieprzeniknioną od mroku minionej nocy. Zamykają się za nimi ciężkie, opancerzone drzwi, nie przepuszczające najmniejszej plamki

słonecznego światła. Łucja odnosi wrażenie, że niespodzianie znalazła się w więzieniu i zatrzaśnięto za nią drzwi celi. Chce wołać głośno: „Wypuście mnie! Wypuście mnie! Ja tego nie zrobiłam! Jestem niewinna...” - ale opanowuje się. To nerwy. Od dwudziestu czterech godzin jest na nogach, zrobiła dziesięć operacji, wliczając wczorajszeienne dwie, w tym co najmniej cztery ciężkie, bardzo skomplikowane, kompleksowe operacje. Takie, jakie w normalnych warunkach i okolicznościach wykonuje cały sztab lekarski, z profesorem na czele. A tu właściwie tylko ich troje: ona, Firmin i Zawilski. Lżejsze zabiegi chirurgiczne można było na szczęście powierzyć Korze i kolegom z miasta. Ale to jeszcze nie koniec.

Uczucie lęku i zaskoczenia mija. Nie dało się podłączyć na poczekaniu całej aparatury w gabinecie rentgenowskim, tylko najważniejsze przewody są czynne, dlatego tak tu ciemno. Ta aksamitna ciemność, wypełniona cichym mruzeniem aparatury - jak gdyby schował się gdzieś w ciepłe najedzony kot - jest przecież dla Łucji tak samo swojska, domowa, jak jej przeciwieństwo: bielsze od jasności dnia światło operacyjnej sali. Słysząc szepty, niegłośną rozmowę, wyczuwa się oddechy ludzkie. Ociera się ramieniem o czyjąś postać. Raczej czuje, niż poznaje, że to Julian. Odpowiada jej lekkim dotknięciem ręki. Palce ich splatają się, jak by szli przez ciemny las i chcieli sobie wzajemnie dodać odwagi. Na chwilę, tylko na chwilę.

Zapala się błękitne światło. Podtrzymywanej przez dwóch sanitariuszy młodej dziewczynie przeświewa się klatkę piersiową. Ma paskudnie złamane dwa zębra. Trzask wyłącznika, światło gaśnie, migocze gdzieś w głębi pokoju czerwona, przyćmiona lampka.

- Czy tu naprawdę nie można włączyć światła? Przecież tak nie sposób pracować - denerwuje się Donat.

- Nie da rady - odzywa się męski głos.

Łucja o mało nie wybucha śmiechem. Głos płynie gdzieś spod sufitu, mężczyzny nie widać i ma się wrażenie, że to przemawia z niebios archanioł. Donat kieruje w jego stronę światło ręcznej latarki. Na drabinie okrakiem siedzi Bolesław Kraska i trzyma w rękach dwa złączone przewody. Pracuje po ciemku.

- Nie da rady - powtarza - jednocześnie światło i aparaty. Wszystko się przepali. To przecie prowizorka.

Dziewczynę kładą na wózek i wywożą. Do gabinetu wsunięto już następne nosze.

Łucja zastanawia się: tkwi jakiś dziwny paradoks w fakcie, że w ciemnościach dopiero możemy przenikać tajemnice wnętrza żywego ludzkiego ciała. Trzeba się odciąć od jasności dnia, pogasić sztuczne światła, stworzone przez człowieka do walki z ciemnością, trzeba zagłębić się w pełny mrok, aby na ekranie aparatu móc ujrzeć to, co w człowieku zasłonięte jest przed naszymi oczyma przez skórę i ciało. Widziała przed chwilą, jak biło serce nieznannej dziewczyny słabym, nierównym rytmem, jak pracowały jej płuca, dostrzegła, że w dzieciństwie chorowała na krzywicę. Ale nikt jeszcze nie wynalazł aparatu, który umożliwiłby nam przenikanie ludzkich uczuć i myśli. Co trzeba robić, żeby poznać, jakie one są naprawdę? Z odczytanego obrazu klatki piersiowej Łucja nie dowiedziała się właściwie niczego o tej dziewczynie. Gdyby na jej miejscu za szklaną płytą-parawanem aparatu Roentgena stanął Donat, Łucja dowiedziałaby się o nim niewiele więcej.

Łucji jednak nie interesują w tej chwili myśli nieznannej dziewczyny, którą będzie operować za kilka godzin, aby usunąć z jej płuca wbity odprysk kości. Boleśnie męczące jest natomiast uczucie, iż nie wie, nie dowie się nigdy, co czuje tego ranka Donat. Co trzeba robić, żeby ujrzeć oblicze duchowe drugiego człowieka tak samo wyraźnie i niedwuznacznie, jak jego wnętrze fizyczne na przeświecającym niebieskawo szkle? Na dno jakiej ciemności trzeba zstąpić, jakimi ciemnościami się otoczyć, jakimi murami i drzwiami odciąć od zewnętrznego świata, żeby dokonać tego odkrycia? Może takimi ciemnościami, takim łaskawym, pomocniczym mrokiem są złe chwile w życiu? Jeżeli tak, to najwyższy czas, żeby Julian ujawnił przed Łucją swoje myśli.

Mówią, że czasami czyny świadczą o człowieku. Jakiś ruch zdradza nam utajoną myśl. Jakiś postępek - uczucia. Łucja nie wie, co ma sądzić o Julianie na podstawie jego zachowania się tej nocy. Gdy przyszedł do niej prosto z miejsca katastrofy,

przed pierwszą poważną operacją wyglądał tak, jak postacie grzeszników uwieczniane na freskach przez średniowiecznych malarzy. Skazani na wieczne męki, otoczeni wieńcem płomieni, unoszą z otchłani ku górze swe zmęczone twarze. Ich nienaturalnie wielkie oczy wyrażają brak wszelkiej nadziei.

Potem widziała go, gdy w przerwie między jednym i drugim zabiegiem chirurgicznym wywołał ją z sali operacyjnej i zabrał na górę, do separatki. Pochylał się nad ciałem Ireny, swojej żony, ruchem, jakim matka zgina swą postać nad łóżkiem ciężko chorego dziecka. Rysy jego twarzy rozprężyły się, twarde fałdy wokół ust zmiękły, miało się wrażenie, że za moment uśmiechnie się czule i pocieszająco, chociaż oczy pozostały surowe.

Jeszcze później stali obok siebie na podeście schodów pomiędzy pierwszym piętrem i parterem, a za oknem różowił się świt. Ośnieżone stare drzewo zaglądało przez nie, podobne do wielkiej, kwitnącej jabłoni. Łucji wydało się, że to wiosna - na tym samym podeście, trzy lata temu, Donat oświadczył jej szorstko, jakby czyniąc wymówkę, że ją kocha. W ogóle lubił to miejsce na podeście: Łucja żartowała nieraz, że widocznie czuje się tu niby na mostku kapitańskim - widać wszystko niemal, co się dzieje w całym szpitalu. Tym razem też stał jak wtedy, na wiosnę, wsparty ciężko o futrynę okna, w pozycji człowieka znajdującego się u kresu sił, i przemawiał do Łucji tonem w stosunku do niej dość niezwykłym, ostrym, prawie brutalnym.

- Nie - odpowiadała mu cicho, lecz stanowczo. - Nie, Julianie. Nie i nie. Tego nie możesz, nie powinienes, nie wolno ci ode mnie żądać. Ja Ireny operować nie będę. Zrozum mnie. Nie z tego powodu, że... - zamilkła i tarła dłonie, tym razem nie dlatego, iż stanowiło to jej zwykły odruch, lecz ponieważ palce zeszywniały jej ze zmęczenia.

- Tak, słucham cię - głos jego brzmiał chłodno. Jasnoniebieskie oczy były zimne i przezroczyście niczym dwie bryłki lodu.

- Więc nie z tego powodu, że to twoja żona. A może raczej nie tylko dlatego. To kliniczna, profesorska operacja. Nie jestem neurochirurgiem. Nie potrafię. Może zdobyłabym się na

odwagę zrobienia jej, gdyby... gdyby to był kto inny, nie Irena. Operacja może się nie udać. Rozumiesz?

- Ale czy ty rozumiesz - Donat, nie patrząc na Łucję, tylko na ośnieżone, zaróżowione przez wschodzące słońce drzewo, mówił tak, jak gdyby prowadził wykład i pouczał studentów o podstawowych kanonach medycznej wiedzy - czy ty rozumiesz, że nie ma czasu do stracenia, że ona umrze, zanim zdąży tu przyjechać neurochirurg albo zanim zdołamy przetransportować ją do Warszawy lub do Poznania?

W milczeniu skłoniła nisko głowę. Powiedziała głucho:

- Rozumiem. Ale nie mogę.

Gdy nie odpowiadał, spojrzała na niego. Oczy miał przymknięte. Na skroniach nabrzmiały mu żyły, na czole perlił się pot. Nienawidziła go w tej chwili. Potrząsnęła głową:

- Julianie... Błagam cię, proszę cię, nie zmuszaj mnie. Ty wiesz dobrze, że potrafisz mnie zmusić. Ale weź pod uwagę: jestem przecież człowiekiem. Tylko człowiekiem. A ludzka wytrzymałość nerwowa ma swoje granice. Oboje o tym wiemy. Ty i ja. Jesteśmy lekarzami. Gdyby ta operacja nie udała się, nie wiem, czy kiedykolwiek zdołałabym wziąć w rękę lancet...

Tak właśnie powiedziała, trochę odświeżnie, oficjalnie: „lancet”, nie „nóż”.

- Lancet? - powtórzył ostatnie jej słowo jakby budząc się ze snu czy zamyślenia. - Ty mówisz o lancecie chirurga, prawda? Jeżeli rzeczywiście tak myślisz, jak mówisz, w ogóle nie masz prawa trzymać go w rękę. Lancet chirurga nie posiada nerwów, moja droga.

Teraz, w mroku gabinetu rentgenowskiego, Łucja nie potrzebuje nawet przymykać oczu, ażeby przywołać z pamięci niedawny, sprzed dwóch godzin, obraz wysokiej, masywnej postaci Donata na tle prześwietlonej sielsko, białe i różowo, szyby okna na podeście. Ten obraz powraca sam, nie proszony i nie chciany.

Łucja będzie operować Irenę Donatową.

To właśnie ją wniesiono przed chwilą na płaskich, twardych noszach, aby dokonać zdjęcia. Tym razem nie prześwietlenia, ale zdjęcia. Łucja nie będzie widziała, jak bije serce Ireny, którą

tak bardzo, za wszelką cenę chce ocalić Julian. To dobrze, Łucja woli tego nie widzieć. Musiałaby myśleć o tym przez cały czas operacji. Zobaczy więc dopiero kliszę, skrawek czarnoszarej błony, na której zastygnie kształt Ireny nieruchomo i Łucji może będzie się wydawało, że to o kogoś zupełnie innego, obcego chodzi.

Irena nie ma szczęścia. Widocznie sprzysięgły się przeciwko niej zarówno logika wypadków, jak i przypadkowe zbiegi okoliczności. Gdy robią jej zdjęcie, psuje się instalacja. Trzeba przerwać, wykonywać zdjęcie od nowa.

Bolesław Kraska tkwi na swym posterunku pod sufitem, niezmordowany i uparty. Krzyżują się na jego postaci smugi latarek elektrycznych - przypomina samolot ścigany, ujęty i prowadzony przez światła reflektorów po nocnym niebie. Mdleją mu ręce - to najgorsze. Nie myśli tylko o grożącej mu przez cały czas śmierci: pracuje bez ochronnych rękawic, bez właściwych narzędzi. Jego uwagę zaprzatają inne sprawy. Który to przewód się zepsuł? Ten? Nie, chyba tamten drugi. Tu brak kawałka izolacji. Tak, teraz powinno grać.

Spogląda w dół. Widzi wzniesione ku sobie, pełne napięcia i oczekiwania twarze lekarzy. Tak to bywa na świecie: wczoraj on od nich chciał i oczekiwał pomocy, dziś on im jej udziela. Ostry i dojmujący żal przenika go na wskroś: on może, potrafi zreperować zepsute przewody, bez których lekarze musieliby pracować na ślepo, ale oni nie umieją uratować jego żony, Michaliny. Nie wiadomo o niej nic, czy żyje jeszcze, czy będzie żyć. Jacyś nieznanymi mu ludzie w dalekiej Warszawie podobno próbują ocalić jej życie. Może, gdyby pojechał tam, gdyby sam ich prosił, lepiej by się starali o Michalinę. Kraska wierzy tylko w osobiste, bezpośrednie kontakty. Nie wierzy, że ktoś może starać się tak w ogóle, bez interesu. Ale on pojechać nie ma za co. I nie wolno mu. A czy tam jest kto, żeby jej choć wody podał, poduszkę poprawił? Wiadomo, kobieca rzecz taki przypadek jak jej, ale on wyobrazić sobie nie umie, że Michalina przez to umrze. Jakże to tak? Ma zostać sam? A dzieciom kto jeść da? Wróci do domu i nie zobaczy więcej jej drobnej, chudej postaci, krzątającej się po pokoju? Już nigdy?

Nie ofuknie go nikt, kiedy po wypłacie wróci „pod muchą” do domu? To być nie może. To za wielka krzywda. Nie po to przyjechał z Michaliną tu, do Nowoborów, z dalekiej ziemi rzeszowskiej, z podgórskiej biedy, żeby miało spotkać ich takie nieszczęście. Kto temu winien? Ona? On? Zły los? Przecież był dla niej dobry, kochał ją, z miłości brał ją w objęcia, aż oddychać przestawał ze szczęścia, gdy czuł pod ręką niespokojne bicie jej serca. I to wszystko ma mu zostać odebrane, za to dosięga ich kara? A może to oni winni, ci na dole, ludzie uczeni, wiedzący?... Gdyby mu ktoś kiedy powiedział, że kochać Michalinę i robić jej krzywdę to to samo, wolałby może przestać ją kochać. Gdy leżała, skulona na łóżku, wijąc się z bólu, wstrząsana dreszczami, z gęstymi kroplami potu na bladym czole, pochylał się nad nią i pytał:

- Cóż ty tak... Cóż ty tak? Po co?

Wyciągnęła do niego swoje chude ramię: pod przezroczystą skórą nabrzmiałe niebieskie żyłki wily się wypukło i wyraziście jak kręte strumyki, odbijające w sobie niebo.

- Patrz, Bolek. Tak wyglądam. Czy ja mogę jeszcze rodzić? Toć bym nie donosiła. Tak ciężko, Bolek, tak ciężko. Te troje, co są, wszystkie mi siły zabrały. Jak pomyślę, żeby jeszcze raz rodzić, to strach mnie bierze. Popatrz na dzieci, jaka z nich mizerota. To czwarte odebrałoby im to, czego i tak nie mają za wiele. No i zrobiłam. Zrobiłam - powtarzała raz po raz z zaciętością i rozpaczą. Miała już gorączkę, zaczynała bredzić.

Bolesław Kraska niczym automat łączy przewody, okręca je izolacją, podłącza do pionu. Powraca myślą w dzień dzisiejszy, zastanawia się, czy aby sąsiadka dopilnuje dzieci, pozostawione bez opieki, czy pan inżynier Jantar, co to też tym autobusem jechał i też ranny jest, ale nie ciężko, wypłaci mu nareszcie zaległą premię, o którą Kraska upomina się daremnie od miesiąca. Ta cała instalacja nie wykończona to wina pana inżyniera Jantara. Kraska dobrze wie. Jak może nikt inny. Już parę razy przyłapał pana inżyniera na kantach. Ale czy jego rzecz wtrącać się w podobne sprawy? Pan inżynier wykręci się, a jemu w łeb dadzą. Kiedyś, kiedy Kraska nie miał pieniędzy ani na opał, ani na buty dla dzieci na zimę, Jantar ofiarował mu

pożyczkę: tysiąc złotych. Chciał oddawać ten dług, choćby po sto złotych miesięcznie, ale Jantar tylko ręką machnął.

- Co tam, co mi po pana tysiącu złotych!

Kraszę krępuje ta niemiła szczodrość. Ale co robić. Pan inżynier... Taki on i inżynier. Maurycy Jantar pochodzi z tej samej miejscowości, co Kraska. Kraska pamięta, że Jantar żadnych tam wyższych szkół nie kończył. Pracował kiedyś na budowie, potem w księgowości, poduczył się trochę tego, trochę owego i za „inżyniera” został. Za ten spryt, za tę umiejętność urządzania się Kraska nie cierpi Jantara. Nie umie tak jak on kręcić i bogacić się. „Ale tylko takim dobrze - myśli elektryk z rozgoryczeniem. - Chorych nie ma gdzie kłaść, całe skrzydło szpitala w remoncie - to przez niego. Te aparaty nieczynne - przez niego. Ale jak co, to: „Panowie doktorzy, ratujcie! Leży tam teraz i sęka.”

Gdyby ktoś spytał Bolesława Kraszę, elektryka, dlaczego, gdy tylko usłyszał jęk syren, wybiegł z domu, popędził do szpitala i teraz od ośmiu czy dziewięciu godzin nie schodzi z drabiny, żeby rannych mogli prześwietlić - skoro mu za to nikt chyba nie zapłaci, a może i „dziękuję” nie powie, bo kto tu ma głowę obecnie do takich rzeczy - wzruszyłyby tylko ramionami. Może powiedziałaby:

- No, a jak? Przecież ludziom trzeba pomóc.

Przez chwilę zastanowi się może jeszcze: „Jak to się dziwnie składa, że kiedy nieszczęście dotyka wielu ludzi naraz, nie brak im innych, spieszących z pomocą. Robi się zaraz takie święto, jakby imieniny ludzkiej niedoli. Ale niech nie wiadomo jakie ludzkie nieszczęście w pojedynkę, na codzien, mało kto ofiaruje się, żeby człowieka z biedy wyciągnąć. Czemu to tak?”

A w istocie rzeczy u podstaw porywu Bolesława Kraski leży i niema solidarność z tymi, których ciała rozrywa ból, i przesądna wiara, że ktoś pomoże jego Michalinie, jeżeli on pomoże innym ludziom, i głucha niechęć do Maurycego Jantara, i pragnienie górowania nad nim nie w złym, ale w dobrym. Wiele pobudek: i to, co dodatnie, i to, co ułomne w człowieku, składa się często na czyn, o którym powiedzą później ludzie, że stanowił świadectwo dzielności i

poświęcenia. Bolesław Kraską nie jest jednak filozofem, psychoanaliza jest mu najzupełniej obca, nie docieka więc swych pobudek, a po prostu zadowolony jest, gdy widzi, że zapala się znów czerwone światelko w rogu pokoju i twarze, ledwo dostrzegalne w półmroku, wzniesione ku niemu niemal z błaganiem, rozjaśnia wyraz ulgi.

Od tego momentu Łucja działa jak w transie. Gdy opuszcza gabinet rentgenowski, łyka jakieś pastylki, podsunięte przez Donata (na uspokojenie? na wzmocnienie?) i, czekając na zdjęcie, wypija filiżankę mocnej kawy. Kawę przynosi jej jakaś ruda dziewczyna, znana z widzenia, ale nie należąca do personelu szpitalnego. Łucja zastanawia się, kto to jest, i przypomina sobie jak przez mgłę, że to bufetowa z baru „Przodownik”, zwana Rudą Heńka, o którą pocięli się nożami jej wczorajszy pacjent, pijanica Edward Feliksiak, i Zdzisław Borucki, syn rymarza. Heńka przyszła pomóc w kuchni. Skąd zaś kawa? Obywatel wiceprzewodniczący Migotek przysłał, naruszył bezcenny fundusz reprezentacyjny.

A co z Feliksiakiem? Janusz Zawilski wie wszystko, co dzieje się w szpitalu. Jak on to robi? Organizuje krwiodawstwo, operuje i pamięta o normalnym, zwykłym obchodzie szpitalnym. Łucja już nawet nie uświadamia sobie, że jeszcze wczoraj nazywała go w myślach gamoniem. Tak więc dowiaduje się, że Feliksiakowi jest lepiej. Odzyskał przytomność we właściwym czasie, noc przeszła spokojnie, temperatura nieznacznie tylko podwyższona.

Łucja cieszy się z tego jak dziecko i nagle uprzytamnia sobie, że są jak gdyby dwie Łucje. Jedna połyka pastylki, pije kawę, rozmawia z Januszem Zawilskim, odczuwa satysfakcję z powodu wczorajszej udanej operacji zeszywania klutej rany boku pewnego chuligana, za chwilę zaś przystąpi do normalnych obrządków stosowanych przed operacją: mycia rąk, dezynfekowania ich, nakładania gumowych rękawic, fartucha, maski. Druga Łucja stoi z boku i krytycznie tamtej się przygląda. Zdaje się mówić do niej bezgłośnie, samym tylko poruszeniem warg, ażeby nikt postronny nie poznał ich wspólnej tajemnicy:

„Przecież nie taka jesteś naprawdę - dzielna, obowiązkowa, rzeczowa, przyjazna. Jesteś mną - złą Łucją, której wszystko w życiu z rąk leci i która za to nienawidzi mnóstwa ludzi. A zwłaszcza, życzy jak najgorzej jednej bardzo ładnej kobiecie, Irenie Donatowej, którą spotkało nieszczęście. Nie chciałaś jej operować nie dlatego, że nie potrafisz, bo potrafisz przecież - ale dlatego, że wolałabyś, aby bez twojej pomocy umarła. A tu wszystko na nic. «Lancet chirurga nie posiada nerwów», tak powiedział Donat, twój przyjaciel, twój były przyjaciel. A chirurg i jego lancet to jedno. To zapewne chciał on wyrazić, gdy użył tego dziwnego określenia, bo przecież wiadomo, lancet to tylko kawałek stali i cóż to w ogóle za niemądre rozważania, czy posiada on nerwy, czy nie. A teraz Donatowi na złość uratujesz Irenę, jego żonę, i on do końca życia skazany zostanie na towarzyszenie jej kalectwu, no bo przecież taka całkiem zdrowa to ona nigdy nie będzie. Może Donat wolałby nawet, żeby Irena rozstała się ze światem, ale robi wszystko, żeby do tego nie dopuścić. A potem zostanie przy niej z zaciśniętymi zębami. Bo on przecież uwielbia fanatycznie «poczucie obowiązku». A może Donat po cichu liczy na to, że ty spaprzesz operację? Byłby wolny, zadowolony, że do końca robił co mógł, nie obchodziłoby go twoje poczucie winy. Żeby tak nie było, zrobisz tę operację, dobrze na dodatek. Zrobisz tak dlatego, że on tej nocy dał pierwszeństwo jej, a nie tobie. Wcale zaś nie dlatego, że do twoich obowiązków lekarza należy ratowanie ludzkiego życia, bez względu na to, czyje jest to życie...”

Pierwsza Łucja zrywa się i woła rozpaczliwie: „Nie, nie, nie! Nie tak, wcale nie tak... Ja naprawdę...”

Dobrze, że nikogo nie ma w malutkim gabinecie laryngologa, w którym schroniła się na chwilę. Pomyśleliby, że zwariowała. Obmywa twarz zimną wodą. Trzeźwieje. Wychodzi z gabinetu już uspokojona i przechodzi do sali operacyjnej. Jest spokojna. Bardzo spokojna. Teraz ona wydaje rozkazy. Nie, Donat nie będzie asystować jej przy operacji Ireny. Nie można sobie pozwolić na nieobecność dyrektora w szpitalu w tych okolicznościach. Niech zajmie się całym tym bałaganem, krwiodawcami, obchodem, opatrunkami. Narkozę będzie

dawać doktor Kora. Doktor Łobzowski odjechał do Wydziału Zdrowia, i słusznie, niech zorganizuje dodatkowy przydział medykamentów, bo niedługo w tym szpitalu głupiej jodyny zabraknie. Do asysty - Zawilski. Firmin za to niech zainteresuje się tą dziewczyną ze złamanymi żebrami.

Siostra Maria, instrumentariuszka Łucji, jest błada i patrzy na doktor Bitmarową szeroko otwartymi, pełnymi niepokoju oczyma. Łucję ogarnia zarazem i lęk, i wzruszenie: ta wierna dusza nie da się zwieść żadnym pozorom. Nagła, sucha apodyktyczność Łucji jest dla niej niezbitym dowodem, że w samej Łucji dzieje się coś niedobrego. Może to lepiej. Lepiej, że Łucja ma w tym momencie obok siebie kogoś, kto ją rozumie i może jej współczuje.

Kiedy Łucja pochyla się nad obnażonym polem operacyjnym, z trudem udaje się jej skupić. Wciąż ma jeszcze przed oczyma twarz Ireny taką, jaka utrwałała się w jej pamięci, gdy w przyległej salce opatrunkowej przygotowywano ją do operacji. Zastygły na tej twarzy wyraz bólu i przerażenia czyni ją prawie brzydką. W Łucji budzi się zwykłe, ludzkie współczucie: biedna mała. Od chwili, kiedy tak krzyczała na widok Łucji w hallu, nie odzyskała przytomności. To lepiej dla niej, lepiej dla nich obojgu, chociaż dla lekarza stan taki to źródło dodatkowego niepokoju. Łucja przepowiada sobie w myślach: „Kręgi piersiowe. Dziesiąty, jedenasty, dwunasty. Trzeba usunąć odłamki kostne, bo ucisk na nerwy. Niedowład. Mięśnie brzucha i otrzewna...”

To pomaga. Łucja dostrzega nareszcie z całą wyrazistością, że ma przed sobą fragment kręgosłupa. Skalpel tnie skórę Ireny. Teraz Łucja wybiega wyobraźnią w przyszłość. Blizną po tym cięciu Irena zostanie napiętnowana na zawsze. Tym cięciem Łucja wypisuje na ciele Ireny swój znak, swój inicjał. Ilekroć Donat obejmie swoją żonę, na plecach jej wyczuje bliznę. Oboje, zarówno Irena, jak i Julian, będą musieli wtedy pamiętać o Łucji.

- Ta blizna to po operacji - zwierzać się może będzie przyjaciółkom Irena Donatowa, kiedy wyzdrowieje i opalać się będzie na plaży albo pojawi się na balu w wydekoltowanej

sukni. - Fantastyczna historia, wiecie? Operację tę robiła mi po katastrofie taka jedna lekarka, podwładna mojego męża. Mówili mi nawet plotkarze, których nie brak w takim prowincjonalnym miasteczku, że ona, ta lekarka, kochała się w moim mężu. Czy ja wiem, może nawet żył z nią. Ale to przecież nieważne, taka mała męska przygoda. Jesteśmy znów z nim razem i zapewniam was, że oboje czujemy się bardzo szczęśliwi. A ona? Ach, nawet nie wiem, co się z nią dzieje. Julian też już od dawna nie miał od niej żadnych wiadomości...

Bo z pewnością tak właśnie potoczą się dalsze dzieje ich trojga - snuje się po głowie Łucji.

- Tampon - mówi do Zawilskiego - tamuj. Zaciśnij peanem. Prędzej.

Oto dotarła do miejsca, do którego miała dotrzeć. Kształt z kliszy ożył i Łucja widzi, jak pulsuje krwią, barwi się wnętrze ciała Ireny. Widok ten przypomina Łucji ilustrację do opowiadania, które się uprzednio przeczytało. Tu jest kościec, decydujący o proporcjach i harmonii sylwetki, tu mięśnie, formujące kształty ciała i nadające im sprężystość, tu nerwy, pozwalające żyć i odczuwać.

I nagle Łucja zdaje sobie sprawę, że ogarnia ją szaleństwo. To ciało, leżące przed nią na stole operacyjnym, stanowi w tej chwili jej wyłączną, niepodzielną własność. Należy do niej i tylko do niej. Zależne jest wyłącznie od jej woli. Może mu rozkazywać, może z nim robić, co chce. Może je ocalić. I może je zabić. Może uczynić bezwładnym do końca życia. I może przywrócić mu nie skрэpowaną swobodę ruchu. To ciało nie należy do Donata. Oddał je przecież we władzę Łucji. Nie jest także właścicielką tego ciała Irena, bo nad nim nie panuje, niezdolna do wykonania ani jednego świadomego ruchu. Łucja jest właściwie wdzięczna Julianowi za ten moment pełnego upojenia władzą nad innym człowiekiem, tak absolutną, tak zupełną, że graniczy niemal z aktem stworzenia człowieka. Łucja rozumie teraz, dlaczego tak krwawo i męczeńsko musiały się społeczeństwa żegnać z epoką niewolnictwa, z wiekami feudalizmu. Nieograniczona władza nad innymi, możliwość dysponowania bezkarnie ich życiem i śmiercią stanowi

nadmierną pokusę i zbyt wielką rozkosz, ażeby posiadacze ludzi mieli tak łatwo rezygnować z tego przywileju.

Cóż tedy ma uczynić Łucja z owym ciałem, wydanym całkowicie jej władzy? Cokolwiek uczyni temu ciału, uczyni sobie. Czuje się z nim niemal zespolona. Ono jest prawie nią samą i ta myśl sprawia Łucji niewiarygodny ból. Tylko jedno może uśmierzyć ten ból, położyć mu radykalnie kres. Istnieje tylko jedna rada. Zabić to ciało.

Łucja może to zrobić i pozostanie bezkarna. Nikt jej niczego nie udowodni. Odłamki kości tkwią głęboko wbite i nikt nie zdoła dowieść, że to ona lancetem, nie zaś jeden czy drugi odprysk kości, ostry niby igła, przeciął nerw, uszkodził rdzeń. Kora niewiele się na tym zna, zresztą zajęty jest swoją funkcją narkotyzera, Zawilski śledzi w tej chwili tętno i tylko Maria, siostra Maria o pocziwych, brązowych oczach bada każde drgnienie, najmniejszy ruch rąk Łucji, ażeby nadażyć z podaniem jej właściwego instrumentu. Ale siostra Maria nie jest neurochirurgiem, nie jest nawet lekarzem, chociaż możliwe, że na skutek swojej wieloletniej praktyki zna się na przebiegu operacji lepiej od niejednego młodego chirurga.

Łucja unosi na sekundę twarz. Znad białej maski patrzą na nią uważne, łagodne oczy, wydające się przez ten swój wyraz jasnymi, mimo iż są ciemne. Łucji wydaje się także, że są bardzo smutne. Siostra Maria należy do tych kobiet, które całkowicie i bez reszty poświęciły się swojemu zawodowi, traktując go jako jedyne powołanie i cel życia. Nie ma rodziny, nie ma przyjaciół poza szpitalem. Tu mieszka i całe jej życie prywatne przez okrągłą dobę otwarte jest i dostępne dla mniej lub bardziej ciekawych oczu i uszu. Nie ma w nim osobistych trosk ani radości. Może istnieje jakaś jedna, wielka, nie kończąca się nigdy troska, ale o tej nikt nie śmie wiedzieć. Może to ona właśnie czyni brązowe oczy tak smutnymi, jakimi widzi je w tej chwili Łucja. Rzadki to moment i wyjątkowy. Może, ukazując swoje własne cierpienie, starsza od Łucji kobieta chce jej powiedzieć:

„Wiem o tobie wszystko. Wiem, co w tej chwili czujesz. Co więcej: wiem, co zamierzasz zrobić. Tego ci jednak zrobić nie

wolno. Ja nie potępiam ciebie ani nie osądzam. Po prostu są sytuacje w życiu, kiedy człowiek dochodzi do jakiegoś kresu w swoich myślach i uczuciach, kiedy dalej rozciąga się już tylko przepaść. Ale tak długo się pozostaje człowiekiem, dopóki ma się dość sił, ażeby się cofnąć. I ty się cofniesz. Wiem o tym, że się cofniesz, bo znam ciebie i wierzę w ciebie. Cierpienie też może stać się ulgą, jeżeli człowiek skazuje się na nie dobrowolnie, z pełną świadomością, że płaci nim za ocalenie swojego człowieczeństwa, swojej ludzkiej godności.

Najpiękniejszym przywilejem człowieka, jak i wszystkiego zresztą, co żyje w przyrodzie, jest kontynuowanie swojego gatunku, a więc powołanie do życia nowych pokoleń, a więc stwarzanie i utrzymywanie życia. Cóż przysłoby komu z tego, że stworzono na świecie wiele pięknych i mądrych rzeczy, gdyby przestali istnieć ludzie, dla których pożytku i radości one powstały? A nic nie pokrywa się pełniej z tym przywilejem ludzkości, jak praca lekarza. On ma chronić życie, utrzymywać je, przedłużać, usuwać z niego te przeszkody, które je skracają lub czynią niepełnym. Masz w rękę broń przeciwko śmierci, nie użyjesz jej przeciwko życiu”.

Oczywiście to złudzenie. Tego wszystkiego nie mówi bynajmniej siostra Maria, wszystko wymyśliła Łucja. Może jednego tylko nie wymyśliła: tego mianowicie, że oczy siostry Marii rzeczywiście spoglądają na nią z pełnym oddaniem, z bezgraniczną wiarą i ufnością. Łucja aż zachłystuje się zgrozą. Zgrozą, że mogła przez moment chociażby pomyśleć, to, co pomyślała. „Nie jesteśmy święci, nikt z nas nie jest święty” - przypomina sobie swoje wczorajsze refleksje podczas operowania rannego chuligana. Nie na darmo człowiek wymyślił sobie diabła, jeżeli mogą mu takie rzeczy przychodzić do głowy. Wymyślono diabła, ażeby na niego móc spisywać nasze straty moralne. To łatwiutkie. Chyba tak samo łatwo być świętym. Ale największa sztuka pozostać człowiekiem. Łucja już wie, jak to trudno.

Operacja dobiega końca. Całe ciało Łucji jest jak z kamienia. Ledwo zdoła rozprostować ramiona i plecy. Wydaje ostatnie polecenie. Do Zawilskiego mówi:

- Za godzinę transfuzja. Kolega pamięta, grupa krwi, A. Chyba mamy w zapasie?

Uwaga ta, nawiązująca do wczorajszego nieporozumienia z powodu braku zapasu krwi grupy A, wypowiedziana tonem lekko żartobliwym, z pobłażliwym błyskiem w szarych oczach doktor Bitmarowej, wprawia Zawilskiego w niekłamane zdumienie. Że też Bitmarowa umie i może jeszcze żartować po takiej harówce! Ale wytrzymała babka! Nerwy jak postronki. Sam Zawilski mokry jest od stóp do głów ze zdenerwowania. Ulotnił się gdzieś bez śladu jego dawny żal do Łucji. Jest na pewno osobą godną podziwu, a mimo wszelkich pozorów młody lekarz tęskni do autorytetu, do możliwości podziwiania kogokolwiek bez zastrzeżeń. Ponieważ brak mu jakoś słów, skłania głowę na znak, że przyjął do wiadomości zarówno żart, jak i polecenie. Ruch ten podobny jest jednak niemal do dworskiego hołdu.

Sanitariusz Ramuć i doktor Kora wytaczają wózek, na którym spoczywa w spokojnym, narkotycznym śnie Irena. Łucja ociąga się jeszcze z opuszczeniem operacyjnej sali. Siostra Maria porządkuje instrumenty. Za chwilę wejdą tu sprzątaczkі, ale na razie znajdują się na sali tylko one dwie. Łucja chce jakoś podziękować siostrze Marii. Ale cóż jej ma powiedzieć i jak? Więc mówi tylko po prostu:

- Siostro...

- Dziękuję.

Siostra Maria podnosi na nią zdumione i nie rozumiejące oczy: przecież Łucja już raz, jak każe zwyczaj, dziękowała wszystkim na sali po skończonej operacji. Czyżby o tym zapomniała?

- Ależ... Za co? Pani doktor kochana, za co? Łucja macha ręką, jak gdyby chciała powiedzieć: „Ach, nic, już nic, proszę nie zwracać, na mnie uwagi. Tak plotę coś. Po prostu przemęczenie”. Wychodzi z sali powoli, w nogach czuje ołowiany ciężar. Za to wewnątrz rośnie pustka. Przerazająca pustka. Zupełnie jakby umarła. Wszystko jest jej obojętne. Nic chyba nie zdoła już wytrącić Łucji z równowagi. Nic i nigdy. Straciła poczucie radości i smutku. „Porażony nerw smaku

życia” - żartuje z siebie i nie może się nadziwić, że żart ten przychodzi jej tak łatwo.

Na progu umywalni stoi Donat. Nie pyta Łucji o nic. I Łucja się nie odzywa. Obojętnie pozwala się rozebrać młodszej siostrze, myje ręce. Jak automat przechodzi obok Donata, mija go w drzwiach, nie patrząc na niego. Julian dogania ją na korytarzu. Przez chwilę idą obok siebie w milczeniu. Potem Donat pyta ją tonem pełnym serdecznego zażenowania:

- A czy ty wiesz, Łucjo, że wśród rannych znajduje się twoja córka, Monika? Pewno nie wiesz, bo przecież cały czas operujesz. Odzyskała przytomność. Nic poważnego jej nie grozi. Szok, trochę zadrapań, parę stłuczeń. Prawdziwy cud, że tak wyszła z tej katastrofy. Nic mi nie mówiłaś, że Monika ma do ciebie przyjechać.

ROZDZIAŁ 6 CIĘŻAR WŁAŚCIWY KRWI

Franka Koralczyk - zwana przez kelnerów z podrzędnych knajp ironicznie: „Królową nocy”, przez niektórych swoich klientów, lubiących złudzenia, iż w skromnym ich życiu może zdarzyć się przygoda niezwykła, z cudzoziemską: „Fanny”, przez dyżurnych milicjantów, o ile trafiała na ich dobry humor, pobłażliwie: „Stokrotką”, przez sąsiadów zaś, zależnie od nasilenia ich osobistych trosk, z familiarną poufałością lub też z pogardą: „Ta nasza k... z trzeciego piętra” - otworzyła po cichu drzwi komórki, sąsiadującej na strychu z pomieszczeniem, które zajmowała i które w aktach administracji domu nosiło urzędową nazwę „lokal jednoizbowy bez wygód”.

W komórcie było ciemno, gdyż nie posiadała ona okna, i temu zapewne należy przypisać, iż nikt się nią nie zainteresował w celach mieszkalnych. Ze znajdujących się tu gratów wyszabrowano w swoim czasie wszystko, co mogłoby się do czegośkolwiek przydać. Pozostał na miejscu stary dziurawy siennik, przytulone czule do siebie dwa portrety - cesarza Wilhelma i Adolfa Hitlera, kilka pogiętych garnków i zbutwiały

kufer. France lokal ów przydał się: przeznaczyła go na poczekalnię dla swoich „klientów”.

Na odgłos otwieranych drzwi w półmroku poruszył się cień człowieka. Zaszeleściła słoma i spod starej, dość brudnej kołdry wychyliła się głowa. Lekko schrypnięty głos odezwał się ze złością:

- No, jesteś nareszcie. Myślałem, że cię przymkli, a ja tu z głodu zdechnę.

Franka postawiła na niskim stołku dzbanek z gorącą kawą, położyła obok kilka bułek i spory kawał kielbasy, po czym starannie zamknęła drzwi, przekreśliła w nich klucz i zapaliła świecę, przesłaniając ją portretem kajzera niby parawanem. Wszystko to czyniła w ponurym milczeniu. Wreszcie usiadła na kufrze, wyciągając przed siebie nogi w przemoczonych i zabłoconych butach. Patrzyła obojętnie, jak młody mężczyzna łapczywie pochłania przyniesione przez nią jedzenie.

- Szukają mnie? - spytał ciekawie, gdy nasycił pierwszy głód.

Niemo skinęła głową.

- U matki byłaś?

- Byłam - odpowiedziała - wczoraj wieczór. Powiedziałam, że tu jesteś, ale żeby nie przy łaziła, bo melinę spali. Przed waszą chałupą wartę honorową postawili na cześć obywatela Zdzisława Boruckiego.

- Siedzą? - domyślił się chłopak. Po chwili milczenia, przeżuwając leniwie kielbasę, spytał jakby z ociąganiem: - A co z Feliksiakiem, z Edkiem, nie wiesz? Nie mówiła matka?

Franka machnęła pogardliwie ręką:

- Wylizie z tego. Takiemu to nic nie będzie, jak po psie woda. Operowali go wczoraj. Zeszywała go ta blondyna, wiesz, co z dyrektorem szpitala chodzi, z tym Donatem, wiesz... Miałeś szczęście, że tak... Podobno żebyś zajechał mu tym majchrem ciut dalej w bok, byłoby po nim. Miałeś szczęście... - pokiwała głową z uznaniem.

Dla niej sprawy życiowe sprowadzały się do tego, czy Ktoś ma szczęście, czy też nie. Bo jak ktoś ma szczęście, to z każdej biedy się wydrapie. Ona nie miała nigdy szczęścia. A Zdzisiek Borucki - szczęściarz. Inny cegłą rybnie i szlus, zabije. A ten

nożem kumpla niemal na wylot i proszę - ofiara żyje! Po prostu szczęściarz. Nie Edek Feliksiak, oczywiście, tylko Borucki. Ci na przejeździe to nie mieli szczęścia. Westchnęła.

4- Co z tego?! - mruknął gniewnie Borucki.- I tak muszę tu siedzieć u ciebie jak mysz w norze, i tak. Poczekam, aż przyschnie, i prysnę gdzie. Do mamra gnić nie pójdę. Szkoda czasu.

- Pewnie - odburknęła ze zrozumieniem i znów zamilkła. Odblask świecy różowił twarz chłopaka, rzucał na ścianę powiększony cień jego głowy. Rysom tej twarzy, miękkim, niemal jeszcze chłopięcym, przeciwstawiały się oczy. Oczy miały wyraz bystry i przebiegły. Nawet starego wygę Kurzawę Zdzisiek potrafił zadziwić sprytem i cynizmem. Nie przyłączył się wprawdzie do bandy Kurzawy, cenił bowiem nade wszystko niezależność, pieniędzy zaś nie potrzebował, gdyż ojciec miał ich w bród - ale lubił spotkać się z „chłopakami”, popić z nimi, „porozrabiać”, zabłysnąć jakimś wyczynem. Teraz medytował, jak się wydobyć z matni.

- Powiedz no, Franka, a ciebie nie czepiali się? Nie podejrzewają czasem, że ja tu jestem, co? Nie pytali ciebie o mnie?

Wzruszyła ramionami:

- Eee tam... Też pleciesz. Mają teraz co innego na głowie, nie pogaduszki ze mną. - Nagle roześmiała się, lecz śmiech jej zabrzmiał ponuro. - Nieprawda. Rozmawiali ze mną. Owszem. Nawet uprzejmie. „Dziękujemy pannie Frani”, mówili.

Popatrzył na nią spode łba i zrobił ręką ruch w okolicy czoła: Franka do reszty kręćka dostała.

- A tak, właśnie, że tak - zaperzyła się gniewnie. - Żebyś wiedział! Ach, prawda, ty przecież nic nie wiesz... - przysunęła się bliżej, chociaż zawsze miała zwyczaj kryć twarz. Nie lubiła, gdy ktoś patrzył jej w twarz. Że co noc kto inny oglądał jej ciało, nie miało dla niej znaczenia. Mieli prawo, płacili.

- Co nie wiem? O czym? - ożywił się chłopak.

- Pociąg rozchrzanił autobus na przejeździe w nocy. W drobny mak. Syren nie słyszałeś? Wszyscy polecili na przejazd. Mówię ci, wszyscy. Kto tylko. Ja akurat od twojej

starej wychodziłam. Na Kurzawę się naprułam. On leci. Pytam: „Dokąd?” Nie odpowiada, tylko gna. Myślę sobie, draka jakaś gdzie będzie, i za nim, z ciekawości. A tam... powiadam ci... istne jatki. - Przetarła dłońmi swoją brzydką, pomiętą twarz, jak gdyby chciała ruchem tym zetrzeć sprzed oczu zapamiętany widok, i powtórzyła drewnianym, beznamiętnym głosem: - Istne jatki. Autobus był pełny, wiesz... Sześćdziesiąt osób jechało. Kilkanaście trupów, reszta w szpitalu. Na przejeździe chyba z pół miasta się zebrało.

Oczy Boruckiego rozbłysły najżywszym zainteresowaniem. Zaklął. Że też on akurat musi się kryć, kiedy w mieście nareszcie dzieje się coś ciekawego. Łazisz po tych Nowoborach i łazisz całymi dniami, nudno jak jasny piorun. Aż wściec się można. Z tej wściekłości się rozrabia. Przecież nie będzie w warsztacie ojca siedzieć, stare uzdy reperować, popsute teczki i torebki miejscowym paniusiom zeszywać, nie dla niego robota.

Uczyć się też nie miał cierpliwości. Roznosiło go coś, czemu nie umiały nadać nazwy.

Jest paru mądrali w Nowoborach, co to próbują „rozruszać” miejscową młodzież. Jakieś tam odczyty, wycieczki, kółko techniczne, zajęcia sportowe, akcja porządkowania miasta. Poszedł raz i drugi do ich klubu - wszystko nie to. Nie zdołał zaspokoić swego głodu. Takie jakieś to porządne, grzeczne, letnie. Marek Oenda przewodzi tym „grzecznym chłopczykom”. Zdzisiek nie znosi Marka Lendy. Woła na niego: „Hej, ty, pozytywny bohater, lizus!” albo „Hej, ty, zorganizowany!”..

Kiedyś chłopcy i dziewczęta pod kierunkiem Marka uporządkowali plac przed klubem, założyli trawnik, posadzili krzewy i drzewka. W nocy Zdzisiek ze swoją bandą wszystko to zniszczył. Przez trawniki przejechali się motocyklami, drzewka wyrwali i zasadzili koronami w ziemię, korzeniami do góry, wywlekli z pobliskich domów zbiorniki na śmieci i posypali ich zawartością kwietniki. Na środku ustawili tablicę: „Park Kultury imienia Marka Lendy”.

Następnego dnia rano z drwiącym uśmiechem stali i przyglądali się, jak „tamci” opłakiwali ruinę swego dzieła. Ryczeli z uciechy: „Ale wam piękne kwiatki porosły. Aż dziw, co

za okazji nadzwyczajne!” Marek przysunął się wtedy do Zdziśka blady, z zaciśniętymi pięściami. Zdawało się, że już dojdzie do bijatyki. Borucki o niczym innym nie marzył. Ale Marek opanował się. - Odwrócił się do swoich i powiedział głośno, dobitnie: „Popatrzcie, koledzy. Aż dziw, co za okaz nadzwyczajny. On uważa siebie za człowieka”.

Dwa razy jeszcze banda Boruckiego niszczyła skwerek przed klubem i za każdym razem Marek ze swoją młodzieżą zakładał go od nowa. W końcu ta zabawa znudziła się Boruckiemu, zainteresował się czymś innym. Wojna wszakże trwała. Drogi jej wytyczała bujna fantazja Zdziśka. Możliwości jednak były dość ograniczone, ścieśnione murami i zaułkami niedużego miasta, kręgiem ludzi, znanych aż do obrzydzenia. Toteż wyczyny Zdziśka i jego kompanów, niby nadmiar pary zgromadzonej w zbyt małym i na dodatek nieszczelnym kotle, eksplodowały z coraz większą gwałtownością i dzikością. Nie wystarczyło im już, jak kiedyś, wdrapać się całą paczką na drzewa w miejskim parku i wyc stamtąd na całe miasto ku utrapieniu jego spokojnych mieszkańców. Rozpoczęły się krwawe pijackie burdy, na pół bandyckie napady. Aby tylko, za wszelką cenę, nie poddać się szablonom zwykłego, szarego bytowania, aby tylko zwrócić na siebie uwagę ludzką. Jeszcze w okresie wdrapywania się na drzewa w miejskim parku marzyły się Zdziśkowi i niejednemu z jego wielbicieli jakieś czyny wielkie i niezwykle. Może w czasie wojny zostałby bohaterem partyzantki. Może by umiał zdobywać góry albo w skafandrze nurka badać morskie głębie - takie, których nigdy nie widział żaden człowiek na świecie. Sadzenie drzewek na skwerze i zbieranie żelaznego złomu na budowę nowego boiska budziło w nim lekceważenie i pogardę.

„Jak nie można zrobić nic, żeby mnie podziwiali, niech się mnie boją” - postanowił wreszcie i stał się zmorą i postrachem Nowoborów. Znienawidził miasto, znienawidził ludzi. Gardził nimi za to, że gdy mijają go na ulicy, cofają się przed nim do bramy albo obchodzą szerokim łukiem, aby uniknąć jego zaczepki.

Teraz, niesłychanie podniecony wieścią, przyniesioną przez Frankę, dopytywał się natarczywie:

- Np i co? No i co? Co Kurzawa? Porozrabiali tam pewno chłopaki, no nie? Taka okazja... - aż mu tchu zabrakło z zazdrości.

Franka popatrzyła na niego z pobłażliwą ironią:

- Okazja... Okazja... - przedrzeźniała drwiąco. - Takim smarkom jak ty to tylko rozróbki w głowie. Kurzawa poważny facet, nie pętaś. Wie, co, gdzie i kiedy można. Pomagaliśmy porządek trzymać. Żeby karetki mogły zajeżdzać. Rannych się nosiło. Aha, ten twój przyjaciel, Lenda, też tam był. Ranny. No, rzeczy się zbierało, tor czyściło. Robota była, jak się patrzy.. Nie tam żadna rozróbka. Pan sekretarz Żarnowiec naszemu Kurzawie grzecznie, osobiście dziękował za pomoc. Rączki sobie ściskali... - opowiadała to wszystko wolno, rozwlekłe, z rozmysłem. Boruckiemu na złość. Co on sobie myśli, ten smarkacz? Że przystał do nich, to już on z nimi za jedno? On z nieróbstwa, z nudów, z tłustego życia u mamy za piecem wścieklizny dostał, ciska się, wariuje. Co on wie o tych najgorszych, najbardziej wyboistych ścieżkach, jakimi doszli do swojego dzisiejszego życia i Franka, i Kurzawa, i inni? Nic nie wie. A skoro nie wie, to niech pozna, że on i oni to nie jedno.

Zdzisiek zaczął się tarzać ze śmiechu po sienniku. Trzymał się rękoma za brzuch, rechotał z uciechy, krztusił się słowami:

- Oj, oj, nie mogę... Trzymajcie mnie! Pan Kurzawa pod rączkę z towarzyszem Żarnowcem... oj, oj, pęknę, nie wytrzymam... Przodownik pracy... Ha, ha, ha... Może niedługo obywatela Kurzawę na przewodniczącego Rady Narodowej wybierzemy... Ha, ha, ha!!! Ale heca! Że też nie widziałem takiej zgrywy... - zaklął ordynarnie.

Zaklął i urwał. Nad nim, wyprostowana, zła, groźna, stała Franka trzymając się pod boki. Jej twarz zbieleła, oczy, zwężone z wściekłości, iskrzyły się. Wielki, czarny cień na ścianie przerósł jej postać i gdy uniosła rękę mogło się zdawać, że powiewa złowieszczymi, ciemnymi skrzydłami. Syczała z nienawiścią:

- Ach, ty gnojku zasmarkany... Maminsynku... Ty się Kurzawy nie czepiaj... Do pięć żeś mu nie dorósł, wałkoniu... Wiesz ty, jak zupa z lebiody smakuje i gospodarski kij na grzbiecie, kiedy się ma pięć lat? Bo on wie. Kogo nędza urodzi, ten się z wódką żeni, a do książki mu nie po drodze. Ale jak było trzeba, we wojnę, poszedł... Jak inni. Poszedł. Ty go kiedy zapytaj. Zapytaj. Tylko nie wiem, czy ci powie. Boś i słuchać niewart. Bo ty co? Wszystko byś mógł... co tylko byś chciał. A ty co? A ty co? Tylko aby pomiatać... Umiesz ty co? Próźniaczyć się, łobuzować, to tak... I tyle! Czujesz ty co, masz serce do ludzi, litość? Zapłakałeś kiedy z żalu nad kimś? Umiałbyś życie za kogo oddać, jak umiesz je zabrać innemu? Jak co dobre, to dla ciebie głupie, śmiech... Kto robi dla innych bez interesu, dureń dla ciebie. I jaki pożytek z ciebie na świecie? A ja dziś widziałam... - jej grzmiący, schrypnięty głos zniżył się do szeptu - widziałam dziś w nocy, jak Kurzawa, łobuz, złodziej Kurzawa, chłopaka niósł. Takiego niedużego, chudego chłopaczka. Rannego. Nie wiem, może już nie żył. I płakał Kurzawa, wiesz? Płakał. Łzy mu ciurkiem leciały, niby groch takie duże. Przed wojną brat mu z głodu umarł młodszy. Pewnie sobie przypomniał. Pewnie przez to płakał. No, śmieć się teraz z Kurzawy! No, śmieć się... Dlaczego się nie śmiejesz, ty... ty...

Ale Zdzisiek Borucki nie śmiał się. W pierwszej chwili, słuchając wymyślań Franki pod swoim adresem, poderwał się i podniósł zwiniętą pieść, aby zwykłym sposobem ukrócić potok jej mowy. Pięść rozwinęła się jednak jak gdyby sama, bez jegewoli, opadł z powrotem ciężko na siennik i siedział skulony, wpatrzony ze zdziwieniem w swoją pustą, rozchyloną dłoń, która nie uderzyła Franki. Jego bezruch nie zlagodził złości kobiety, nie przeciął wybuchu. Zwisiała nad nim jak ciężka, ołowiana chmura, przytłaczała go do brudnego siennika ostrą ulewą złych, obelżywych słów, gwałtownych, oskarżycielskich gestów.

- A ja ci powiem, wiesz, co powiem? Choćby i najgorszy, najpodlejszy, raz kiedyś w życiu może być człowiekiem. I wtedy nie ma się co śmiać. Jak ty się z tego śmiejesz, toś ty nie człowiek. Nie człowiek. Tam, na przejeździe, jak pomagałam,

pomyślałam sobie: muszę ja być strasznie zła, bo tu ludzie giną, umierają, a mnie jakoś tak lekko. A lekko mi się zrobiło - teraz już wiem, kiedy na ciebie patrzę - zrobiło mi się lekko, bo raz w życiu się poczułam jak inni, jak ludzie, jak człowiek. Mówią: człowiek człowiekowi wilkiem. To straszne słowa. I to prawda. Tak bywa. Tak ty... Ty taki wilk. Ale bywa i tak, jak tam, na przejeździe, albo w szpitalu. Tam kolejka teraz na trzy ulice długa. Krew ludzie dają, żeby tamtych pięćdziesięciu czy ilu ich jest, nie umarło. A ja nie mogłam tam stanąć razem z nimi. Nie mogłam - zaniósła się histerycznym łkaniem - ode mnie nie wzięliby, zła, chora krew... Nie mogłam. Szłam tu i ryczałam jak głupia. I o tobie myślałam. Kogo ja przechowuję? Kogo bronię przed sprawiedliwą karą? Patrzeć na ciebie nie mogę! Wynoś się stąd zaraz! Masz tu te swoje pieniądze, co mi je twoja stara wczoraj dała za melinowanie ciebie! Nie chcę ich... Niepotrzebne mi! Na moich gachach uczciwiej zarabiam! Cisnęła zwitek czerwonych banknotów. Trzęsła chłopakiem z całej siły niby wątlym drzewkiem, szarpała za ramię, wypychała z komórki.

Mógłby ją przywołać do przytomności. France Koralczyk zdarzały się takie napady furii, często pod wpływem wódki. Oskarżała świat, ludzi, otoczenie, siebie, wzywała o pomstę - wiadomo, wariatka. Wystarczyło wtedy krzyknąć na nią, uderzyć raz, drugi, zaczynała płakać, potem zasypiała ciężkim, pełnym jakichś koszmarnych majaczeń snem. Budziła się już jako zwykła, cyniczna prostytutka, której nic w życiu nie potrafi zadziwić ani dotknąć. Tym razem jednak Borucki nie zareagował ani jednym słowem i ani jednym gestem. Jak kukła pozwolił jej wypchnąć się za drzwi, zatoczył się na schodach, potknął, o mało z nich nie spadł, zatrzymał się łapiąc mocno za chybotliwą, zmurszałą poręcz.

Przez miasto szedł niezbyt przytomnie. Nie czuł zimna, choć mroźne powietrze szczypało twarz, on zaś miał na sobie tylko ubranie i pulower. Płaszcz został w komórcie Franki. Oglądano się za nim - sporo osób go znało. Samotni przechodnie uskakiwali przezornie w bok, idący w towarzystwie pochyłali ku sobie głowy i szeptali coś na ucho. Wiedział, że może - tak

przejść przez całe miasto, jeśli nie spotka milicjanta, najzupełniej bezpiecznie: nikt nie ośmielił się donieść, iż poszukiwany za usiłowanie zabójstwa Zdzisław Borucki spokojnie przechadza się ulicami Nowoborów w jasny dzień. Nie o tym jednak myślał w tej chwili.

Z początku z mściwą radością rozpamiętywał, że Marek Lenda też został ranny w katastrofie. Może umrze? Bardziej by jemu tego życzył aniżeli Edkowi Feliksiakowi w momencie, kiedy wpychał mu w bok swój nóż.

Tamto było po pijanemu, uniósł się, bo Edek na złość przystawiał się do jego dziewczyny. Właściwie lubił Feliksiaka i trochę było mu żal, że tak to jakoś głupio wypadło. Co innego - Marek. Sprawa pomiędzy nim i Markiem to nie bójka o dziewczynę. To coś dużo większego, poważniejszego. Całymi miesiącami prześladowała go myśl, czym by tu i jak zatruć tamtemu życie, w jaki sposób go upokorzyć, poniżyć, ośmieszyć. Śledził Marka, podpatrywał niby najbardziej zazdrosny kochanek przyjaciółkę, którą podejrzewa o niewierność. Gdyby Marka zabrakło - uświadomił to sobie nagle - życie jego samego straciłoby na ostrości, barwie i smaku. Ostrość ta była drażniąca, barwa zbrudzona, posepna, smak gorzki - ale zawsze stanowiło to coś. Właściwie - uświadamiał to sobie czasami mętnie i wstydliwie - jego własne życie stało się czymś w rodzaju wiernego negatywu życia Marka Lendy.

Co w działaniu tamtego było jasne - w czynach Zdziśka było kontrastem, było ciemne. To trochę męczy, ale wciąż, upaja niby nałóg - takie życie obok, równoległe, na podobieństwo - w przeciwieństwie. Skąd to się brało? Ze strachem zadawał sobie czasami pytanie: czy on właściwie nie zazdrości Markowi, czy nie chciałby żyć tak jak on i czy nie dlatego, zazdroszcząc, ale nie umiając polubić uroków tamtego życia, nienawidzi je i zwalcza? Odpychał od siebie tę myśl z obrzydzeniem i powracał do niej znów, wbrew sobie samemu, z niechęcią i z uporem. Jeżeli Marek umrze, i pytanie to, i ich walka pozostanie bez rozstrzygnięcia.

A może spróbować odnieść jeszcze raz nad Markiem zwycięstwo, niechby i ostatnie. Zwycięstwo takie stanowić mógł tylko jeden krok. Trzeba pokazać, że on, Zdzisiek Borucki, zakąła miasta i rodziny, wcale nie jest taki, za jakiego Marek go uważa. I więcej jeszcze: że on, Zdzisiek Borucki, za nic ma wszystkich tych, którym się zdaje, że pilnują porządku i sprawiedliwości. On im się złapać nie da jak ryba w zastawione sieci. Nie wtedy, kiedy go szukają, będą go mieli - ale wtedy, kiedy on tego sobie będzie życzyć. W szpitalu potrzebna krew? Dobrze, będą ją mieli i od niego. Mogą brać - wiele chcą, młody, zdrowy, może oddać jej dużo. Pójdzie teraz do szpitala, stanie w kolejce. Niech na niego patrzą. Niech mówią: „Oho! On tu? Przecież jego szukają. Patrzcie, on się nic a nic nie boi milicji. Ale odwaga!” Może ktoś chyłkiem wymknie się i sprowadzi milicję. Niech sprowadzi. Milicjant będzie czekać, będzie dreptać obok niego grzecznie, dopóki nie pobiorą od niego krwi. A jeżeli nie - jeżeli nie znajdzie się milicjant - tym lepiej. Ze szpitala prosta droga do stacji. Tak, na takie „pokazanie fasonu” nie zdobędzie się nigdy” żaden z niemrawych szczeniaków Lendy.

Zdzisław Borucki coraz bardziej niecierpliwie przyspiesza kroku. Już prawie biegnie. Wygląda to może trochę na ucieczkę. Ktoś gwizdże za nim, ktoś chwyta go za rękaw. Wyrywa się i pędzi, ile sił w nogach. Gdyby teraz go złapali, byłoby nie to. Najpierw szpital, najpierw krew. Gdy tak biegnie i myśli tylko o tym, żeby zdążyć oddać swoją krew, nim zamkną się za nim drzwi więzienia, czuje się tak, jak gdyby niósł przed sobą w wyciągniętych rękach garść bezcennego płynu. Czuje przyspieszone tętno i myśli: „To moja krew tak tętni w żyłach. Za chwilę przestanie być moją. Stanie się czyjąś krwią. Chciałbym, żeby dostał ją Marek. On, co powiedział, że mnie się zdaje tylko, że jestem człowiekiem...”

W całym;ciele Zdzisiek Borucki odczuwa ciężar swojej krwi.

Z tą długością kolejki Franka oczywiście przesadziła. Zresztą może naprawdę rano ciągnęła się przez trzy ulice. W tej chwili wybiega zaledwie poza bramę szpitala. Przyłączają się do niej wprawdzie coraz to nowe osoby, wąż ludzi zatem nie skraca się,

tyle iż wciąż inni ludzie stanowią jego zakończenie. Stoją spokojni, poważni, małowówni, kobiety mają miny jak przed wielkanocną spowiedzią. Nikt właściwie na Zdziśka nie zwraca uwagi. Przyszedł jeszcze jeden - i dobrze. Tak się należy. Zdzisiek czuje się nieco zawiedziony. Nie tak to wyszło, jak by chciał. Ale cofnąć się już nie można. Jest jakiś majestat mimowolny w tym powolutku, niemal niedostrzegalnie poruszającym się ludzkim pochodzie i Zdzisiek pierwszy raz w życiu czuje się onieśmielony, prawie upokorzony. Tu dzieje się coś bardzo poważnego, czego on nie rozumie. Ci ludzie zachowują się tak, jak gdyby istniało pomiędzy nimi niewypowiedziane, utajone porozumienie. Tylko on, Zdzisiek, choć znajduje się wśród nich, jest odosobniony, jest tu obcy. To mija, gdy jakiś z chłopska ubrany człowiek z kobiałką w ręku, pełną jajek przykrytych starannie czystą płócienną szmatką, zwraca się do niego:

- A nie masz ty czasem, synku, papierosa? Widzisz, miałem sobie kupić dopiero po targu. Chciałoby się popalić...

Zdzisiek usłużnie wyjmuje pogniecioną paczkę sportów i częstuje gospodarza. Fajny dziad. Mówi do niego tak serdecznie, widać go nie zna. Obaj zaciągają się z przyjemnością ostrym dymem, który na mrozie jakoś inaczej smakuje. Cierpko, orzeźwiająco. Gospodarz odkaszluje raz i drugi i mówi:- Bo widzisz, synku, ja tu na targ. Może nie zdążę? Jak myślisz? No to najwyżej nie sprzedam. Tu ważniejsze, no nie? Jak mi powiedzieli, że taka bida, tyła ludzi się namarnowało i że w szpitalu krew biorą, bo pomrą inaczej te biedaki, to i zaszedłem tu najsampierw. Trza pomóc, no nie? Tylko se myślę, czy ja nie za stary? Ale tu i starszych widzę. Moja krew dobra. Dzieci siedmioro, wszystkie jedno w drugie, urodne, zdrowe. We wsi tak i mówią: „Oho, Walentego krew, wiadomo...” Tak im i powiem. We wsi się popytajcie, cała wieś zaświadczy. A jak to tę krew biorą? Nie szkodzi to czasem na zdrowiu?

W chłopaka wpatrują się jasne oczy, poczciwe, dobre, ale Zdzisiek umie je sobie wyobrazić także gniewne i surowe. Chce mu się śmiać ze starego, z jego naiwnych wątpliwości, a

zarazem dziwnie mu wstyd. Zaczyna coś tłumaczyć nieporadnie, jak umie, o co chodzi. Stary kiwa ze zrozumieniem głową.

- Mnie tam nie uczyli tych mądrości - wzdycha smutnie - wy, młodzi, co innego. Moje też się uczą w szkole - dodaje z dumą.

Reszta dzieje się jak w śnie. Nic z tych wszystkich rzeczy, które sobie Zdzisiek wyobrażał. Żadnej sensacji” nikt nie woła milicji na jego widok. Jak by go nie widzieli, jak by stanowił powietrze. Rozgląda się, poznaje różnych ludzi. Tam, dalej nieco, stoi taksówkarz, ojciec Kazika, jednego z najzagorzalszych, najwierniejszych pomocników Marka Lendy. O Marku właściwie Zdzisiek przestał myśleć, teraz sobie dopiero przypominał. I nie myśli już tak, jak na początku, tylko inaczej. Ale jak - nie umiałby określić. W każdym razie bez zawziętości. Ojciec Kazika rozmawia z Żarnowcem. Żarnowiec to może jedyny człowiek, którego Zdzisiek „uważa”. Może nawet trochę się go boi. Żarnowiec kiedyś próbował nawracać parszywą owcę. Zdzisiek słuchał niby to uważnie, niby się zgadzał, ale gdy wyszedł od Żarnowca, ryknął wielkim śmiechem. Nie do niego ta mowa. Teraz na widok Żarnowca usiłuje się skryć za plecami dobrodusznego gospodarza. Niech Żarnowiec nie myśli, że go przekabacił na swoje.

W szpitalu jest cicho. Tak cicho, że Zdziska opanowuje podświadomy lęk. Ktoś przypadkowo i nieumyślnie trzasnął drzwiami - zaraz rozlega się ostrzegawcze: „Psst...” Ktoś w białym fartuchu pyta go o dane personalne, inny go bada, pobieżnie, szybko, wkładają na niego biały fartuch, przesłaniają usta i nos maską z gazy, sadzają, każą rękę wsunąć w okrągły otwór w przepierzeniu. Nawet nie poczuł, jak igła zanurzyła się w jego żyłę. To już? To tylko tyle?

To tylko tyle. Ktoś mu mówi: „dziękuję”, ktoś inny zdejmuje z niego szpitalny kitel. Chłopak wychodzi jak automat. Krew nie pulsuje mu już w żyłach tak gwałtownie, jak wtedy, gdy biegł przez miasto. Czuje się uspokojony i zaskoczony. Nie chce mu się wyjść ze szpitala. Oto znalazł miejsce na świecie, jedyne miejsce, gdzie może w tej chwili utrzymać w sobie odzyskany spokój. Jak kiedyś w lesie, kiedy był dzieckiem, małym

chłopcem, wierzącym, że pod muchomorami mieszkają krasnoludki, i lubiącym leżeć na miękkim, chłodnym mchu, słuchając, jak leśną ciszę wiatr opatula głuchym poszumem starych sosen. Wtedy był spokojny - i teraz. Nic tu go nie jątrzy, nie podburza przeciwko tej ciszy.

Idzie korytarzem, jednym, drugim. Nikt go nie wypędza, nikt nie zaczepia, nie pyta nawet, co tu robi. On sam nie wie, co tu robi, czego szuka. Spotyka naraz Flore, siostrę Flore o ciepłych, piwnych oczach. Pamięta - ta Flora chodziła kiedyś z Markiem. Flora na jego widok rozgląda się trwożnie po bokach. Nie wiadomo: chce uciec przed nim czy też szuka pomocy. Ale Borucki stoi przed nią spokojny, trochę jakby smutny, speszony. Mówi szeptem, jękając się:

- Ty... słuchaj. Jeżeli Marek... No, jeżeli zobaczysz Marka i będziesz mogła z nim mówić, powiedz mu ode mnie... Nie, nic mu nie mów. Tylko że byłem. Że tu byłem. Dobrze?

Zawraca i odchodzi wolnym krokiem, pozostawiwszy na środku korytarza oniemiałą ze zdumienia Flore z naręczem białych bandaży. Zdzisiek mija różne drzwi. Zamknięte na głucho i otwarte. Za tymi otwartymi bieleją niby jasne gniazda szpitalne sale, salki, separatki. Stoją w nich ciasno, jedno niemal przy drugim, łóżka, nosze, wózki. Białe łóżka, białe twarze ludzi znanych z widzenia albo osobiście, albo nie znanych wcale. „Komu z nich przypadnie moja krew?” - myśli Zdzisiek i wpatruje się w ich blade twarze niby w oblicze kogoś bardzo sobie bliskiego. Dziwne: nikt i nigdy dotychczas nie był mu jeszcze tak bliski, jak ci przeważnie nieznani ludzie. W jednej z sal - tak mu się przynajmniej wydaje - dostrzega znajome rysy, lecz tak zmienione, że prawie niepoznawalne. Czy to nie Edek Feliksiak? Ale nie zatrzymuje się. Milicji się nie boi, nie ma jednak odwagi spojrzeć w oczy Feliksiaka. Może dziś rano, zanim tu przyszedł, myślałby o spotkaniu się z Edkiem bez trwogi, bez owego dławienia w gardle, bez paskudnego uczucia, że serce mu się urywa i spada gdzieś w dół. Więc nie teraz. Nie teraz. Mija szybko drzwi, odwracając od nich twarz, i wpada na kogoś.

Tym razem dobrze trafił. Trafił tak, jak chciał. Ma przed sobą prokuratora Filipa Branda, spoglądającego na niego zapewne nie bez zaskoczenia. Ale czy mu się wydaje, czy też naprawdę głos człowieka, który będzie go oskarżać niedługo w wypełnionej publicznością sali, brzmi bardzo spokojnie, niemal, można powiedzieć, przyjaźnie:

- No i co, obywatelu Borucki? Widziałem was już w kolejce. Jak to teraz z nami będzie? Doigraliście się. A uprzedzałem.

Borucki prostuje się:

- A doigrałem się. Moja sprawa. Trudno. Trzeba płacić.

Opuszczają obaj szpital, idąc obok siebie noga w nogę, jak gdyby spotkali się, chociaż przypadkowo, lecz z przyjemnością, i szli, gawędząc od niechcienia o niezwykłych wydarzeniach w cichych Nowoborach.

- Tak, tak... - mówi Brand. - Mnie też uszczknęli trochę krwi. To dla nich w tej chwili najważniejsze - zwierza się ciepło i poufale, jak by chodziło o kogoś z ich wspólnej rodziny: jego i Boruckiego.

Prokurator Brand jest człowiekiem mądrym i wykształconym. Zna się doskonale nie tylko na prawie, ale i na medycynie. Toteż przychodzą mu różne dziwne myśli do głowy, gdy mija na szpitalnym podwórzu długi szereg ludzi, marznących na mroźnym wietrze, aby swoją krwią zatrzymać, ocalić czyjeś gwałtownie, w popłochu zamierające życie. Prokurator Filip Brand miał wiele do czynienia z ludzką zbrodnią, z usiłowaniami, arcyczęsto skutecznymi, pozbawienia przez człowieka życia innego człowieka. Ot, choćby tu, obok niego, idzie taki chłopak, co to bez namysłu potrafi chwycić nóż i zadźgać nim na śmierć innego młodego chłopaka. A teraz przyszedł sam, z dobrej woli, aby oddać swoją krew dla rannych. Ryzykował, że go złapią, a przecież nie chciał dać się złapać. Wyszedł z ukrycia. Wie, że się Brandowi nie wymknie. Najpiękniejsze młode lata przesiedzi w więzieniu. Gdyby się nie pokazał, gdyby, dajmy na to, uciekł, pewnie długo by go szukali po Polsce. A może i wcale by go nie znaleźli, mało to takich? Co kierowało jego myślami i krokami, gdy szedł do szpitala? Filip Brand nie wie i myśli o tym ze smutkiem, z prawdziwym

smutkiem, bo gdyby wiedział, może nieraz umiałby zatrzymać rękę z nożem, zanim ona zada śmiertelny, nie do odrobienia, cios. Wiedza o tym, jakimi drogami chadza skrucha, jest prawdopodobnie dla zwalczania przestępczości istotniejsza aniżeli idealna znajomość mechanizmu zbrodni.

Prokurator Filip Brand patrzy w twarze mijanych ludzi. Jakaś młoda dziewczyna. Jakaś kobieta z siatką na zakupy. Urzędnik z Rady Narodowej. Kierowca taksówki. Żarnowiec. Paru chłopaków, zabawiających się pluciem w śnieg. Młoda, ładna, zapłakana kobieta. Kelnerka z restauracji. Płocha miss piękności Nowoborów, sekretarka wiceprzewodniczącego Migotka. Ten Migotek nie bardzo sobie radzi, szkoda, że przewodniczący na urlopie zdrowotnym. Różni ludzie. Tak różni, że trudno po prostu znaleźć jakiś wspólny mianownik dla nich i dla ich obecności tutaj. A może po prostu - ludzie? Tylko tyle? Tylko tyle. Właśnie.

„Krew jest płynem o zabarwieniu czerwonym. Krew to płynna tkanka, która składa się... Ciężar właściwy krwi wynosi ok. 1.055-1.060 g/cm³...” - przypominają się Brandowi nie wiadomo czemu formułki z medycznego podręcznika. Ciężar właściwy krwi. Naukowcy określili go, zmierzili, nadali mu nazwę, formułę. Czy jest to jednak miara właściwa naprawdę? Czy jest to dokładne określenie? Marek Lenda stracił podobno około półtora litra krwi. Znajoma Branda, której usunięto pękniętą śledzionę - pewnie więcej. Prawie połowa rannych z tej katastrofy straciła niemal tyle krwi, ile wynosi norma śmiertelnego upływu.

Filip Brand dochodzi do przekonania, iż ciężaru krwi, którą niosą w sobie, niby w zamkniętych naczyniach, ci ludzie stojący na mrozie na szpitalnym podwórku, nie da się zmierzyć żadną znaną w nauce techniczną miarą.

ROZDZIAŁ 7 ZAPAŚĆ

Słońce kryło się za wzgórze, otaczające Nowobory półkolem niby wzniesienia amfiteatru, którego arenę stanowiło miasto. Blask zachodu powlekał ośnieżone dachy miedzią, przechodzącą z wolna w ołowianą siność. Wydarzenia, które poruszyły ludzi, zamieszkałych pod tymi dachami, również stopniowo przygasaly w świadomości nowoborzan. „Zrobiliśmy swoje - zdawali się mówić, powracając do własnych codziennych trosk i prac. - O resztę niech się martwią władze miejskie, lekarze, no i rodziny ofiar katastrofy.” Przypominało to trochę sytuację wojenną: front przesunął się, z dróg i opłotków zniknęły działa i czołgi, kobiety zabierają się do gotowania obiadu, już tylko gdzieś zza horyzontu dobiega głucho bębnienie - teraz tam trwa bój. Jeszcze czasami ktoś sobie przypomni rozgorączkowane twarze żołnierzy, widziane nie tak dawno z bliska, obecnie zaś odsunięte wraz z łuną za dalekie kępy drzew, za ledwie widoczną ciemną linię lasu. Potem wzrok powraca do własnych czterech kątów.

W szpitalu dobiegała końca siedemnasta godzina od momentu, gdy pierwsza karetka pogotowia stanęła pod jego bramą. Z pracujących tu ludzi nikt jeszcze nie wrócił do domu, nikt nie udał się na spoczynek, nikt prawie - poza chorymi - nie miał czasu na zjedzenie normalnego posiłku. Przedpołudnie było ciężkie: operacje nadal trwały, a już musiano interweniować w wypadkach komplikacji u operowanych na początku. Lekarze z miasta rano udali się do swoich obowiązków: do ośrodków, ambulatorów, przychodni. Teraz dopiero wracali.

- A zapłacą wam przynajmniej co za to? - kłopotala się żona doktora Adamczyka z przychodni rejonowej, stawiając przed mężem menażki z przyniesionym z domu obiadem. Nie wierzyła w szpitalny wikt: jeszcze się pochoruje.

Popatrzył na nią z niechęcią. Nadmierna tusza postarzała ją przedwcześnie; stojąc z założonymi na piersiach rękoma przypominała mu żywo swoją matkę, bogatą badylarkę spod

Ożarowa. Ożenił się, żeby móc skończyć studia. Jej rodzice puchli z dumy, że wydali córkę za lekarza. Nie sądził nigdy, że życie z Felicją stanie się aż taką katorgą. Powiedział zimno:

- Tu nie ogórki gniją na grzędzie, tylko ludzie umierają.

Wzruszyła ramionami. Nie miała zwyczaju się obrażać. Kto ma rację, nie obraża się. A rację ma ten, kto posiada pieniądze, wiadomo.

- Głupiś - mruknęła pogardliwie, pakując opróżnione menażki do przepaścistej brezentowej torby.

Udał, że nie dosłyszał, co powiedziała.

- Nie wrócę dziś na noc, nie czekaj. I nie przynoś tu nic więcej. Nie trzeba.

- Jak tam chcesz.

Zabrała się i poszła. Doktor Adamczyk westchnął i udał się na poszukiwanie Donata.

Donat powitał go z ulgą. Przyzwoity chłop z tego Adamczyka. Można mu na parę godzin przekazać sprawy ogólne, dyżur przy telefonie, administrację. Adamczyk zajmował stanowisko dyrektora szpitala przed Donatem. Złośliwi twierdzili, że Donat go wygryzł, był ponoć lepiej widziany z uwagi na korzystniejsze pochodzenie społeczne. Niewiele tkwiło w tym prawdy. Po prostu trochę za głośno mówiono o faworyzowaniu przez Adamczyka prywatnych pacjentów na terenie szpitala. Zresztą Adamczyk bez żalu opuścił szpital. Wolał mieć wolną rękę w praktyce prywatnej, funkcja zaś dyrektora szpitala, w miarę rozrastania się miasta, coraz więcej wymagała czasu i wysiłku. Bez zazdrości obserwował zmagania Donata z brakiem ludzi, szczupłością pomieszczeń, niedostatkiem wyposażenia szpitala w aparaturę medyczną. Teraz wysłuchiwał cierpliwie i ze zrozumieniem pouczeń:

- Jeżeli będą dzwonić z województwa, powiedzcie, kolego, że przydałoby się dwóch-trzech konsultantów na dzień, powiedzmy, dwa. Neurolog, chirurgia miękka, ortopeda. To najważniejsze. No, lekarstwa, oczywiście... ale to już Łobzowski załatwia. Poza tym, gdyby pytali, to... jakoś sobie radzimy. Jak na razie. Jak na razie.

Odszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Patrząc na przygarbione plecy Donata i opuszczone w dół silne ramiona, Adamczyk pomyślał: „Ale go wzięło. Dużo go musi kosztować, że i tak się jeszcze trzyma”. W Nowoborach wszyscy wiedzieli i o Irenie, i o Łucji. Zajmowanie się losami bliźnich stanowi bowiem odwieczną rozrywkę zarówno kumoszek, jak i ludzi wzniosłego ducha, z tym, iż pierwsze miewają sąd o sprawach nader trzeźwy, drudzy zaś piszą powieści. Literatura - jak ktoś powiedział - to plotka. Kogo nie stać na barwne jej podanie, zostaje krytykiem, czymś w rodzaju maglarki, która wie lepiej: „To nie Kapuściński, moja pani, żyje z Fijołkową, to Fijołek sypia z Kapuścińską. Jeżeli tak nie jest, to tak będzie, bo tak powinno być. Ja to wam mówię”.

Donat czuł na sobie setki ciężkich, badawczych spojrzeń, gdy szedł korytarzami i mijał otwarte sale. Przyjmował ten ostrzał zazwyczaj obojętnie. Tylko słabi ludzie szukają aprobaty czy nagany otoczenia. On chełpił się zawsze siłą swego charakteru. Cnota to rzadka, toteż posiadacz jej budzi zawsze więcej podziwu niż sympatii. Donata na ogół nie lubiano, przypatrywano mu się z zaciekawieniem. Ludzie bywają bliscy innym ludziom częściej przez swe wady aniżeli zalety.

W pewnej chwili odczuł jednak ową pustkę wokół siebie w sposób dotkliwy i drażniący zarazem. Zateśknił nagle do swego niebogatego i trudnego dzieciństwa - tamten świat był światem pojęć prostych i jednoznacznych, spod twardej ręki ojca krótka prowadziła droga do ciepłych i wyrozumiałych objęć matki, stare drzewa wiśniowe w sadzie i błękitna struga za domem dawały radość spokojną, pełną i swojską. Ojciec Donata, nauczyciel wiejski, ożenił się z piękną miejscową dziewczyną. Po ojcu Julian odziedziczył zamiłowanie do nauki, po matce upór i trzeźwy rozsądek. Gdy coraz dalej wchodził w życie - wszystko dookoła się komplikowało. A może to on sam stawał się istotą coraz bardziej złożoną? Czasami się gubił, wtedy wykazywał najwięcej szorstkości wobec ludzi. Być surowym, być bezwzględny - to wydawało mu się jedyną deską ratunku.

Otworzył nieduże, białe lakierowane drzwi. Separatkę zalewało łagodne, różowe światło zachodu. Jego odbłask barwił

twarz Ireny. Gdyby nie nienaturalnie, na płask wyciągnięta postać, unieruchomiona krępującymi ruchy bandażami, mógłby sądzić, że śpi spokojnie, w ulubionej swojej pozycji, do góry plecami, z głową przechyloną na bok. Już po raz drugi przyłapał się na tym, że wydaje się mu, iż Irena śpi. Raz tam, na przejeździe, teraz znów tu, w separacie. Czyżby, wbrew oczywistym faktom, nie chciał zdać sobie sprawy, że życie tej kobiety kołysze się na niewidzialnej, wąziutkiej krawędzi istnienia i śmierci? Ciężar jej ciała przechyla się raz w jedną, raz w drugą stronę. Jeżeli ciało Ireny nie stoczyło się jeszcze w ciemną głębię, zwaną śmiercią, zawdzięcza to Łucji.

„Bo widzisz, Łucjo - przemawia w myślach do nieobecnej tu kobiety, wciąż jeszcze pochylającej się nad operacyjnym stołem w bezcieniowym świetle, które drobna jej postać czyni wyższą - widzisz, Łucjo, tobie się może wydaje, że to ja uratowałem Irenę, zmuszając cię do tej operacji. I że zmusiłem cię, ponieważ moja miłość do niej jeszcze nie całkiem wygasła.”

Donat siada na niskim, białym stołeczku, który ustąpiła mu dyżurująca przy Irenie pielęgniarka, wycofując się dyskretnie z pokoiku. Opiera łokcie na rozstawionych kolanach i spleta swoje duże, mocne dłonie, opuszczone ku dołowi ruchem podświadomie zapamiętanym z dzieciństwa. Tak jego matka zwykła czuwać przy chorym mężu lub dziecku. Jego matka rozmawiała wówczas ledwo dostrzegalnym ruchem warg ze swoim sprawiedliwym, ale dobrotliwym Bogiem, usiłując go przekonać, by przyszedł jej z pomocą w strapieniu. Donat przemawia do Łucji:

„Ja nie znam ładnych słów, Łucjo, nie umiem pleść różnych tam czułości, wiesz o tym. Ale przecież i bez tego powinnaś rozumieć, że ty jesteś dla mnie bliska, a ta kobieta daleka. Daleka i obca. I zawsze już tak będzie, chociaż kiedyś było inaczej. Było... było! - irytuje się Donat i aż zagryza z rozdrażnienia wargę. - Nie wierzę, że można kochać kogoś na zawsze, niezależnie od tego, jaki ten ktoś jest i co robi. Na pewno nie. Kiedy zmuszałem cię, żebyś operowała Irenę, robiłem to z miłości do ciebie, nie do niej. Dla ciebie to robiłem. Żebyś mogła mnie i ludziom, i samej sobie, i jej,

śmiało, prosto w oczy patrzeć. I żebym ja za to mógł ciebie jeszcze więcej kochać i szanować, niż kocham i szanuję. Bo tak ciebie kocham, że wciąż mi się zdaje, iż za mało kocham.. Przepraszam cię, Łucjo. Pewnie masz do mnie żal. Może to zbyt wielkie samolubstwo z mojej strony kochać ciebie aż tak bardzo i dlatego tyle od ciebie wymagać, i dlatego zmuszać do wytrzymałości ponad siły zwykłego człowieka? Ale zrozum, to mnie przyciąga właśnie do ciebie. Związek dwojga ludzi, którzy nie wspierają się wzajemnie w dążeniu do czegoś lepszego, jest tylko albo spółką finansową, albo zdawkowym, bez znaczenia stosunkiem fizycznym. Ja nie mógłbym tak... z tobą... Nie gniewaj się więc na mnie..."

Julian Donat sam sobie się dziwi, że odczuwa tak głęboką pokorę wobec tej kobiety, której uległość w stosunku do niego zarówno w zwykłych, codziennych sprawach, jak i w momentach miłosnej czułości, zdawałoby się, nie posiada granic. Gdyby nie był tak pochłonięty walką, jaką toczy z samym sobą, pozornie spierając się to z Łucją, to z Ireną, domyśliłby się może, że wśród wielu elementów, składających się na uczucie zwane miłością, dominuje oddanie. Wobec Ireny, która narzucała mu swoją wolę, traktowała go jako swoją własność i zdobycz, nigdy nie odczuwał pokory. Stawiał gwałtowny opór niby zbyt mocno ściśnięta sprężyna.

Tym bardziej zacięty sprzeciw wybucha w nim obecnie. To przecież okrutne i absurdalne: leżące przed nim ciało Ireny jest nieruchome i bezwładne, a mimo to, i przez to właśnie, przez swą nieruchomość i bezwład, kieruje jego losem i pęta jego wolę bardziej decydująco i apodyktycznie niż wówczas, kiedy poruszało się z pełną swobodą. Od wyroku, jaki stanowi to ciało, nie ma odwołania. Musi się mu podporządkować. Nie może odejść od Ireny. Szepcze pełen rosnącej, niejasnej trwogi:

- Ty o tym wiesz, Łucjo. Przecież ty o tym wiesz...

Oczywiście, Łucja o tym wie. Co więcej, Łucja z wyobrażeń Donata o niej akceptuje w pełni tę decyzję:

„Gdybyś postąpił inaczej, moja miłość do ciebie zubożyłaby się o zaufanie. Gdybyś opuścił swoją chorą żonę, kto mi zaręczy, że nie postąpiłbyś kiedyś w przyszłości tak samo ze

mną? Na wielkie, dobre czyny człowiek zdobywa się rzadko i z trudem, na małoduszne i złe częściej - bo łatwiej. Są lepkie i łatwe do powtarzania jak refren popularnej piosenki. Więc powtarzamy je od niepamiętnych czasów, w kółko niemal te same, nie wymyśliliśmy w tym zakresie w gruncie rzeczy nic nowego”.

Tak mówi Łucja, widziana oczami Donata. Ta zaś prawdziwa wyprostowuje w tej samej chwili drobną, szczupłą postać po kolejnej, skończonej operacji. Jest to jej czternasta operacja. Czuje się tak, jak gdyby to jej ciało, a nie chłopca leżącego na stole, obejmował ciasno gipsowy pancierz. Taki gipsowy pancierz założy się Irenie, kiedy rana się zagoi.

„Nie - mówi do siebie Łucja z sali operacyjnej - nie. Nie dopuszczę do tego, żeby Julian pozostał przy Irenie. Nie wytrzymam tego. Zapłacę każdą cenę za Juliana. Każdą.”

Na głos wydaje polecenie:

- Proszę tu sprzątnąć. Za dziesięć minut następny na stół. Już ostatnia operacja? To dobrze.

Świadomość, że będą musieli rozstać się - on i Łucja - aby zachować w nienaruszonym, pięknym kształcie ich obopólne uczucie, budzi w Julianie gniew tym bardziej gorzki, że bezsilny. Budzi protest tym gorętszy, że może go ujawnić jedynie w swoich myślach. Zaciska pięści, aż bieleją mu palce, i nie otwierając ust, nie poruszając wargami, krzyczy do Ireny:

„A ty... czy ty zrozumiesz przynajmniej, czy ocenisz kiedykolwiek, co Łucja dla ciebie zrobiła? Nie! Nie tylko dlatego, że nikt ci tego nigdy nie powie, ale ponieważ nie potrafisz się tego nawet domyślić. Bo ty jesteś jak skąpiec, co umie tylko przesypywać swoje skarby z jednej ręki do drugiej. A skąpi są ślepi i głusi. Jeden ogrodnik powiedział mi kiedyś: jeżeli roślinie podciąć korzenie, ginąc, wysila się przede wszystkim na kwiat. Tylko ten, kto wiele przecierpiał, potrafi naprawdę kochać, wie i rozumie, i ocenia, czym bywa miłość. Ty żyłaś lekko, łatwo, miłość to dla ciebie rozrywka, zabawa. Swoją miłością nie nakarmisz nikogo. A Łucja... Och, Łucja... Wiesz, co ona przeżyła? Ona przeszła przez piekło. Prawdziwe piekło”.

Ale Irena milczy. Milczy, jak gdyby słuchała w skupieniu tego, co myśli na pół pochylony w jej stronę Donat, i zastanawiała się nad jego argumentami. Albo jak gdyby to jej zupełnie nie obchodziło. Palce dłoni, przywiązanych bandażami do łóżka, poruszają się lekko, oddycha szybko i płytko, jak by biegła i zdyszana pragnęła za wszelką cenę dobiec do celu.

Łucja znów pije kawę. Siedzi na szerokim parapecie okiennym, chłód wiejący od szyby przyjemnie orzeźwia gorące czoło. Obok doktor Janusz Zawilski myje ręce, za chwilę on będzie operować. Samodzielnie, tylko pod nadzorem Łucji. Bardzo trudny wypadek, skomplikowane złamanie stawu biodrowego. Spogląda na Łucję i mówi:

- Zabrakło morfiny. Posłałem do apteki, tak polecił doktor Łobzowski. Oddamy im z przydziału. Przydział specjalny mają jutro przysłać z województwa.

Łucja wzdryga się. Zabrakło morfiny. Nie może słuchać tych dwu słów bez bolesnego dławienia w piersiach. Zabrakło morfiny. Ileż to razy słyszała te dwa słowa, wypowiedane raz kamiennym, obojętnym tonem, innym razem z rozdrażnieniem i wściekłością, kiedy indziej znów z przymilną prośbą w głosie, z prośbą nagłą, z pełnym groźby żądaniem, na różne sposoby, jakie tylko potrafi stosować głodny, spragniony narkotyku człowiek. Paweł krzyczał, tarzając się po podłodze:

- Ty jesteś żona?! Ty jesteś żona?! Ty jesteś nie żona, lecz kat. Daj receptę. Daj mi natychmiast receptę. No, Łucja, daj mi, słyszysz? Nie dasz? Ach, ty nie dasz...? Nie masz? Jak nie masz, to ja cię zabiję. Po co mi jesteś potrzebna, jeżeli nie mam od ciebie morfiny. Przecież ty mnie nie chcesz. Nie chcesz mnie kochać, to przynajmniej daj mi receptę, co ci to szkodzi... No daj. Zamiast siebie. Nie? No to zabiję się. Ale najpierw zabiję Monikę i ciebie. Po co macie beze mnie żyć. Dla kogoś? Nie pozwolę.

I tak w kółko. W kółko. Dniami i nocami. Dawała mu receptę. I nie dawała recepty. Leczyła go. I leczyli go inni. Zamykali na całe miesiące w szpitalu. I potem było znów:

- Łucja. No, Łucja. Chodź tu do mnie. Do swojego męża. Uściśnij mnie. Co, nie chcesz? Już ci się nie podobam? No, to

daj morfiny. Nie masz, to daj receptę. Zabrakło morfiny. Ha, ha, ha, na całym świecie zabrakło morfiny, odrobinki morfiny, pociechy dla mnie. Wył i bił pięściami, w co popadło.

Donat opowiada Irenie, wystawiając jej rachunek krzywd Łucji, rozpamiętywując wobec Ireny sprawę Łucji. To takie pożegnanie Łucji, którego w rzeczywistości nigdy nie będzie:

Wiesz, Paweł, jej mąż, narkoman, przyjeżdżał tu do niej. Uciekła od niego, ale odnalazł ją w Nowoborach. Prześladował ją, bił. Chodził za nią wszędzie. Potrafił, kiedy badała pacjenta, wdrzeć się do gabinetu i grozić jej. Zakazałem mu wstępu do szpitala. Łucja nie mogła ruszyć się krokiem za bramę. Oddawała mu wszystkie pieniądze. On zrujnował siebie i ją, cały dom, wszystko wyniósł, posprzedawał. Wiesz przecież, są handlarze narkotykami, zdarzają się i tacy, co recepty dają. Za pieniądze albo z litości. Zabrało go w końcu pogotowie do szpitala. Teraz podobno znów wyszedł ze szpitala czy uciekł; pisała Monika, córka Łucji, że był u niej w Warszawie”.

Łucję, wciąż jeszcze skuloną na parapecie okiennym, ogarnia przerażenie nie do opisania. Jeżeli stąd wyjedzie, jeżeli zabraknie przy niej Donata, którego Paweł się bał i który ją bronił przed atakami szaleńca, Paweł znów się do niej przyczepi. Znów nastąpi owo „zabrakło morfiny”. Nie - wszystko, tylko nie to. Ale co robić? Co robić?

„Gdybyś ty wtedy widziała, Ireno - Donat szepcze prawie czule - jak Łucja wtedy wyglądała! Obraz nędzy i rozpacz. I jak odżyła, ach, jak pięknie odżyła, kiedy... To była wiosna, której nie zapomnę w życiu. Ty wtedy byłaś w Biskupinie, nawet mało pisałaś. Taka martwa była tamta wiosna, zdawało się, że słońce nigdy nie zaświeci. Nie umiem ci opisać, porównam z tym, co znam: z zapaścią. Tętno ledwo wyczuwalne, my to nazywamy „nitkowate”, „bezdech”, ciśnienia nie da się określić. To jeżeli zapaść ma człowiek. A tej wiosny zieleń nie chciała się rozwinąć, ciepło jak by zastygło, po niebie nie szły chmury, ale i nieba też nie było, tego niebieskiego. Nieruchoma, białoszara wata. I kiedyś, jednego takiego dnia, zobaczyłem, że Łucja ma oczy, jakich nigdy jeszcze nie spotkałem. Ciemnoszare jak chmura niosąca śnieg, a jednocześnie przezroczyście aż do dna.

Takie ciepło i żywe, niby dwa gołębie. A ja myślałem tej wiosny, że szarość to martwota. Nie mogłem już nie patrzeć w oczy Łucji. Musiałem to robić coraz częściej. Szukałem okazji. Potem już tylko chciałem mieć je stale przed sobą. I teraz...”

Łucja przeciera oczy. Bolał od ustawicznego natężania wzroku i od jaskrawego światła. Jak gdyby ktoś piasku nasypał pod powieki. Łucja czuje, że chce spać. Wie jednak, że nie będzie to możliwe ani tej nocy, ani następnego dnia, a może także następnej nocy. Nikt nie pójdzie spać w szpitalu z wyjątkiem chorych. A kiedy tylko skończą się operacje, Łucja musi iść do Moniki.

Monice minął już szok. Trochę osłabiona i ogłuszona unosi się na łóżku i rozgląda dookoła. Naprzeciwko niej na wózku leży młody mężczyzna. Rozpoznaje w ciemnej twarzy rysy chłopca, którego śpiew i zachowanie się w autobusie tak ją zgniewały. Ale jeszcze jakieś wspomnienie kojarzy się z tą twarzą. Monika nie może sobie przypomnieć. Znow zapada w sen.

Donat uświadamia sobie, że oczy Łucji już nigdy nie będą się do niego zbliżały z wyrazem czułości i oddania, gdyż nigdy już Julian nie obejmie jej, nie przyciągnie do siebie swoim zwykłym, nieco gwałtownym ruchem, który Łucja żartobliwie nazywała „uściskiem niedźwiedzia”. Donat zbliża więc swoją twarz ku Irenie i dopowiada w myślach to, co od początku chciał wyrazić:

„Jeszcze nikogo w życiu nie nienawidziłem tak, jak ciebie teraz”.

I nagle, gdy tak się schyla, dostrzega, że z Ireną dzieje się coś niedobrego. Jej smągła twarz, po operacji bladeścią swoją przypominająca kolor słoniowej kości, przybiera miejscami barwę popiołu. Siny cień wyostrza rysy, wydłuża nos, pogłębia oczodoły. Julian ujmuje zwisającą bezwładnie rękę Ireny. Usiłuje liczyć tętno, nie nadaża. Sto, sto jeden, sto dwa... Gubi się rachunek, a strzałka sekundnika nie dobiegła jeszcze do kreski zamykającej kółko, z którego umknęła bezpowrotnie minuta. Teraz tętna nie wyczuwa się prawie wcale, nasuwa na myśl rzekę podziemną, której rytm wyczuwalny, gdy przyłoży

się ucho lub rękę do skały, nagle zatraca się i głuźnie, ginąc w wewnętrznych przepaściach góry, rwąc po uskokach nie znanych nam pieczar i korytarzy. Donat wyteża całą swą uwagę i słuch, cały zamienia się w dotyk, swój słynny dotyk, o którym chorzy mówią, że go nie czują, gdy ugniata wielką i ciężką ręką najbardziej bolące miejsca. Sto trzydzieści, sto trzydzieści jeden, sto trzydzieści dwa. Sto pięćdziesiąt, sto pięćdziesiąt jeden. Gdy mała złota wskazówka przeskakuje kreseczkę ostatniej sekundy w minucie, serce Ireny uderza po raz sto sześćdziesiąty.

Donat chwyta za kółko, przywiązane do długiego sznura nad łóżkiem Ireny, i pociąga za nie. Na korytarzu nad drzwiami zapala się czerwona lampka.

- Zapaść - mówi Donat do siostry, która widocznie na korytarzu czekała, aż Donat wyjdzie z separatki, by znów podjąć dyżur, gdyż zjawia się natychmiast.

- Czy mam poprosić doktor Bitmarową?

- Tak. Jeżeli nie operuje. Natychmiast glukoza ze strofantyną. I kroplówka. Noradrenalina.

Siostra wybiega, Donat ociera z czoła pot, spływający dużymi, ciężkimi kroplami. A przecież myślał, myślał o zapaści. Naturalnie to nonsens, przesąd, takich rzeczy nie można nikomu zasugerować. Myślą nikogo zabić nie można.

Donat czuje na sobie czyjś wzrok. Odwraca się. Zapomniał przecież, że Irena nie znajduje się tu sama. Kładziono w nocy rannych jak popadło, gdzie tylko znalazło się odrobinę miejsca. Mężczyzn razem z kobietami. Łżej rannych i łżej chorych z najciężej rannymi, żeby ci przytomni uważali na nieprzytomnych, alarmowali w razie potrzeby i przyzywali na pomoc pielęgniarkę lub lekarza. Za parawanem pod drugą ścianą leży człowiek, którego Donat nie znosi. Maurycy Jantar, inżynier, nieudolnie kierujący remontem szpitala, ocknął się już z szoku i teraz patrzy na Donata przytomnie swoimi burymi, sprytnymi oczkami. Donat dostrzega w nich zupełnie niespodziewanie błysk zaniepokojenia i zmieszania. Jantar mamrocze:

- To... to pana żona, panie dyrektorze? Przepraszam, że tak pytam... Ale jechaliśmy. Obok...

Donat mu nie odpowiada, tylko potakuje głową. Każde słowo, które padłoby z jego ust, stanowiłoby dla Jantara obelgę. Ileż nieprzewidzianych trudności i komplikacji tego dnia i poprzedzającej nocy sprawiła szpitalowi opieszałość czy zła wola tej kreatury!

Jantar mruczy jeszcze coś tonem przypochebnym i współczującym, ale Donat nie słucha. Jest już Łucja, jest siostra Marta, która sama domyśliła się, że potrzebny będzie także aparat do mierzenia ciśnienia. Aparat jednak okazuje się bezużyteczną płataniną rurek, metalowych części, szkiełek i czegoś tam jeszcze. Nie potrafi zmierzyć ciśnienia Ireny. Jej ciśnienie w tej chwili nie da się określić.

Łucja stoi blada, wstrząsają nią dreszcze, głos jej drży:

- Ostatnią transfuzję miała robioną godzinę temu. Sama przypilnowałam, żeby nie pomieszali grupy krwi. Zdaje się... zdaje się, że niczego nie przeoczyłam. Przebieg operacji był zupełnie normalny. Zupełnie normalny.

Ależ nie wątpię, Łucjo. Nikt w to nie wątpi - odpowiada jej spokojnie Donat, wkluwając w zwisające martwo ramię Ireny igłę strzykawki.

Łucja opanowuje się. Co też ją napadło, żeby się tak głupio tłumaczyć, kiedy rzeczywiście nie ma z czego. Pomaga siostrze Marcie ustawić aparat, który kropla po kropli sączyć będzie do żył Ireny zbawczą noradrenalinę. Rozpłaszczona Irena z wyciągniętą ręką, związana z aparaturą wąskimi rurkami, przypomina Łucji nieżywą meduzę lub pająka.

Mijają sekundy i minuty w głuchym, dławiącym milczeniu. Nikt z obecnych go nie narusza. Łucja myśli:

„Niewiele brakowało. Ach, jak niewiele brakowało. Ale zaraz by powiedzieli: to Bitmarową musiała coś sknocić podczas operacji. Wiadomo, Donatowej w sercu nie nosi. Jak Julian się koło niej krząta z zapalem. Podziwiać. Tylko podziwiać. Przykładowy lekarz. Przykładowy mąż”.

W Donacie przez chwilę jeszcze kłębi się strach, że to on swoimi myślami o mało nie zabił Ireny, ale powoli wzburzenie

przycicha w nim, zamiera jak porywy wichru, gdy przeszła burza. Jeszcze moment i Donat w ogóle zapomina, nie uświadamia już sobie więcej, że to Irena, jego żona, kobieta, która tak czy inaczej liczy się w jego życiu. Opanowuje go znany mu żar emocji w walce, stanowiącej jego najżywsze przywiązanie, jego pasję i namiętność - w walce o ludzkie życie. To życie jest przecież czymś uchwytnym, wymiernym. Chociażby w kroplach krwi i szybkości ich biegu kanałami żył. Przytrzymując ramię Ireny Donat nie wspomina już, jak ramię to obejmowało jego ciało i nie wzdyga się na myśl, że ostatnio stało się jak by szlabanem, po którego jednej stronie pozostał on, po drugiej Łucja. Donatowi wydaje się, że trzymając kurczowo ramię Ireny, zatrzymuje jej życie, pędzące na oślep ku zgubie. Przywołuje na pomoc całą swoją wiedzę, intuicję i doświadczenie, aby wsparły go w zmaganiach ze śmiercią człowieka, który nie jest Ireną ani jego żoną, który jest po prostu i tylko człowiekiem zagrożonym utratą życia.

Nie zdaje sobie sprawy, że twarz jego wykrzywia grymas, podobny do grymasu człowieka, dźwigającego ogromny ciężar, albo zawodnika, napinającego całą moc swych mięśni i nerwów przed metą, albo lotnika, wzbijającego się na wielką wysokość. Łucja patrzy w tę twarz, przypominającą tragiczne maski greckiego teatru. Wzbiera w niej podziw i lęk. Miłość, granicząca z aktem rozkoszy, i równa jej głębią nienawiść. Co to tak ją boli? To ręce, wsunięte w kieszenie lekarskiego fartucha, ściśnięte tak mocno w pięści, że paznokcie niemal przecięły skórę.

Łucja rozgina palce i oto niespodziewanie natrafia w głębi kieszeni na coś niedużego, miękkiego. Łucja usiłuje przypomnieć sobie, co to też takiego może być, i już ma zamiar wyciągnąć ów zagadkowy malutki kłębuszek z kieszeni, by przekonać się, co ze sobą nosi, kiedy powraca w pamięci obraz z poprzedniego wieczoru, sprzed katastrofy. Łucja z całej siły tłumi w sobie okrzyk: na litość boską, to przecież opłatek z cyjankiem. Przy jego pomocy Łucja miała nadzieję odzyskać spokój, którego poskapilo jej życie, wywinąć się z konfliktu, którego nie miała odwagi rozwiązać. Gdy usłyszała jęk karettek

Pogotowia, zapomniała o tym opłatku. Zdaje się, że odruchowo włożyła go do kieszeni. No tak, fartucha, tego zwykłego, codziennego, nie zmieniała od wczoraj. Więc proszek towarzyszy jej, z wyjątkiem chwil i godzin spędzanych na sali operacyjnej, przez cały czas. Jak gdyby mówił: „Nie troszcz się o nic. Przecież masz jeszcze wyjście. Masz jeszcze mnie...” Taki mały proszek tak łatwo rozwiązuje najbardziej zawile kwestie życiowe. Można go użyć w rozmaity sposób. Można...

Łucja rzuca dookoła spłoszone spojrzenie. Czy nikt na nią nie patrzy? Czy nikt nie widzi, że ręka jej nerwowo błądzi po obszernej kieszeni? Czy nikt nie zapyta znieacka: „A co ty tam masz, Łucjo?”. Donat zajęty jest wyłącznie i bez reszty Ireną. Twarz jego, ściągnięta, rozpręża się w tej chwili. Na Łucję patrzą tylko uważnie i z zainteresowaniem oczy drugiego pacjenta zza parawanu. Łucji wydaje się, że twarz Maurycego Jantara ma wyraz drwiący. Odwraca od niego głowę.

- No - mówi Donat i cały rozpromienia się uśmiechem - zdaje się, że wygraliśmy. Tętno: dziewięćdziesiąt. Ciśnienie utrzymuje się na stu dziesięciu. Będzie dobrze. - Ton jego głosu posiada odcień triumfu.

- Pani doktor! Pani doktor! Ten chłopiec pod piętnastką dostał krwotoku!

Więc Łucja biegnie, nie pamiętając już o swym postanowieniu. Zapomniała o Irenie, Donacie, o sobie i o cyjanku.

Pochyliła się nad chłopcem, którego operowała w nocy i który właśnie dostał krwotoku, i nie zdaje sobie sprawy, że twarz jej w tym momencie jest w pełni podobna swym wyrazem do twarzy Donata nasłuchującego trwożnie uderzeń, serca Ireny.

- Co będzie dobrze? - szepcze do siebie ledwo dosłyszalnie Łucja.

- Czy mówiłaś coś do mnie? - pyta dobrodusznie Julian i wstając ze stołka, bierze Łucję pod ramię. Ale ramię Łucji jest twarde i nie poddaje się jego dotknięciu. Gdy Donat trzymał za rękę Irenę, Łucja czuła ten dotyk na sobie. Łucja wycofuje się bokiem ku drzwiom. Rozjaśniona twarz Donata gaśnie i posepnieje. Opamiętał się. Łucja nie będzie już tak jak dawniej

dzielić z nim radości momentu, kiedy odchodzi się od łóżka pacjenta ze świadomością, iż wiedza ludzka jeszcze raz zwyciężyła w walce z naruszeniem równowagi natury.

- Nic ważnego-odpowiada chłodno i swobodnie Łucja - a właściwie owszem, to nawet dość ważne. Tę całą aparaturę trzeba tu zatrzymać i siostra Marta powinna mieć pod ręką zapas glukozy ze strofantyną. Obawiam się, że zapaść może się powtórzyć.

Donat spogląda na Łucję badawczo. Poważnie i, trochę smutno. Zapewne Łucja ma rację. No i trzeba będzie także zajrzeć tu za jakiś czas.

Wychodzą, pozostawiając drzwi lekko uchylone. Kiedy Łucja odwraca się jeszcze raz, widzi, jak sanitariusze wysuwają na korytarz łóżko Jantara i ustawiają pod ścianą, tuż przy drzwiach. Ruch jest mniejszy, może sobie tu poleżeć. Nie jest z nim źle.

Donat skręca w stronę swojego gabinetu, Łucja zmierza w kierunku sali operacyjnej. Rozchodzą się bezcłowa. Łucja zatrzymuje się i zastanawia: powinna teraz wpaść na sekundę do siebie, odłożyć cyjanek z powrotem do apteczki. To bardzo niebezpieczne - tak nosić go stale przy sobie. Ale ktoś ją woła, przyzywa głosem pełnym napięcia i przestachu:

ROZDZIAŁ 8 KAMIENIE, GWIAZDY I LUDZIE

Nowobory - jak wiele prowincjonalnych miast - nie kwapią się do imponowania komukolwiek, uroki swoje prezentują bez narzucania się i reklamy. Gardzą błyskotkami, do których podobne są ciągi świateł na fotografiach wielkich miast w nocy. Nowoborzanie powiadają: „Świedelka dobre dla dużych miast, co muszą, jak niektórzy ludzie, «bywać w świetle». Postroją się, błyszczą, panie szanowny, niczym, za przeproszeniem, koń cyrkowy, wszyscy im klaszczą, a oni szczęśliwi. To nie dla nas, skromnych ludzi. Ot, nam by łaźnia, jeszcze ze dwa kina, stadion”. W wyobraźni zaś, potajemnie, z

rozkoszą mrużą oczy zapatrzone w pulsowanie neonów. Nowobory i pokrewne im osiedla ludzkie przypominają nieco powściągliwe w ubiorze i w wyrażaniu swych uczuć stare panny, którym życie nie dało szans zrobienia kariery. Czasami trudno z tym wytrzymać - wtedy okazuje się maksimum wzdargy dla owych nieosiągalnych pokus i czarujących błahostek barwnego tokowiska. A jeżeli już zupełnie nie można z tym wytrzymać? W Nowoborach opowiadano sobie na ucho - nie tyle ze zgorzeniem, ile z ogromnym zaciekawieniem - iż pewna niezwykle bogobojna i zacna niewiasta, ogólnie szanowana za przykładowy żywot, będąc chora i w malignie, tak złżyła otoczenie i używała takich słów, o których nie sądzono, iż mogły nawet kiedykolwiek dotrzeć do jej uszu.

- Bo widzisz, moja droga - powiedział wtedy do Łucji doktor Kora, odchodząc od łóżka zacnej, klnącej staruszki - ja kiedyś za młodu byłem taternikiem. Idziesz po górach, pod nogami masz kamienie, nad głową gwiazdy. Nic więcej: kamienie, gwiazdy i ty. Esencja życia...

- Na wzór pierwotnego człowieka - przerwała mu drwiąco Łucja. - Ale co to ma do rzeczy?

- A to, moja miła, że każdy z nas ma swoje kamienie pod nogami i swoje gwiazdy nad głową. Obie rzeczy ważne, o jednych i o drugich trzeba pamiętać. Będziesz patrzeć tylko w gwiazdy, potkniesz się i... będziesz kłąć jak ta oto szlachetna osoba.

Łucja roześmiała się:

- Rozumiem. A jeżeli zanadto na kamienie uważać? Kora popatrzył na nią smutnie:

- Zajdziesz nie tam, gdzie chciałaś, i nie tam, gdzie trzeba.

- Nie kamienie, tylko gwiazdy oznaczają strony świata, a więc i pokazują kierunek.

- A co robić, jeżeli chmury przesłoniły gwiazdy?

- Kpisz - zasapał ze złością stary lekarz - z tobą serio rozmawiać nie można.

Łucja wtedy bynajmniej nie żartowała. Przypomniała się jej ta rozmowa teraz, gdy wyszła na chwilę na obszerny taras szpitala, by zaczerpnąć trochę świeżego, mroźnego powietrza.

Trzeba ochłonać przed nocą. Stan alarmowy trwa. Jest godzina dziesiąta. Dwadzieścia cztery godziny temu bardziej niż w tej chwili wiedziała, co ma robić, jak postąpić. Rozmowa zaś z Korą odnalazła się w pamięci, bo nad głową Łucji świecą ostrym blaskiem zimowe gwiazdy, a noga pod cienką jak pleśń warstewką śniegu wyczuwa twardość i szorstkość kamieni, którymi wyłożony jest taras. Aha - i dlatego jeszcze, że Monika, przeniesiona już do pokoju Łucji i śpiąca teraz głębokim, spokojnym snem, powiedziała półprzymtomnie:

- Mamo...

W słowie tym brzmiała czułość, jakiej Monika nigdy jeszcze Łucji nie okazała. Pomiędzy matką i córką od lat trwa nieprzejednana wrogość. Monika jest trudna. Monika jest skryta i nie zrównoważona, chce łatwo żyć nic nie robiąc, ma pretensję do Łucji o Pawła, o Donata i o to, że Łucja daje jej za mało pieniędzy.

„Monika jest moim kamieniem - myśli Łucja - kamieniem w moim życiu.” Gdyby nie Monika, Łucja już wkrótce po ślubie odeszłaby od Pawła, nie ciągnęłoby się to latami.

Przecież studiowała medycynę, wiedziała, na czym polega współżycie fizyczne mężczyzny i kobiety. A jednak nie sądziła nigdy, nikt jej tego nigdy nie powiedział, że można czuć taki chłód i takie bolesne upokorzenie; kiedy kobieta oddaje się mężczyźnie, za którego wyszła za mąż z wielu powodów - ale nie z miłości. Odbywała praktykę w szpitalu, kończąc tajne studia medyczne. Trwała wojna. Paweł leczył się w tymże szpitalu z ran odniesionych w czasie kampanii wrześniowej. Stosowano mu wtedy morfinę, nie sądziła, iż stanie się to jego nałogiem. Wzruszał ją swymi miłosnymi wyznaniem. Po raz pierwszy w życiu ktoś pokochał ją tak wytrwale i gorąco. Rodzice nalegali. Koleżanki zachęcały. Wszystkich ujął swoją miłością do niej - wszystkich, prócz niej. Ale zgodziła się wreszcie.

No i potem zjawiała się Monika. Po jej urodzeniu Łucja całkowicie odsunęła od siebie Pawła. Serce podchodziło jej do gardła, gdy się zbliżał. Wówczas zaczęło się piekło.

„Moje kamienie. Moje kamienie...” - powtarza sobie z zawziętością Łucja. Ale i gwiazdy, wbrew twierdzeniom starego, poczciwego Kory, naiwnego filozofa, niczego nie ułatwiają. Zdarzają się gwiazdy okrutne. Gwiazdy prawdziwe, nie te z przepowiedni Kory, ale owe rozżarzone masy materii, poruszające się po dalekich orbitach, ronią czasami w przestrzeń kosmiczną odpryski. Spadają one na ziemię jak wielkie kamienie. Niektóre z nich tam, gdzie spadną, topią, palą ziemię i niszczą życie. Miłość Donata wydawała się Łucji kiedyś gwiazdą. Leży teraz pod jej nogami niby ogromny, ciężki gład - ani go usunąć, ani obejść.

Łucja żegna gwiazdy. Wycofuje się do wnętrza gmachu. Powraca do szpitalnych spraw i ludzi. Po gładkim linoleum stąpa się miękko, cicho, prawie bezszelestnie. Nad głową migocą zwykłe żarówki, umieszczone w szklanych, mlecznych kulach.

Nowoborzanie dziś wcześniej pokładli się do łóżek - chcą odespać poprzednią, pełną zamętu i zdenerwowania noc. Pogasły zatem światła w oknach, ulice oświetlają raczej gwiazdy i księżyc - odświętny tej nocy, pełny - aniżeli skąpe w jasność latarnie, wyrastające tu i ówdzie niby nadmiernie wybujałe, chude i samotne słoneczniki. Takie niezbyt duże, skąpo oświetlone w nocy miasto traci swój odrębny charakter, zacierają się jego cechy osobliwe, staje się podobne bliźniaczo do dziesiątków innych, niewielkich, bezpretensjonalnych miast. Ramką, do której można włożyć fotografię Nowoborów albo Radomia, Dzierżoniowa lub Wałbrzycha, a może Krotoszyna czy też jakiegokolwiek bądź innego, liczącego kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, miejskiego skupiska.

W zimową noc, kiedy znikła zieleń skwerów, miasto takie, pustynne i bezludne” jakby kamienieje. Mury, nie przesłaniane przez snujące się ludzkie postacie, nie obarczone ich cieniami jak w słoneczny dzień, występują na plan pierwszy, w pustce odzyskują samodzielność. Domy piętrzą się, ich zbite, oniemiałe szeregi zachodzą na siebie, przeskakują się nawzajem i mijają - zapóźniony samotny przechodzień odnosi wrażenie, że znalazł się wśród skalnych rumowisk, kamiennych

płaszczyzn i załomów wysokiego górskiego zbocza, nie porośłego już nawet trawą. Ludzie znaleźli się nagle gdzieś bardzo daleko, gwiazdy blisko, tuż nad głową, przytwierdzone do szczytów trzech wież: ratusza, kościoła i wieży ciśnień. Może nawet w takim mieście, idąc przez nie mroźną, zimową nocą, jest się bardziej samotnym aniżeli w wysokich górach. Bo w górach bywa się samotnym z wyboru, tu - z musu. Ścieżki między jednym człowiekiem i drugim tak się potrafią poplątać, że górskie bezdroża i manowce wydają się przy nich przestronnym i pewnym gościńcem.

Wacław Żarnowiec często tak chodzi przez głuche, nocne, kamienne miasto, gdyż ma zwyczaj przesiadywania do późnej nocy w komitecie.

- Zobaczysz - mawia do niego zawsze jego siostra, prowadząca mu gospodarstwo - że cię kto napadnie w nocy i pobije. Albo jeszcze gorzej. Mało masz wrogów?

Siostra Żarnowca to kobieta stara i smutna. Jej mąż nie wrócił po wojnie do kraju, wyemigrował za dalekie morza, raz przysłał list, w którym opiekę nad rodziną zlecał Panu Bogu - i paczkę, zawierającą parę pończoch dla żony oraz skarpetki dla syna: za małe, gdyż zapomniał, że synowi przybyło kilka lat. Syn teraz w wojsku, rzadko przyjeżdża. Siostra Żarnowca wszystko nieodmiennie widzi w czarnych kolorach, ze wszystkiego robi tragedię i prorokuje same nieszczęścia. Gdy przepowiednia jej się sprawdza, czuje się jak ryba w wodzie, jeżeli nie: „To jeszcze niczego nie dowodzi” - pociesza się z poczuciem godności i głębokim przekonaniem. Żarnowiec wzrusza ramionami:

- Kiedy wszystkich spraw w ciągu dnia nie załatwisz. Nie boję się, nic mi nie będzie. Zresztą, raz kozie śmierć.

Rzeczywiście nie boi się, a poza tym lubi chodzić tak po pustym, skamieniałym mieście bez ludzi. Kiedy się nie widzi ludzi, ich sprawy wydają się o wiele prostsze, łatwiejsze. Oponentów nie słyhać, można mieć bez przeszkód rację. Łatwiej się myśli o ludziach, lżej się rozwiązuje ich konflikty. A konfliktów Żarnowcowi nie brak. Więc ta przechadzka po bezludnej nocy - to jego odpoczynek.

Tej jednak nocy Waclaw Żarnowiec nie odpocznie, szukając wśród kamieni odpowiedzi na pytania dotyczące ludzi. Coraz kogoś spotyka, chociaż zdawało mu się, że całe miasto pograżyło się we śnie.

Na Rynku, przy zamkniętym już na cztery spusty barze „Przodownik”, mija go dziwna para. Bufetowa z „Przodownika”, „Ruda Heńka”, nie zwraca prawie uwagi na Żarnowca, zaabsorbowana sprzeczką z naprzykrzającym się jej mężczyzną:

- Nie pójde i już - kłóci się z Kurzawą. Kurzawa kłania się Żarnowcowi z wyszukaną grzecznością, lecz i poufale zarazem. Uśmiecha się wyzywająco.

- Nie pójde do was - powtarza z uporem i złością kobieta - idę do szpitala. Ciotka mówiła, żeby przyjść, pomóc. Prały całą tamtą noc i przez cały dzień, ręce im popuchły, ciotce krew się puściła nosem, a druga raz zemdląła. A ty tu z wódką...

Żarnowiec nie słyszy, co odpowiada jej Kurzawa. Oboje już znikli w przecznicy. Nie wie, czy „Ruda Heńka” ulegnie namowom Kurzawy, czy też pójdzie pomagać ciotce w szpitalnej pralni.

Za chwilę przebiega Franka Koralczyk. W siatce, którą niesie, chybotrze się butelka pełna mleka. Od Franki czuć wódkę, ale trzyma się na nogach jeszcze dość pewnie. Widocznie Żarnowiec ma bardzo zdziwioną minę, gdyż Franka poczuwa się do wyjaśnienia:

- Niech sobie obywatel sekretarz nie myślą czasem, że ja na mleczną dietę z monopolowej przesłam. I dziecka też nie chowam żadnego. Tylko pode mną taki Kraska mieszka, Bolesław,” elektryk. Ślubna małżonka mu odkitowała, bo się psuła. A on drugą noc w szpitalu robi, przy elektryce. A to kazał, żeby dzieciom zanieść.

Żarnowiec chce jej coś powiedzieć, spytać o coś, ale Franka ucieka. Nie chce z nim rozmawiać, wstydzi się czy boi. Już daleko słyhać jej szybki, niezbyt pewny krok i ochryply bełkot, mający imitować śpiew: „A ja sobie muszę rozradować duszę...” Odgłosy te budzą usprawiedliwioną wåtpliwość, czy butelka z

mlekiem, powierzona przez Kraskę, dotrze w stanie nie naruszonym do miejsca przeznaczenia.

Potem idzie dwóch chłopców. Jeden należy do paczki Marka Lendy, drugi - Zdziśka Boruckiego. Ten od Zdziśka niesie masywną, czarną teczkę-walizkę ze srebrnym monogramem, którą Żarnowiec zna, bo często widuje się z nią na mieście doktora Korę. Fakt niepokojący.

- Dobry wieczór, chłopcy, jak się macie - Żarnowiec sam ich zaczepia. Jest ciekaw: co to za nocna podejrzana wyprawa z teczką doktora Kory pod pachą. I skąd ci dwaj razem?

- Dobry wieczór - odpowiada kolega Lendy - doktor Kora prosił nas, żebyśmy mu z domu zmianę bielizny przynieśli, bo się sam ruszyć ze szpitala nie może. No to niesiemy właśnie. Bo my, obywatelu sekretarzu, tam w szpitalu takie dyżury mamy od wczoraj. Jak co z miasta trzeba, to nas wołają.

Gdy oddalają się, Żarnowiec łowi wśród pogłosu ich kroków, naumyślnie energicznych, stawianych z rozmachem, z obcasa, po chłopięcemu zadzierzyscie, jak gdyby za chwilę mieli puścić się biegiem, urywki zdania:

- Az tymi tranzystorami, to powiadam ci, heca była nie z tej ziemi...

Żarnowiec uśmiecha się jeszcze, gdy wpada na niego w ciemnym zaułku zażywny, tęgi człowiek i przyłapuje go z tym uśmiechem na twarzy, trochę spłoszonego, bo przecież Żarnowiec rzadko się uśmiecha.

- Cześć.

- Cześć. Co to, na nocną zmianę?

- Aha.

Majster z fabryki silników, ten sam, który poprzedniej nocy ciął acetylenowym palnikiem resztki zgruchotanego autobusu, żeby ratujący mogli wydobyć rannych, nie należy do osób zbyt rozmownych. Przez jakiś czas kroczą obok siebie w milczeniu. Naraz majster się odzywa:

- Może wam to powiedzą, sekretarzu, będziecie sobie myśleć, żeście mnie przekonali na swoje. To wolę wam sam powiedzieć, co i jak, żebyście wiedzieli. Sprawa tak stoi. Byłem dziś u tego mikrusa, Lendy, w szpitalu. Bo mówili, że z nim niedobrze.

Faktycznie, marny to on jest. Ale gadać z nim już pozwalają. No więc powiedziałem mu tak: w to twoje współzawodnictwo, bracie, i w całą tę twoją brygadę młodzieżową to ja nie wierzę. Na robocie trzeba zęby zjeść, żeby ją poznać, a wy pętaki, młokosy, mleko pod nosem. Byli już tacy mądrzy, co wyścig pracy robili, znamy się na tej propagandzie. Ty znów zaczynasz. Chcesz pokazać, że norma zanizona. A ja twierdzę, że dobra. Tak mu powiedziałem: ja swego zdania nie zmieniam. Ale że teraz ty leżysz, twoje chłopaki normy nijak nie zrobią. Nie chcę, żebyście mówili, że to przez twoje leżenie, a nie przez to, że uroiliście sobie głupotę. Więc ja na ten czas, póki nie ozdrowiejesz, do twojej brygady mojego najlepszego człowieka dam. Janka Wójcika, coście go chcieli kiedyś zabrać, a ja nie dałem. Niech idzie, niech robi za ciebie. A jak wrócisz, będziemy znów mogli gadać na czysto. Więc chcę, sekretarzu, żebyście wiedzieli, jak to było, i żeby nie było czasem mówione we fabryce albo gdzie indziej, że ja nowe normy uznałem. Bo nie.

Majster aż się zasapał ze zdenerwowania. Jak żyje, nie wygłosił jeszcze takiego długiego przemówienia. Żarnowiec kiwa głową, że wszystko rozumie i przyjmuje do wiadomości. Uśmiecha się kącikiem ust, zadowolony, że ciemno i że idący obok niego człowiek nie widzi tego. Obrazilby się. Swoją drogą - wydawałoby się: tam szpital, tu miasto, tam ludzie męczą się, czuwają, tu śpią beztrósko i nie obchodzi ich nic, co tam się dzieje. Nieprawda. Tych i tamtych wiąże ze sobą tysiące niewidzialnych, cienkich, ale mocnych nici. Kiedy Żarnowiec był chłopcem, lubił zapuszczać się z kolegami w labirynt starych, podziemnych korytarzy, ciągnących się jak sieć pod miasteczkiem, w którym mieszkał niedaleko Łodzi, od ruin pradawnego zamku gdzieś aż pod kościół i ratusz. Przy zejściu wiązali nitkę i ciągnęli ją za sobą, zaczepiając o węgły i załomy murów, żeby nie zbłądzić. Rzecz polega na tym, żeby nie wypuścić takiej nitki z ręki.

Majster przykłada niedbale końce palców do daszka czapki i skręca - dalej mu już nie po drodze z Żarnowcem. Żarnowiec myśli sobie: „Wypocząłem”. Lepiej aniżeli gadając sam do

siebie wśród pustych ulic. Wypoczywa w ciepłe swojego uśmiechu niby w przytulnym, wygodnym legowisku, przywracającym siły i radość. Tak: to było dobre, to było mu bardzo potrzebne. Tym bardziej że niedaleko domu pochmurnieje znów, gdy zatrzymuje się nie opodal zielona taksówka marki warszawa, uchylają się drzwiczki i zachrypnięty głos odzywa się:

- Żebyś miał dalej, tobym podwiózł. Teraz to już ci nie warto. Ty zawsze tak po nocy bez wozu, piechotą?

- Nasz kierowca z komitetu też człowiek, najeździ się cały dzień, jego prawo się wyspać - odpowiada Żarnowiec trochę szorstko, czego natychmiast żałuje.

- Wszyscy dla ciebie ludzie, tylko ty sam dla siebie nie jesteś człowiek. I dla mnie - dodaje gorzko kierowca.

Obaj mężczyźni zapalają papierosy. Żarnowiec opiera się o błotnik wozu. Dwa czerwone ogniki wyglądają z daleka jak ślepia dzikiego zwierza. Z bliska - pozwalają rozmówcom dojrzeć od czasu do czasu nawzajem wyraz twarzy. Mężczyźni stoją obok siebie w ciemnościach nieruchomo, czujni i pełni napięcia. Dzieli ich niechęć, może nawet wrogość, a był czas, że łączyła ich przyjaźń.

- Pamiętliwy jesteś - odpowiada głucho Żarnowiec.

Wścieka się w tej chwili na siebie z powodu owego momentu słabości i rozczerwienia, które niósł w sobie, grzejące go niby małe, ciepłe zwierzątko, skulone ufnie za pazuchą. Tu, przed sobą, ma nie upiększoną niczym prawdę, mdłą i obrzydłą jak nie kraszone jadło biedoty na przednówku. A tamte wszystkie spotkania - to kłamstwo. Okrutna bujda. Kurzawa: co najmniej kilkanaście dziewcząt zawdzięcza mu swój zawód prostytutki, kilkunastu lub więcej chłopaków zdeprawował do cna. „Ruda Heńka” - handluje w barze własną wódką. Paserka. Ten chłopak od Boruckiego, co to niósł Korze zmianę bielizny do szpitala, w ubiegłym roku pozostawił bez pomocy na środku jeziora tonącego kolegę, jezioro niegłębokie, a on doskonały pływak. Kolega utonął. Ten od Lendy także nie ma zbyt czystego sumienia: zrobił jakiejś dziewczynie dziecko i nie chce się przyznać. Stary majster z fabryki silników rozkłada Całą

robotę na oddziale, w ubiegłym roku o mało nie doszło przez niego do strajku.

Móglby tak mnożyć i mnożyć ludzkie świństwa,” świństwemka, ułomności, grzechy i winy. A Donat? Sobiepanek. I ten jego romans z Bitmarową, od którego trzęsie się miasto. No a ci inni, których na żadną akcję społeczną nie namówisz, bo wołają w brydża różną? Albo - czy to tak dawno temu grupka znanych w mieście osób, bawiąca na polowaniu, obojętnie przyglądała się, jak kona z upływu krwi jeden z myśliwych, przypadkowo postrzelony przez sąsiada?

Więc jak to jest? Gdzie prawda, gdzie oszustwo? Skąd nagle tyle zapału i ochoty w niesieniu pomocy rannym?” Ta wytrwałość i te gesty miłosierdzia? Ta dobroć i życzliwość? - Żarnowiec wbija wzrok w ciemną czeluść ulicy i chciałby krzyknąć w ślad za tymi, którzy skryli się już przed nim w mrokach miasta:

- Ludzie! Stójcie! Nie odchodźcie, ludzie! Powiedzcie, jacy jesteście, kim jesteście?! Egoiści, nieczuli, zatwardziali, chciwi, kanciarze, opieszali, nieporządni, amoralni i zepsuci, a przede wszystkim obojętni, obojętni, obojętni jak kamienie...? Czy dobrzy, wrażliwi, serdeczni, miłośni i czuli na nieszczęście, dzielni, mądrzy, odważni, ambitni i pełni ludzkiej godności? Jacy jesteście? Wiem o was wszystko i nie znam was. Ale przypuszczam, że wasza dzisiejsza poza to zawracanie głowy. To maski, które pokładliście, żeby mnie oszukać. Pewno śmiejecie się ze mnie, że uwierzyłem w te wszystkie caca-lala, cukiereczki, pomadeczki. Słodziutki, grzeciutki, do rany przyłoż. A jutro? Jutro?

Milczy czarna czeluść ulicy, ludzie, którzy wędrują gdzieś tam po ciemku, nie odzywają się. Milczy człowiek, palący obok papierosa. Żarnowiec podnosi na niego oczy, jak gdyby spodziewał się, że może on odpowie jego myślom. Napotyka spojrzenie kierowcy, pełne gniewu i rozpaczy.

Żarnowiec czuje, że musi mu coś natychmiast powiedzieć, jakieś dobre, współczujące słowo, ale nie odnajduje go w sobie. Kładzie więc tylko na ramieniu tamtego swoją muskularną rękę. Kierowca jednak strąca ją brutalnie i odsuwa się.

- Zobaczyłem ciebie - mówi twardo, jak gdyby każde słowo odrąbał siekierą - - jeszcze tam, na Rynku. Myślę sobie: muszę się z tobą rozmówić. Rozliczyć. My rachunki mamy, no nie? Tak przyjechałem za tobą aż tu.

- Chcesz ze mną mówić, masz jakieś sprawy, przyjdź rano do komitetu - odpowiada ospale Żarnowiec. - Teraz nie pora po nocy, na ulicy.

- O nie! - zaprzecza gwałtownie właściciel zielonej taksówki - do komitetu waszego ja się już dość nachodziłem. Kiedyś. I zapowiedziałem, że mnie już tam nie zobaczycie. niesprawiedliwość wszędzie sobie mogę znaleźć, nie muszę po nią do twojego komitetu pielgrzymki odbywać.

- A ty wciąż o tamtym... - w głosie Żarnowca znać zmęczenie. - Czy ja kiedy powiedziałem, że spotkała ciebie sprawiedliwość? Ale nie można było wtedy inaczej. Sprawiedliwość dla wielu sprawia czasem niesprawiedliwość poszczególnym ludziom.

- Mam gdzieś taką dziurawą sprawiedliwość. Jak idzie wysoka woda, wystarczy jedna szczyrba w wale, żeby ci rzeka wylała.

Żarnowca męczy ta rozmowa. Męczy go racja człowieka o ciemnej, zaciętej, zgorzkniałej twarzy. Pamięta jeszcze tę twarz inną, sprzed lat, zmęczoną, ale wesołą i przyjazną. Poznali się w czterdziestym piątym czy szóstym roku. Pomógł mu w zimie sprowadzić do rodzącej żony lekarza wojskowego, innego nie było w mieście. Potem ten człowiek przyszedł podziękować. Interesował się, czy nie mieliby dla niego jakiejś roboty:

- Ja tutejszy - mówił poprawnie, ale z twardym, niemieckim akcentem - miałem tu warsztat samochodowy. Spalił się. Muszę zarobić co.

- Jak się nazywacie? - spytał Żarnowiec werbujący wtedy ludzi dla ocalałych zakładów.

- Henryk Łoza.

- A w papierach macie inaczej, Lohse.

- Tak nam zmienili nazwisko, ale moja rodzina polska.

- No dobra, przyjdźcie jutro do fabryki, garaże trzeba zorganizować.

Henryk Łoza pracował energicznie, sumiennie, ze znajomością rzeczy. Odnalazł wiele ukrytego sprzętu, znał miasto, okolice, pozostałych tu jeszcze ludzi. Zakłady się rozrastały, przybywali ludzie ze starego kraju, różni ludzie: jedni, żeby tu zamieszkać, inni - pomieszkać, zarobić i wrócić „do siebie”. Łoza, skrupulatny i z zasadami, nie tolerował obiboków, szabrowników, kanciarzy i pijaków. Wkrótce go znienawidzono:

- Szkop. Pilnuje tu, żeby dla jego pobratymców zostało, kiedy wróca.

Przyłgnęło do niego owo „szkop”. Przez pewien czas próbował wyjaśniać, z żarem tłumaczył się:

- Przecież ja Polak. Tylko że tutejszy. Przecie po polsku mówić nie zapomniałem, w domu po cichu matka uczyła. Ojciec robił tu polską robotę, w więzieniu hitlerowskim siedział. We wojnę umyślnie poszedłem pod pierwsze kule, żeby krwi rodzonej nie przelewać. O, tu blizny, widzicie?

- A brat?

Spuszczał głowę. Brat starszy miał za żonę Niemkę. Ona to namówiła go, by wyjechali przy pierwszej okazji do jej rodziny pod Monachium.

Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Żarnowiec był wtedy sekretarzem komitetu fabrycznego. O niego się oparło:

- Ten Łoza czy Lohse, jak mu tam, nie wiadomo, ma stąd iść, bo inaczej to my wszyscy rzucamy robotę. Wracamy tam, skądśmy przyszli. Zostaniecie z tym Niemcem.

Żarnowiec wybrał ludzi, Łoza musiał odejść.

- Zrozum mnie, nie mogę dopuścić do odpływu ludzi stąd. Z takim trudem ściągnęło się ich tutaj. Teraz to zaczyna być z powrotem polski kraj. Odejdą ci, za nimi inni, kto pracować będzie? A ty dasz sobie radę, pomogę ci.

Odejście Łozy obchodzono w garażach jako niemal narodowe święto. Żarnowiec rzeczywiście pomógł mu: Łoza nabył na raty z demobilu samochód i tak pierwsza taksówka zjawiała się na ulicach Nowoborów. Ale też od wtedy twarz Łozy zaczęła się formować w ten gorzki grymas, który zastygł na niej, bruźdząc i wyostrzając rysy.

To była pierwsza krzywda Henryka Łoży. Na drugą, która ostatecznie poróżniła go z Żarnowcem, rozmaicie można się zapatrywać. Żarnowiec uważał, że postępował słusznie, i stwierdził z goryczą, że ludzie łatwiej wybaczą innym prawdziwe, doznane od nich krzywdy aniżeli to, co zrobiło się dla nich dobrego. Poszło o Kazika, - syna Łoży. Żarnowiec polubił spokojnego, rozumnego chłopca. We wrześniu, w trzydziestym dziewiątym roku, żołnierz hitlerowski rzucił granat do piwnicy, w której razem z innymi kobietami i dziećmi schroniła się żona Żarnowca z synkiem i córką. Całą wojnę Żarnowiec przebywał w partyzantce. Po wojnie nie założył nowej rodziny, przygarnął osamotnioną siostrę. Mały Kazik zaspokajał jego potrzebę przywiązania. Nie miał wiele czasu, ale każdą wolną chwilę poświęcał synkowi Łoży. Chodzili razem do lasu na spacer, łowili ryby, kąpali się w jeziorze, Żarnowiec dawał małemu książki, prowadził z nim rozmowy, podziwiając chłonność i bystrość umysłu dziecka.

Przez jakiś czas Łoża cieszył się z tego, potem zaczął być zazdrosny. W końcu obie sprawy: jego własna i Kazika splątały się dramatycznie. Osamotniony i wyśmiany człowiek zaczął przemyślać, czyby nie ulec namowom brata i nie wyjechać z rodziną do Niemiec. Był rok pięćdziesiąty siódmy. Katarzyna chodziła po kątach i popłakiwała, ale godziła się z wolą męża. Sprzeciwił się Kazik:

- Wujek Wacław - tak nazywał Żarnowca - mówi, że nie powinniśmy. Że tu nasze miejsce. Przecież my Polacy, prawda, tatku, że my Polacy?

- Nie będziesz mi się wtrącał w moje sprawy - krzyczał Łoża do Żarnowca i bił pięścią w stół - Mnie z roboty wyrzuciliście jako Niemca, odepchnęliście mnie. Nie tak? A Kazikowi głowę patriotyzmem nabijacie? Z ojca i syna wrogów robicie? Syna na ojca szczujecie?

Rodzina Łozów nie wyjechała. Zostali. Tyle że Henryk Łoża zdziczał i zdziwaczał do reszty, inaczej na ludzi, jak wilkiem, nie patrzył.

Teraz, gdy obok siebie poczuł w ciemnościach krępa, przysadzistą postać Żarnowca, gdy słyszał jego ciężki,

przerywany przez astmę oddech, gdy w rozżarzającym się od czasu do czasu czerwonym błysku papierosowego” ognika widział jego kanciastą, z gruba ciosaną, znużoną twarz, zdał sobie sprawę, jak bezgranicznie nienawidzi człowieka, który zabrał mu syna.

- I o tym samym, i nie o tym samym będziemy mówić - syknął przez zaciśnięte zęby. - Wczorajszej nocy mój syn, mój jedyny syn, zginął w katastrofie autobusowej.

- Wiem o tym - szepnął Żarnowiec opuszczając nisko głowę.

- Gdybyś go nie bałamucił, za Polską nie agitował, bylibyśmy wyjechali trzy lata temu i on by żył. To przez ciebie zginął. To ty go zabiłeś, słyszysz, ty! Za to zapłacisz. Nie będziesz chodzić po ziemi, na której jego już nie ma.

Łoza nie krzyczał. Mówił to wszystko prawie spokojnie, jak gdyby przemyślał już tę całą sprawę dokładnie i powziął nieodwołalną decyzję. Żarnowiec podniósł wzrok. W oczach Łoży, zaprzeczając równowadze i chłodowi głosu, paliło się szaleństwo. „Zwariował - pomyślał Żarnowiec. - Z rozpaczki zwariował.” Nie bał się śmierci, tyle razy otarł się o nią w czasie wojny i w pierwszych, powojennych latach: oduczył się lęku. Zdał sobie sprawę, że tu potrzebny nagły wstrząs, który by przywołał Łozę do przytomności. Patrząc mu w twarz powiedział wolno, dobitnie:

- Mnie tam na życiu nie zależy tak specjalnie, możesz mnie zabić. Może to twój brat utłukł granatem moją żonę i dzieci, kto wie. Zabijesz, znaczy, żeś nie lepszy. I synowi swojemu kłamałeś. Pewnie rację mieli ludzie z garażu wtedy, kiedy ciebie nie chcieli. A jak mieli rację, to znaczy, że i krzywdy twojej żadnej nie było.

Z brzękiem upadł na bruk ciężki lewar i potoczył się pod koła wozu. Łoza drgnął, przeciągnął ręką po twarzy, nie dopalony papieros upadł w śnieg i zgasł z cichym sykiem. Łoza odwrócił się, oparł obie ręce o otwarte drzwiczki samochodu, wtulił głowę w wyciągnięte w górę ramiona. Plecy jego drgały.

- Wiesz - powiedział po chwili głuchym, zdławionym szeptem - na przejeździe jeszcze żył. Wiózł go do szpitala taki dawny kierowca z fabryki, co teraz też taksówkę ma. Ja go trzymałem,

Kazika, żeby nie trzęsło. Otworzył oczy i powiedział: „Gwiazdy... tatusiu, jakie piękne gwiazdy...” Majaczył czy co. I był z nim koniec.

Obaj milczą przez chwilę, każdy z nich po swojemu wspomina chłopca, który dzielił ich za życia, a teraz dziwnym obrotem rzeczy, śmiercią swoją może pogodzi.

Kiedy Żarnowiec znów spogląda w twarz Łozy, widzi przed sobą jego rysy już bez gniewu, zawziętości i goryczy. Jest to po prostu twarz głęboko cierpiącego człowieka, naga w swoim bólu i bezbronna.

- „Gwiazdy”, powiedział. - powtarza Łoza - dlaczego tak powiedział? O czym myślał, kiedy umierał? Taki był zawsze skryty, tak mało o nim wiem, ja, ojciec.

W tym momencie Żarnowiec czuje, iż odnalazł coś, czego szukał w pamięci od wczorajszej nocy na przejeździe. Zrozumiał to, czego nie mógł pojąć, rozwiązał dręczącą go zagadkę. Odpowiada Łozie, uważnie dobierając słów, bo wie, że dokładność tego, co powie, ważna jest nie tylko dla zrozpaczonego ojca, lecz przede wszystkim dla niego samego:

- Nad przejazdem świeciły gwiazdy. Zapamiętał sobie ten obraz. Kazik lubił oglądać gwiazdy. Jak wielu chłopców dzisiejszych, marzył o podróżach międzyplanetarnych. Ale mnie przypomniało się jeszcze coś innego, też z gwiazdami. Kiedy miał chyba z pięć lat, siedłem z nim kiedyś zimą przez park. Na trawnikach leżał śnieg, świeciło słońce i śnieg pięknie błyszczał. Kazik patrzył, patrzył, a potem powiedział do mnie bardzo serio: „Wiesz, wujku, gwiazdy rosną na ziemi, słowo daję. Tylko ty ich może nie widzisz”. Jemu chodziło o śnieg, może mu fantazja jeszcze coś dopowiadała. Ja jednak myślałem sobie potem często, że nie wiedząc powiedział coś, co ma o wiele głębszy sens - Dzisiaj rozumiem to może jeszcze lepiej.

Henryk Łoza wzdycha ciężko, nie bardzo pojmuje, o co chodzi Żarnowcowi. Siada za kierownicą, zapuszcza motor i z miejsca podrywa wóz. Żarnowiec, szukając klucza od mieszkania po kieszeniach, dopowiada sobie w myślach: „No więc, niekoniecznie musi być tak, że ktoś jest zły i nagle chce udawać dobrego. Mogą być ludzie źli na pozór. A jak im się trafi,

wydobywają z siebie to, co w nich wielkie, piękne, dobre, ale ukryte na powszedni ciężki dzień. Gwiazdy rosną na ziemi, tylko tak trudno, bardzo trudno je zobaczyć. Nie każdy chce. Nie każdy umie. Niejeden może powie: bawicie się w tanie sentymenty, towarzyszu Żarnowiec. A tu całą spółdzielnię wam rozkradli”.

Henryk Łoza wspina się po schodach z trudem. Serce ciąży mu kamieniem. Czuje w sobie i dookoła siebie pustkę, której nigdy już, przez całe życie, nie zdoła niczym wypełnić. Zanim podniósł rękę do dzwonka swego mieszkania, otwierają się drzwi naprzeciwko. Tam mieszkają Kowalscy. Kowalski był jednym z tych, co go wyrzucili z fabryki. Z Kowalskim nie rozmawia się. Dzieci Kowalskich były zawsze Kazika, ilekroć dopadły go samotnego w kącie podwórza. Teraz w drzwiach stoi Kowalska. Nie pyta o męża, który leży ranny w szpitalu, była u niego, wie wszystko, co i jak, że operacja się udała, krew dostał, oprzytomniał,” ma się lepiej. Nieśmiało, jakby zawstydzona, podchodzi do Łozy. Nie mówi nic. Tylko w mętным, przyćmionym świetle klatki schodowej widać, że ma oczy pełne srebrzyście świecących łez.

ROZDZIAŁ 9 TWARZE GODZIN

Co dzień rano, gdy Donat wchodzi do swojego gabinetu, przede wszystkim ma zwyczaj spoglądania na zegarek - najpierw na swój własny, na rękę, potem na duży, ścienny zegar szpitalny. Porównuje czas. Zegar szpitalny opóźnia się czasami i trzeba wołać portiera, znanego ogólnie wszechstronnego majsterklepkę, żeby - go naregulował. Następna codzienna czynność Donata polega na zerwaniu kartki z kalendarza. Julian Donat ceni czas. Można nawet zaryzykować twierdzenie” że lubi czas. Cały personel szpitala zna doskonale jego teorię:

- Amerykanie wynaleźli hasło: „czas to pieniądz”. A według mnie czas to życie. Kto marnotrawi czas, popełnia samobójstwo na raty.

Człowiek żyje określoną ilość lat - rozumuje Donat - a więc pewną ilość godzin, minut, sekund. Żadna z nich nie powtórzy się więcej, chodzi zatem o to, by każdą po brzegi wypełnić treścią. Dla Donata każda godzina ma swoją twarz, minuty stanowią surowiec, materiał, który modeluje jak rzeźbiarz, nadając mu kształt czasami zamierzony, czasami przypadkowy, ale zawsze jedyny i pełny wyrazu.

- Gdyby po człowieku pozostawało zawsze to, co najbardziej ceni - żartowała Irena jeszcze w tym okresie, gdy mieszkali razem - to po tobie archeologowie przyszłości powinni znaleźć zegarek i kalendarz. Ciekawe, po co z roku na rok przechowujesz swoje terminarze, co ci z tego przyjdzie? Pamiętniki może - piszesz?

- A wiesz, ja lubię po paru latach przypomnieć sobie, co na przykład robiłem o godzinie dwunastej w południe któregoś dnia lipca czy grudnia. To tak, jak bym spotkał przyjaciela po latach niewidzenia się. Pytamy nawzajem: „Co u ciebie słychać?”

- Czy uważasz, że taka stała kontrola swojego czasu uprzyjemnia życie? - dziwiła się Irena. - Zupełnie jakbyś, niosąc walizkę, stale ją otwierał i do niej zaglądał. Daleko z tym nie zajdziesz.

- Nie rozumiesz mnie - tłumaczył Donat. - Widzisz, lekarz, podobnie jak ksiądz, bywa często ostatnim powiernikiem, ostatnim świadkiem obrachunku z całego życia. Otóż zauważyłem, że ludzie, umierając, bardzo rzadko kiedy żałują tego, co zrobili, jeżeli nawet popełnili wiele złych uczynków. Na ogół nie żałują także swoich pięknych dni. Nie to każe im krzyczeć: „Ja chcę żyć! Ja nie chcę umierać!” Najczęściej szepczą albo bredzą o tym, co by jeszcze zrobili, gdybym mógł im ofiarować trochę czasu, a wielu chciałoby przeżyć życie ponownie w całości lub choćby w części. Przy końcu zdają sobie sprawę: ile nie stało się, nie spełniło się w ich życiu z tego, co mogłyby się zdarzyć - i to z ich winy. Żal za tym, czego nie było,

każe się im czepiać życia. Wyją z przerażenia, patrząc na swoje puste ręce, tu już nie pomogą żadne sztuczki jak za życia, żaden bluff. Powiedziałas o tej walizce... Z pustą walizką idzie się lekko, człowiek nie męczy się aż do grobowej deski. Można nawet wmawiać, że jest pełna skarbów i można samemu w to uwierzyć. Ale umierać z tym ciężko. Tak sobie myślę czasami, że gdyby zmarnowany czas można było wyrzucać na śmietnik jak inne odpadki, powstałoby wysypisko, jakiego w ogóle nie można sobie wyobrazić.

- Nigdy się z tobą nie zgodzę - upierała się Irena - nie ma w życiu elementów bezużytecznych. To, czego nie zrobili jedni, zrobią drudzy, każde pokolenie następne wypełnia to, co stanowiło pustkę w życiu poprzedniego. Pomyśl, gdyby Chrobry zbudował MDM, co robiliby nasi architekci? Ja nie mam zwyczaju niczego żałować, po mnie nie spodziewaj się biadolenia, kiedy będę umierać. O nic nie będę żebrać. Wszystko dobre, co się w życiu zdarzy. Nie znoszę przymusu i przemocy, nie będę nigdy o nic walczyć. My, archeolodzy, mamy kult dla przedmiotów i szeroki gest w stosunku do czasu. Popatrz na tę spinkę z brązu - silna, mała ręka Ireny, zawsze trochę szorstka od częstego stykania się z ziemią, jak ręka chłopki, trzymała delikatnie podłużny, matowo lśniący metalowy okruch - tyle pozostało po pewnej kobiecie. Nikt nie wie i nikogo to już nie obchodzi, którego dnia i o której godzinie zgubiła tę spinkę, zbierając w lesie jagody. Mogę ci tylko powiedzieć, że stało się to dziewięć albo dziesięć wieków temu. Jak żyła, czego żałowała umierając - nie wiem. Ogólnikami służę: nosiła odzienie z lnu i męła mąkę na kamiennych żarnach. O mnie archeolog za tysiąc lat też powie: nosiła suknię do kolan i gotowała na gazie. Tyle będzie wiedział o mnie. Ważyć i liczyć każdą chwilę, jak ty to robisz, to tak, jak gdyby ktoś mierzył i ważył chmurę, której za moment nie będzie.

Julian Donat stoi w swoim gabinecie i przenosi wzrok z zegara na kalendarz, z kalendarza zaś z powrotem na zegar. Z kalendarza nie zerwał kartki od dwóch dni, widnieje na nim data dnia katastrofy. Zegar ma białą, płaską tarczę w ciemnej

ramie i gładkie, proste strzałki, wskazujące w tej chwili godzinę dziesiątą i dziesięć minut. Ta godzina ma twarz Ireny - płaską w swej bladości, układ wskazówek przypomina jej skośne oczy. Irena nad ranem ocknęła się. Znajdował się właśnie w separacie. Patrzyła na niego tymi ciemnymi, skośnymi oczami i szeptała z takim wysiłkiem, że pot wystąpił jej na czole:

- Julian... Nie odchodź. Boję się. Ja... ja umrę bez ciebie. Bądź tu... ze mną. Chcę być zawsze z tobą. Julian. Zrób, żebym żyła. Ja chcę żyć. Chcę żyć. Boli mnie, Julianie. Coś chciałam... coś muszę ci powiedzieć... zapomniałam, co...

Trzymał ją za rękę, dopóki nie zapadła w sen. Zasnęła przerażona, przez sen majaczyła, kogoś od siebie odpychała, wołała cicho:

- Nie, nie, to nieprawda. Ty nie... Nie dotykaj.

Teraz Donat myśli: „Każdy kiedyś w życiu sprzeniewierza się sobie, niektórzy czynią to nawet dość często. Ja przestałem liczyć dni i godziny, cóż mógłbym powiedzieć o czasie, który minął przez te półtorej doby? A Irena krzyczy, że chce żyć, chce żebym był przy niej. Przedtem nie potrzebowała mnie”.

Irena budzi się od czasu do czasu. Ale nie bardzo może mówić, osłabienie uczyniło jej ciało ciężkim, wolę nieposłuszną. Chce odgonić od siebie twarz, którą chwilami widzi niby przez mgłę: to ten człowiek z autobusu... Maurycy Jantar, inżynier... Co on tu robi obok niej? Czy jadą dalej? Jeżeli tak, to czemu ona leży i nie może się podnieść ani poruszyć? I skąd ten ból w całym ciele? I skąd pochylona nad nią twarz Juliana, którego przecież nie było w autobusie? I skąd ta twarz kobiety o szarych oczach, budząca w Irenie taki strach i niepojętą nienawiść?

Irena nie ma siły pytać, wszystko to zbyt nierealne i zanadto straszne. Więc szuka i woła Juliana, żeby jej wyjaśnił. Ale Julian, jeżeli nawet zjawia się tuż blisko, w zasięgu jej wzroku, nie odpowiada, nie mówi nic, niczego nie wyjaśnia i Irenie zdaje się, że trwa w męczącym śnie: Julian nie mówi nic albo może ona nie słyszy, nie może usłyszeć, widzi tylko, jak poruszają się jego usta, ale z ich ruchu nie sposób odgadnąć słów. I nigdy już Irena nie usłyszy głosu Juliana, nigdy się z nim nie porozumie, a przecież to takie ważne, żeby się z nim

porozumieć. Właściwie tylko to jest ważne i konieczne. Bo nie może tak zostać: on nie słyszy jej pytań, ona jego odpowiedzi.

Czuje, jak Julian wsuwa jej pod bok jakiś chłodny metalowy krążek. Czuje jego dotyk w okolicy serca. „Dlaczego kładziesz mi ten zimny krążek na sercu, Julianie? To mnie boli i uwiera. Powinieneś położyć w tym miejscu swoją rękę. Dużą, ciepłą, mocną, a taką lekką. Wtedy moglibyśmy się porozumieć nawet bez słów, które - widocznie czasami tracą w ogóle wartość. Od metalowego krążka prowadzi droga przez cienkie rureczki do twoich uszu. Czy słyszysz, Julianie, co mówi do ciebie moje serce? Pomyliłam się, Julianie, kiedy myślałam, że potrafię całe lata przeżyć bez miłości. Jak to w ogóle było możliwe? Czy ja byłam ślepa? Czy głucha? Tak mi żal tych pustych lat. Ile miłości muszę ci dać teraz, żeby tamta pustka wypełniła się także? Czy dam radę? Czy zdążę?” Julian mówi dość głośno i teraz Irena słyszy:

- Dziewięćdziesiąt. Nieźle. Noradrenalinę trzeba jednak powtórzyć.

- Może jeszcze poczekamy?

Irena nie przypomina sobie głosu Łucji, słyszała go przecież tylko raz, dawno, lecz wie, że to odpowiada Julianowi kobieta, mająca szare oczy. Chce wołać:

„Ja nie mam czasu czekać! Ja muszę, ja chcę żyć! Przecież potrzebuje mnie Julian i czeka na mnie. Od tylu lat. Muszę mu powiedzieć, bo on mnie nie rozumiał. Powiedział « dziewięćdziesiąt ». Tylko tyle dotarło do niego, gdy słuchał, jak bije moje serce...”

Julian pochyla się, kiedy dobiega go bolesny jęk Ireny. Powieki jej zamykają się. Irena nie ma siły ich otworzyć. Chciałaby, żeby Julian położył jej rękę na czole. Ale Julian nie robi tego, bo obok stoi Łucja. Słysząc jego kroki oddalające się w kierunku drzwi. Irena chce biec, zatrzymać go, zawrócić. Jej ciało spręża się w gwałtownym wysiłku i przesywa je ból. Ten ból znów odbiera przytomność i pogrąża Irenę w ciemności.

Gdy Donat wpatruje się w tarczę ściennego zegara nad drzwiami swego gabinetu, obraz białego krążka z czarnymi wskazówkami zaczyna mu migać i mącić się w oczach. Julian

wie: to zmęczenie, na które trudno już coś poradzić. O siódmej rano stał razem z innymi lekarzami, w kolejce przed kabiną z natryskami. W kabinie mieści się znakomite urządzenie: tak zwany „bicz wodny”. Manipulowali gorączkowo, niecierpliwie przy kranach, aby poczuć na bezwładnych, niby z gumy ulepionych ramionach, skamieniałych nogach, ociążałych głowach jak najostrzejszy, jak najzimniejszy strumień wody. W lodowaty, mroźny ranek zimowy gasili piekący żar oczu i czoła wodą kłującą i tnącą skórę niby chłaśnięcie bata. Ktoś usiłował liczyć:

- Wiecie, że to już czterdzieści osiem godzin, odkąd jesteśmy na nogach? Przychodnia, pacjenci, szpital, przychodnia, pacjenci, szpital. No i teraz znów przychodnia.

Czy chcecie nas tu widzieć wieczorem, panie kolego? Będziemy jeszcze wam potrzebni?

Donat przytaknął milcząco głową. Trudno mu mówić, gardło ma suche. Przypomniał sobie nagle, że od wieczora nie miał nic w ustach, nawet kawy. Ktoś proponował, zdaje się, że Łucja, ale machnął tylko ręką. Nie trzeba. Lekarz, który pytał, czy pomoc z zewnątrz będzie jeszcze potrzebna, nie należy do przyjaciół Donata. Stale intryguje przeciwko niemu w Wydziale Zdrowia.

Bicz wodny pomógł Julianowi na krótko. Znów rozpełza się pod czaszką zdradliwa otępiałość jak czad, fale krwi rozbijają się boleśnie o czoło i skronie. Wskazówki na tarczy zegara rozpoczynają opętańczy taniec-kołowrotek. Donat widzi je raz rozsunięte ukośnie jak oczy Ireny, to znów złączone pionowo, podobne do zmarszczki przecinającej czoło doktora Janusza Zawilskiego, gdy przez cztery godziny nie odszedł od łóżka młodej kobiety, która straciła w katastrofie dwuletnią córeczkę.

Donat przeciera oczy dłonią i teraz dla odmiany biała tarcza mnoży się, mnoży w nieskończoność. To nie biała tarcza, a mnóstwo bladych twarzy - twarzy nieruchomych, zastygłych, z których spłynęła krew, twarzy oglądanych bez przerwy od trzydziestu kilku godzin. Twarz Marka Lendy i kobiety której usunięto przebitą śledzionę, twarz kobiety z rozbitą głową i młodej dziewczyny o pękniętej podstawie czaszki, mężczyzny ze złamanymi rękoma i nogami i tej drugiej dziewczyny o

popękanych żebrach oraz dziewczynki ze zdartą z całego boku skórą. Wśród tych twarzy migają inne, równie jak one blade, niektóre nagle wychudłe, inne obrzmiałe, ale o oczach otwartych, nie zamkniętych. Tak jak ze wskazówek zegara można odczytać godzinę, podobnie z tych oczu można się dowiedzieć, co czują i myślą: Łucja, Kora, doktor Adamczyk, Zawilski, Firmin, siostra Maria i siostra Flora.

Najpierw się bali. W ich oczach Donat nieraz dostrzegł strach gdy ranni, niby nieżywe kukły, lecieli im przez ręce, milcząc wtedy, kiedy powinni byli wyć z bólu. Trzeba było czuć podwójnie: i za siebie, i za rannego, którego ośrodku nerwowe poraził wstrząs. W tym stanie ranny umiera niepostrzeżenie. Takich rannych dwóch, trzech, to inna sprawa. Ale tu jest ich cały tłum, a naprzeciwko - tylko garstka ludzi w białych fartuchach. Co to będzie, jak to będzie, jeżeli nagle ocknie się ten tłum bezwładnych manekinów i zacznie krzyczeć, miotać się, szarpać bandażę? Donat śledził bacznie i niespokojnie, jak twarze lekarzy stopniowo traciły miękkość linii rysów. Szczęki zwierają się, mięśnie twarzy napinały się i twardniały. Twarze lekarzy upodabniały się stopniowo do twarzy rannych. Gdy odchodził z nich lęk, stawały się martwe, bez wyrazu.

Upływają jednak godziny i twarze rannych ożywiają się, barwią się gorączką, wykrzywiają bólem. Jedni płaczą, drudzy jęczą, jeszcze inni krzyczą. Twarze lekarzy i pielęgniarek również zmieniają swój wygląd. Nie przypominają już lekko wypukłych wizerunków płaskorzeźb z kamiennych nagrobków. Są pomięte, pobrużdżone jak twarze ludzi cierpiących. Wielu z nich ma na policzkach rumieńce, oczy im błyszczą.

Oni może nie wiedzą, nie zdają sobie sprawy, ale Donat ma świadomość: oto atakuje drugi wróg, równie nieubłagany i podstępny jak strach. Zmęczenie. Zmęczony lekarz może zapomnieć zbadać tętno i ciśnienie. Zmęczona pielęgniarka może pomylić lekarstwa albo odmierzyć niewłaściwą dawkę.

Donat pozostawia przedwczorajszą kartkę na kalendarzu - nie tkniętą. Nie sprawdza, czy czas na zegarze ściennym i jego ręcznym zegarku zgadza się co do minuty. Na biurku, na fotelach, na szafce, zawierającej podręczną biblioteczkę,

osiadła perłowa, aksamitna warstewka kurzu. Donat obrzuca swój gabinet obojętnym, prawie niewidzącym spojrzeniem, jak gdyby opuszczał go na zawsze, udając się w daleką podróż, z której się nie wraca.

Zaczyna krążyć po szpitalu niby automat. Zna każdy kąt w tym małym mieście-państwie, którego odrębność od otaczającego świata i niezależność wydawały się mu zawsze tak niezaprzeczalne, słuszne, konieczne i godne zaciętej obrony. Zdawało mu się kiedyś, że zwykle, ludzkie, życiowe sprawy nie powinny tu mieć dostępu, podobnie jak jest „obcym wstęp wzbroniony” poza skąpo wydzielanymi dwa razy tygodniowo dwiema godzinami dla odwiedzania chorych. A nawet i te godziny czwartkowe lub niedzielne niosą ze sobą do wnętrza szpitalnych sal małą zaledwie część prawdy o tym, co dzieje się „tam”: w świecie, w mieście, w domu, w życiu odwiedzających, w dniu, którego rytm jest tak odmienny od szpitalnego reżimu. Chorym oszczędza się pełnej wiedzy o troskach powszednich - ich choroba niczym sito przesiewa wiadomości, dociera do nich miękkie, mialki piasek, kamienie pozostają na boku, gromadzą się, by powitać ich dopiero znów - powracających do zdrowia i do owych trosk - na progu domu czy miejsca pracy.

Chorym się mówi: „Dzieci zdrowe, Janek otrzymał czwórkę z polskiego, Nowakowa oddała sto złotych, pożyczone przed pierwszym, Marysia dostała wczasy do Zakopanego, azalia na oknie wypuściła pąki”. I chorych to zadowala, więcej nic ich nie interesuje, z niecierpliwością czekają, żeby się skończyła ta relacja i zaczynają swoje: „Dziś robili mi morfologię, jutro mam urografię, a ten doktor, wysoki blondyn, jak wszedł dziś rano na obchód, popatrzył na moją kartę i pokiwał głową, mnie się zdaje, że coś niedobrze, chociaż siostra Klara twierdzi, że właśnie na odwrót, dziwił się, że taka poprawa po tej strofantynie, co to ją dostaje od dwóch dni”.

Odwiedzający nie bardzo wiedzą, o co chodzi. Rozstają się, nie zrozumiawszy się, jedni pozostają w szpitalnym łóżku albo na progu korytarza prowadzącego do hallu, bo już dalej wyjść im nie wolno, przeżuwiają otrzymane wiadomości, mające słodkawo-mdły smak domowego ciasta, mówią do siebie w

duchu: „To dobrze, że w domu wszystko w porządku” - ale na dnie tej myśli fermentuje mała, maleńka wątpliwość: trochę za dużo drożdży dodano do tego słodkiego ciasta w trosce o pulchność - jak to się dzieje, że w czasie, kiedy człowiek znika w szpitalu, z życia jego najbliższych znikają wszystkie cienie? Relacja otrzymana z życia poza szpitalem przypomina fotografię rodzinną z okazji złotych godów małżeńskich, wszyscy na niej odświętni, zacni i bezgrzeszni, cóż za anielsko kochające się grono! Dopiero gdy dziadek umrze, procesować się zaczną latami o jesionową szafę z dorobioną nogą, dwie złote „świnki” i komplet émielowskiej porcelany (sosjerki brak).

Ci drudzy, odchodzący ze szpitala po odwiedzinach, niosą w sobie ciężar, odczuwany bardziej niż przed wizytą, niejasny zawód, zbliżony do pretensji: „Jemu - czy jej - to dobrze, leży sobie, choruje, nic więcej go nie obchodzi. Jak człowiek chory, to tylko o sobie myśli, o niczym wiedzieć nie chce. A ty się martw o wszystko sam”.

Człowiek chory w szpitalu jest tylko chorym człowiekiem - uważał zawsze Donat. Wszystko w szpitalu poświęcone jest walce z jego chorobą i tak, jak chorego izoluje się maksymalnie od zewnętrznego życia, podobnie szpital powinien być odseparowany od wszystkiego, co mogłoby zakłócić tok jego pracy. Tym razem jednak zawiódł się. Katastrofa na przejeździe niby wezbrana rzeka przerwała wszelkie zarówno sztuczne, jak i naturalne przegrody, dzielące miasto od szpitala. Życie i ludzie wtargnęli w szpitalny rygor szeroką falą - ale nie przeszkodzili w spełnieniu zadania. Odwrotnie, bez pomocy z zewnątrz, wyłącznie zdany na własne siły i środki, szpital z pewnością nie uratowałby wszystkich rannych. Izolacja prysła, lecz Donat nie czuje się przez to uboższy, nie uległa ograniczeniu jego zazdrośnie strzeżona władza nad małym szpitalnym społeczeństwem. Czuje się silniejszy, bogatszy o cały ów tłum sprzymierzeńców, których istnienie ujawniła tragedia na przejeździe.

Toteż nie sarka ani nie marszczy groźnie brwi, gdy raz pó raz spotyka w różnych pomieszczeniach szpitalnych osoby nie należące do personelu.

- Przez pana dyrektora to ja za słomianą wdowę się zostałam - szczerzy do niego zęby „Ruda Heńka” w pralni, pełnej pary i zapachu środków dezynfekcyjnych.

Ładuje do kotła wielką naręcz fartuchów. Pod lekką, rozpiętą bluzką rysują się wyzywająco jej pełne, wysoko osadzone piersi, mokra spódnica oblepia i uwydatnia tęgie, jędrne uda.

Jej ciotka, praczka szpitalna, tłumaczy się, zalękniona i speszona wizytą władzy:

- To siostrzenica, proszę pana dyrektora... Pomóc przyszła, bo my tu już dwie noce i trzeci dzień... Tyle bielizny, że rady nie dajemy... Niepotrzebnie się usprawiedliwia, Donat nie ma pretensji o Heńkę ani o to, że praczki szpitalne same nie dają rady. Chciałby tu pozostać jak najdłużej - aby tylko jak najdalej myśla od swojej sprawy z Ireną, z Łucją, z Łucją i z Ireną. Pyta dobrodusznie:

- I czemuż to, proszę, przeze mnie taka przykreść?

- A bo chłopaka miałam, Zdzisiek Borucki się nazywa, nieporozumienie towarzyskie z kolegą zaszło, no i ten drugi, ten kolega, ten Feliksiak, tu w szpitalu teraz leży. Borucki ukrywał się, ale jak szpital o krew prosił, przyszedł. No i przyuważył go wtedy pan prokurator, nakrył. Nie wyjdzie mój Zdzisio, aż za parę latek. Toteż i mówię, że przez pana dyrektora. I przez swoje miętkie serce. Ale niech tam, może i lepiej tak. Nie chcę takiego łobuza. Mnie by się zdał jaki poważny, stateczny rzemieślnik...

Heńka zerka w kącie pralni. Słowa jej najwidoczniej posiadają konkretnego adresata i ukryty cel. W kącie pralni Donat dostrzeżga elektryka, Kraskę, popijającego herbatę i zagryzającego ją skibką chleba ze smalcem.

- Do domu byś skoczył, Bolek - burczy stara praczka odbierając od Kraski pusty kubek i splukując pod kranem - dwa dni żeś w domu nie był, dzieciaki samopas...

- Nie mogę - mruczy Kraska niezadowolony, że na niego zwrócono uwagę - tu cała sieć to prowizorka... Jakby co, to bez prądu zostaniecie. A tam sąsiadki pilnują.

- Też mi opiekunkę dla dzieci znalazł - prycha pogardliwie Heńka - Frania Koralczyk jako przedszkolanka!

Kraska wzrusza ramionami. Co na to poradzi. Donat przypomina sobie, że już w nocy szukał tego człowieka, żeby mu przekazać wiadomość:

- Telefonowałem wczoraj wieczorem do Warszawy, panie Kraska. Stan żony jeszcze ciężki, ale zdaje się, że wyjdzie z tego.

Kraska nie bardzo wierzy Donatowi, ale nie chce i boi się urazić go swoją niewiarą, dziękuje, jak umie, pokornie, uniżenie, aż Julianowi robi się przykro i smutno.

Znów krąży po szpitalu, aby tylko nie myśleć o Irenie. Chwilami rzeczywiście udaje mu się zapomnieć. Na porodówce krzyczy kobieta, echo jej nieludzkiego wycia niesie się daleko po korytarzach. Gdy krzyk milknie, z sali porodowej wychodzi doktor Kora, spocony i czerwony na twarzy, w poplamionym krwią fartuchu:

- No, mamy nowego obywatela miasta Nowobory. Świetny chłopak, cztery kilo osiemdziesiąt żywej wagi... - mówi wesoło do Donata zakładając czyste fartuch.

- Kleszcze były - domyśla się Donat i pyta życzliwie, ujmując starego lekarza pod ramię. - A wy jak się czujecie, panie kolego? Może byście pojechali do domu trochę odpocząć?

Kora mruga zaczerwienionymi z niewyspania powiekami:

- Pytać lekarza w szpitalu, jak się czuje, to tak, jak by dla piekarza chleb piec. Jeszcze nie całkiem do niczego stary Kora. Jakie znów spanie, kiedy teraz mam obchód moich rannych.

Prócz swojej normalnej pracy Kora sprawuje bowiem także opiekę nad kilkunastoma lżej rannymi. Z trudem nadąża za Donatem, gdy idą razem korytarzem. Sapie z wysiłku i zwierza się:

- Na początku ogromnie prędko czas leciał. Ledwo człowiek nadążał ze wszystkim. A teraz to się dłuży każda godzina. Myślałem: już druga, a tu patrzę, jedenasta dopiero.

- W nocy - mówi do Donata Firmin popychając wózek z rannym na salę opatrunkową - myślałem tylko o tym, żeby dotrzeć do rana. Ale teraz już mi przeszło. Może w ogóle z tym snem to przesada?

Ale Donat wie, że to bynajmniej nie przesada. Gdy spogląda na swój własny zegarek, stwierdza z przerażeniem: minęła dopiero godzina, od kiedy rozpoczął swoją wędrówkę po szpitalu, jemu zaś zdawało się, podobnie jak Korze, że błąka się tak już wiele godzin od pralni do laboratorium, od laboratorium do apteki, od apteki do sali porodowej, aż teraz dotarł znów do chirurgii. Nie chce - a wciąż tu wraca. Nie, ze snem to stanowczo nie przesada. Wystarczy spojrzeć na pielęgniarkę, która zbliża się, niosąc taczkę pełną instrumentów i lekarstw. Widać jak ślania się na nogach. Dziewczyna nie dostrzega Donata, wpatrzona w zegar, taki sam jak w gabinecie Juliana, zawieszony na ścianie w końcu korytarza. Uśmiecha się, trącając łokciem półprzymknięte drzwi salki, Donat zaś dziwi się: „Cóż to jej tak wesoło, kiedy ledwo się trzyma ze zmęczenia?”

Donat nie wie, że siostra Flora Dyląg ma nie ogólne, spowodowane zmęczeniem, lecz osobiste powody, by często spoglądać na zegar. Co sto dwadzieścia minut czas na kolejną dawkę antybiotyków, zapisanych chorym i rannym na tej sali. W tej sali leży Marek Lenda. A zatem - co sto dwadzieścia minut nadchodzi godzina, mająca w oczach Flory twarz Marka. Flora czeka na tę godzinę niecierpliwie. Gdy otwiera drzwi sali, czuje za każdym razem, że zamiera w niej serce. Za każdym razem stara się na początku nie patrzeć w tę stronę, gdzie na wózku - bo łóżek przecież zabrakło - ciemnieje plama głowy Marka na tle otaczającej go bieli. Ten moment umyślnej zwłoki gniewa ją i zarazem sprawia drażniącą przyjemność. Wyobraźnia człowieka zakochanego jest wielokrotnie bogatsza od rzeczywistości. Zakochani - sami o tym nie wiedząc - bardziej przeżywają swe szczęście, czekając na ukochaną osobę, aniżeli wówczas, kiedy osoba ta znajduje się już przy nich. Flora zaś jest zakochana. Przeżywa nieoczekiwanie i gwałtownie nawrót miłości do Marka. A może wcale nie przestała go kochać, gdy z

zachłannością dziewczyny, wspinającej się z trudem po drabinie zawodowego awansu, porzuciła go dla Firmina?

Z Firminem zawsze czuła się obco, skrępowana. Męczyło ją stałe czuwanie nad sobą: żeby nie zrobić albo nie powiedzieć czegoś, co by tamtego raziło czy śmieszyło. Już sama tylko myśl o Marku - nawet bez przebywania z nim stale - stanowi coś w rodzaju wydostania się na wolność, na świeże powietrze z dusznego zamknięcia. Z Markiem można po prostu - można być sobą, nie trzeba okazywać zbytnej pewności siebie, można pozwolić sobie na zły humor i na chichotanie z byle jakiego powodu. Można mieć spuchnięty od kataru nos i śpiewać fałszywie: „Ciao, ciao, bambina”. Marek wprawdzie nie wkłada codziennie świeżej, białej koszuli, nosi skarpetki, na których cery podobne są do wielobarwnych map, ręce ma twarde i szorstkie od smarów i metalu - ale Marek potrafi się śmiać z całego serca, wesoło, do rozpuku, i tak ładnie umie zapytać:

- Co ci to dziś, Florka? Zmartwienie jakie masz, powiedz.

Firmin nad ranem po skomplikowanym opatrunku kobiety, której Łucja robiła trepanację czaszki, odezwał się do Flory z odcieniem pobłażliwej ironii:- Wiesz, mogłabyś nawet kiedyś zostać niezłą instrumentariuszką. Ale ty pewno za mąż wyjdiesz za tego swojego Cygana i będziesz pół tuzina dzieci za sobą wodzić. No bo chyba poświęcisz się dla niego, nieprawda? Kobiety lubią się poświęcać.

Dawniej Flora płakałaby, rozpamiętując przez całą noc tę złośliwość, ale teraz ma oczy suche i błyszczące. Myśli: „Żeby tylko Marek chciał ode mnie tego poświęcenia, żeby chciał”.

Rano, już przytomny, ale nadal bardzo osłabiony i gorączkujący, szeptał, gdy zmieniała mu opatrunek, dotykając delikatnie jego gładkiej, jędrnej skóry, noszącej jeszcze teraz ślady letniej opalenizny:

- Ja nie chcę... Odejdź. Niech ktoś inny. Nie męcz mnie. Przecież nie musisz ty... Po co ty tak... dlaczego? Idź, idź do niego, do swojego eleganta... Po co tu przychodzisz? Żebyś sobie znów wszystko musiał przypominać? Ja już zapomniałem... prawie. A ty znów...

Odpychał ją, szarpał się, miotał na wózk, raz udało mu się wyrwać z jej rąk strzykawkę.

Tak więc zaraz Flora zobaczy Marka. Pomimo wszystko uśmiecha się i ten uśmiech odbija się zdziwieniem w oczach Donata. Na zegarek zaś Flora spogląda z wdzięcznością: jest wdzięczna tej godzinie jedenastej, że ukaże jej ona twarz Marka i potem Flora będzie mogła znów oczekiwać z zapartym tchem godziny pierwszej, aby i ją witać ze smutną radością.

Białe zimowe słońce zalewa salkę i oślepia wchodzącą. Toteż Flora dopiero gdy znajduje się blisko, tuż przy wózk, Marka, spostrzega, iż obok niego na stołeczku siedzi młoda dziewczyna o niedbale spadających na twarz włosach i wyrazistych szarych oczach. Uśmiecha się arogancko na widok Flory. Markowi, jak się wydaje, obecność jej wcale nie przeszkadza.

Flora zatrzymuje się niezdecydowana. Nie wie, czy przeprosić tę osobę, która wydaje się jak gdyby znajoma, czy zapytać, kim jest i skąd się tu wzięła. Niespodziewanie zjawia się odsiecz. Za plecami Flory rozlega się głos Donata:

- Monika, co ty tu robisz?

Flora już sobie przypomniła: to legendarna córka doktor Bitmarowej. Opowiada się o niej po cichu w szpitalu wiele różności. Monika wstaje niechętnie i idąc w stronę drzwi wyjaśnia tonem na pół kpiącym, na pół znudzonym:

- Mama powiedziała, że jeżeli już lepiej się czuję, żebym poszła zobaczyć, czy nie trzeba gdzie pomóc...

Flora odwija prześcieradło i robi Markowi zastrzyk. Ręka jej lekko drży. Mówi:

- Skończone - i unosząc głowę patrzy na Marka.

- Tak, skończone - odpowiada jej Marek. Jego oczy jak by nie widziały Flory, spoglądają gdzieś w przestrzeń, ponad jej głową. Głos ma chłodny, obojętny.

„To najgorsze - myśli Flora. - Najgorsze, co tylko mogło się zdarzyć.” Chce krzyknąć: „Nie, nie tak! Nie zrozumiałeś mnie! Ja przecież powiedziałam o zastrzyku...” - ale nie może przemówić. Obok niej stoi Monika z drwiąco-uprzejmym wyrazem twarzy, za nią zaś Donat, oglądający z zainteresowaniem kartę chorobową Marka Lendy.

Gdy Flora wychodzi, dzwoniąc cicho szkłem i instrumentami spiętrzonymi na tacce, Monika zajmuje z powrotem swoje miejsce przy Marku.

- Czy to twoja dzidzia ta pielęgniarzka? - pyta obojętnie, poprawiając ładnymi, długimi palcami, o niestarannie utrzymanych paznokciach, zsuwający się z nogi szpitalny kapeć.

Marka razi ten ton. Mimo wszystko przykro mu, że ta dziewczyna tak mówi o Florze. Gdyby nie to, iż ciekaw jest, co to za okaz ta Monika, gdyż w ogóle interesują go różni ludzie, odwróciłby się na drugi bok i udał, że śpi.

- Moja dzidzia...? Dlaczego tak sądzisz?

- Ona kocha się w tobie - stwierdza Monika z dużą pewnością siebie.

- Skąd wiesz? Mówił ci kto?

- Nikt mi nie mówił. To się widzi. A zresztą, nic mnie to nie obchodzi. Opowiadałeś coś o tym waszym klubie i o tych, co tu piszą, kiedy nam przerwano.

Monika słucha Marka piąte przez dziesiąte i myśli: „To, co on mówi, też mnie właściwie nie obchodzi ani nie interesuje. Ale chłopak zabawny. Jeżeli mam tu kisać przez jakiś czas w Nowoborach, a kisać muszę, zanim z szanowną mamą nie załatwię moich spraw, pobawię się trochę z nim. Na złość poderwę go tej cizi z sowimi oczami.”

- Grasowało tutaj takich dwóch - opowiada Marek - w sekcji literackiej naszego klubu. Mamy taki klub, wiesz, trochę sportu, trochę krajoznawstwa, kilkaset książek, adapter, płyty. No i ci dwaj, jeden u nas w fabryce pracował w planowaniu, a drugi szkołę skończył i nic nie robił, jego matka jest bibliotekarką w miejscowej bibliotece, ciężko pracuje, żeby synek mógł się wałkonić... Więc ci dwaj, Zazula i Koziółek, postanowili założyć kabaret literacki. Nazywał się „Konewka”. Na początku było jako tako. Parę deklamacji, Gałczyński, taką jedną ładną dziewczynę tu mamy - jest sekretarką w Radzie Narodowej - kilka piosenek zaśpiewała. Nic wielkiego, ale dość przyjemnie było. A potem oni zwariowali na nowoczesność. Sami zaczęli program pisać. Zazula napisał jeden wiersz, który

pamiętam do dziś, bo później, jak tylko ktoś się wygłupiał, tośmy go tym wierszem straszili. Ze śmiechu nie mogliśmy się pozbiierać. Szło to tak:

Moje ręce dwie szubienice
wyciągam wyciągam wyciągam w tobie
twoje oczy dwa pudełka szprotek
życie kapie
woda z zepsutego kranu
miłość miejski ściek.

- Ładne, co? - roześmiał się jasnym, szerokim, niemal dziecinnym śmiechem i syknął z bólu. - Psiakość, zapomniałem o tej nodze i moim boku. Śmiać się nie mogę. Cały program się nazywał „Po co to wszystko?” Dochód oczywiście był nijaki, Madzia, ta sekretarka, uprosiła Migotka - to jej szef, nasz wiceprzewodniczący Rady - z funduszu kulturalnego dołożył. Ale że w następnym programie nie było dla niej żadnego numeru, to i forsy „Konewka” już nie dostała więcej, studzienka wyschła. A Zazula i Koziołek urwali się do Wrocławia na szerokie wody.

- Nie widzę nic śmiesznego w tym wierszu - zauważyła z wyższością Monika mentorskim tonem. - Bardzo ciekawe ujęcie. Zdaje się, że czytałam jakiś utwór tego Zazuli, drukowany w „Nowoczesności”. Poeta wypowiada swoje treści wewnętrzne, swoje widzenie świata...

- No wiesz! - zachnął się Marek - dobre sobie widzenie świata! Żal mi jego i tych, co tylko tyle potrafią ze świata zobaczyć. A właściwie to ci powiem, że co do jego treści wewnętrznych, jak to uczenie nazywasz... mam pewne wątpliwości, czy je posiada. Czy to nie jest tak, że gdyby te treści streścić, powstałoby zero i nawet nie wielkie zero, lecz zupełnie małe, maleńkie.

Monika strzepnęła popiół z papierosa na podłogę. Zawahała się przez chwilę i zaryzykowała z lekkim przekąsem:

- Sądzę po prostu, że pewni ludzie pewnych rzeczy nie są w stanie zrozumieć. On wyrósł ponad przeciętność Nowoborów. Ostatecznie... Nowobory... - zrobiła nieokreślony ruch ręką.

Pomyślała: „Opowiem ferajnie po powrocie, że dyskutowałam o współczesnej poezji z pozytywnym bohaterem, praktykującym chóralne śpiewanie «Karolinki». Aha, i Zazulę można będzie też przy okazji «zrobić» na wariata z tym kabaretem w Nowoborach. Będzie się z czego pośmiać, bo ferajna coś za bardzo ostatnio skapcała, też właściwie wszyscy są nudni i każdy tylko o tym, że coś by trzeba, ale nic się nie chce”.

Marek oburzył się:

- A cóż ty sobie myślisz, że w Nowoborach ciemna masa mieszka? U nas ludzie lubią czytać, sporo się czyta, dużo się dyskutuje. Jeden od nas w zeszłym roku na ogólnopolskim konkursie recytatorskim nagrodę dostał. Ale my lubimy dobre książki, dobre wiersze. Żeby było się nad czym i zamyślić, i jakoś tak... bo ja wiem, wzruszyć, zastanowić. Żeby w życiu pomogły. Bo życie mamy trudne, wiesz? I powiem ci: gdyby ten Zazula, zamiast od matki forsę ciągnąć, musiał tak... od rana do wieczora fest popracować, przy maszynie postać, aż nogi w ziemię wrastają, spocić się w upał, że grzbiet jak by kto solą posypał... a w zimie palce drętwieją, nie czujesz ich, drewniane, dopiero jak uderzysz o co, to ciarki z bólu przechodzą. Ot, gdyby tak musiał, to życie by mu nie kapało jak woda z zepsutego kranu. I albo przestałby pisać, bez szkody dla poezji, albo pisałby inaczej.

- A ty co robisz? - spytała od niechcienia Monika. „Nie dogadam się z nim. Zresztą, czy warto?” pomyślała.

- W fabryce pracuję na oddziale łożysk tocznych. Tylko technikum skończyłem, bo ojca niemieccy dywersanci zabili. Matkę mam, siostra liceum w tym roku kończy. Kiedy ona skończy, to ja na wieczorówkę pójde, trzeba się uczyć dalej. A ty uczysz się?

Monika pokręciła się na stołeczku, jak gdyby nagle zrobiło się jej niewygodnie. Nie lubiła mówić o sobie. Należała do typu ludzi, mających zwyczaj otaczać się mgiełką tajemnicy i

niezwykłości. Wydaje im się, że w ten sposób przydają uroku swojemu, niezbyt interesującemu w gruncie rzeczy, życiu. Nie powiedzą: „Idę do sklepu kupić skarpetki”, tylko: „Wychodzę, bo mam pewne sprawy do załatwienia”. Odpowiedziała nonszalancko:

- Tak... Właściwie tak... Ale nie odpowiada mi kierunek moich studiów. Polonistyka. Może przeniosę się na coś innego. Teraz przerwałam. Mam pewne zamiary... Studia mi przeszkadzają...

- To ty masz możliwość się uczyć i nie chcesz? - oburzył się Marek. - Przecież matka ci na to daje pieniądze. Ona też tu ciężko pracuje. Jak ci nie wstyd?

Monika wzruszyła niechętnie ramionami:

- Wstyd? - spytała ze zdumieniem. - A dlaczego ma mi być wstyd? Nie umiem się niczego wstydzić, niczego, co robię. Robię zawsze to, co mi się podoba, jak mi wygodnie, i dlatego nie widzę powodu do wstydu. Ja się na świat nie prosiłam. Skoro mnie urodziła, jej obowiązkiem jest utrzymać mnie.

- A co twoja matka na to? - czarne oczy Marka błyszczały gorączką i podnieceniem.

„Ładny chłopak. Jaki ładny chłopak” - przemknęło przez głowę Moniki. Odchylony kołnierz szpitalnej koszuli odsłaniał mocną, gładką szyję, śniada twarz miała rysy wyraziste, trochę kanciaste - jak u bohaterów amerykańskich „westernów”; zaskakiwały jednak usta o łagodnym, niemal kobiecym wykroju. Równoważyły tę miękkość ciemne, zrosnięte nad nosem brwi. Płaszczyna wysokiego, wypukłego czoła kusila, by położyć na niej rękę. To czoło należało do mężczyzny, na którym można polegać, włosy nad czołem, lekko kręcące się, niesforne - do chłopca lubiącego jeszcze płatać psoty. Cały Marek składał się z niespodziewanych zestawień, zaskakujących i sprzecznych elementów. Monika poczuła, że zaczyna jej na nim zależeć. Chce go mieć. Chce, ale nie będzie się wysilać ani zgrywać na inną, niż jest. Nie będzie udawać. Zresztą, za późno na wycofywanie się.

- Nic mnie nie obchodzi, co sądzi moja matka o tym, co ja robię. To moje życie, a nie jej. Ja w jej sprawy też się nie

wtrącam, chociaż, prawdę rzec, niemało mi życia napsuła. Nie umiała urządzić naszego życia, ani swojego, ani mojego, to niech się nie pcha z dobrymi radami.

- Słuchaj, ty... - Marek z trudem szukał słów - to ty... ty wcale chyba twojej matki nie kochasz, jeżeli ty tak...

Monika wlokła się wolno korytarzem, człapiąc zbyt dużymi kapciami. Marka zabrali na opatrunek, na korytarzu czekała jego matka z koszyczkiem, z którego wystawała szyjka butelki z mleczną kawą, złościł się przez odwinięty rożek papieru kawał domowego ciasta z kruszonką i czerwienilo się apetycznie piękne jabłko. Więc to jest ta kobieta, którą Marek kocha - jak to powiedział - najwięcej ze wszystkich na świecie, chociaż i pokłóca się nieraz w domu, bo wiadomo, matka stara, już wiele z tego co dzieje się na świecie, nie rozumie.

Jak to on powiedział? „Ty wcale chyba twojej matki nie kochasz”. Idiota. Przede wszystkim w ogóle opowiadanie o tym, czy się kogoś kocha, czy nie, i o tych tam różnych osobistych historiach - uważane jest przez Monikę i jej otoczenie za nieprzyzwoitość. Jeżeli się to nawet robi, to się tego nie mówi. W pisaniu to co innego. To raz. A dwa: ile racji zawiera to stwierdzenie Marka?

Monika nie bardzo wie, co ma ze sobą robić. Przecież nie będzie łązić po szpitalu i zgłaszać się na ochotnika do pracy. To byłby wygłup, ale nie w zabawnym, uprawianym przez Monikę, znaczeniu tego słowa. Jeszcze się napruje na tę cizję Marka, co to tak kretyńsko wybałuszała na nią oczy, kiedy ją zobaczyła przy jego łóżku. Usłuchała Łucji tylko dlatego, że chciała pójść zobaczyć dziwnego czarnego chłopaka, zapamiętanego z autobusu. Zrobił do niej wtedy oko. Potem leżeli obok na korytarzu, dopóki Łucja nie zabrała Moniki do swojego pokoju.

Najlepiej będzie, jeżeli Monika pójdzie z powrotem do pokoju Łucji. Może znajdzie tam co do czytania, a może prześpi się, co Monika bardzo lubi. Łucji nie ma, zajęta, będzie spokój.

Pokój Łucji jest skromny, bardzo skromny. Monika, ciekawa trochę życia Łucji, tajemnic życia Łucji, szpera po kątach. Żadnych listów, papierów, trochę książek medycznych, „Komu bije dzwon”, „Kraksa” Durrenmatta, wypożyczone z miejskiej

biblioteki, jak gdyby Łucja uparła się, żeby nie mieć w domu nic swojego, nic własnego, nic z tego, co stanowi przedmiot starań, przyjemnie obciąża na codzień, a gromadzone latami tworzy wokół człowieka otoczkę, jemu tylko właściwą. Jak zakonnica. Albo niby po potopie, uratowana tak, jak stała, i wciąż gotowa w każdej chwili bez bagażu wskoczyć z powrotem do zbawczej łodzi.

Na stoliku obok tapczana stoi tylko popielniczka, koło niej zaś nieduża fotografia Moniki. Monika zadaje sobie pytanie: czy to taka demonstracja, bo wypada mieć fotografię córki pod ręką, żeby pokazać, jeżeli ktoś zainteresuje się: „A jak też Córeczka pani wygląda?” - czy rzeczywiście zdjęcie to stanowi jakąś wewnętrzną, uczuciową potrzebę Łucji.

Zdjęcie stare, sprzed kilku lat, gdy Monika nie miała jeszcze odwagi przemawiać do Łucji tak, jak obecnie. Widnieje na nim młoda dziewczyna, uczesana w „koński ogon”, o dużych, zamyślonych oczach i nikłym, smutnym uśmiechu w kąciku pełnych warg. To był czas, kiedy Monika zaczynała rozumieć, ale nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co dzieje się w domu między rodzicami.

Czy Monika kocha Łucję? Czy Łucja kocha swoją jedyną córkę, Monikę? „Cóż za pytania, mój naiwny pocziwczę o czarnych, wesołych oczach. Mój pozytywny bohaterze z Nowoborów, toczący jakieś tam łożyska, czytający Gałczyńskiego i kochający swoją matkę, chudą starowinkę, zaciskającą na wpadniętych piersiach końce kraciastej chustki spracowanymi rękoma, na których nawet w półmroku korytarza widać wypukłe, niebieskie żyły...

Cóż ty możesz wiedzieć o takim życiu, jak moje, prostaczku kochany, co zadajesz pytania bezwstydne i proste, na które nie spodziewaj się ode mnie odpowiedzi”.

Monika była jeszcze zupełnie mała, kiedy spytała Łucję:

- Mamusiu, a co to takiego morfina? Łucja odwróciła się wtedy gwałtownie.

To... To takie lekarstwo, Moniczko... - odpowiedziała zdławionym głosem. Cóż można dziecku powiedzieć o morfinie?

- To dlaczego, mamusiu, nie chcesz dać tatusiowi tego lekarstwa? Tatuś pewno chory, jeżeli tak prosi. Kiedy ja jestem chora, i ty, i ciocia Alicja każecie brać lekarstwa, żebym była zdrowa. Daj tatusiowi tej morfiny, przecież krzyczy, że go boli.

Zobaczyła nad sobą Łucji tak pociemniałe z gniewu, że wydały się czarne, i twarz wykrzywioną nie do poznania.

- To i ty też?! Ty też... z nim? Przeciwko mnie? Dziecko zasłoniło oczy rękoma. Ręka Łucji, uniesiona dla zadania ciosu, nie spadła na ramię dziewczynki, ścisnęła tylko to ramię tak mocno, że czerwonym śladem odbiły się na nim wszystkie palce. Monika wydedukowała: mama jest niedobra dla ojca.

Czasami na całe tygodnie odwożono ją do cioci Alicji, siostry Łucji. Tam, kiedyś wieczorem, udając, że śpi, podsłuchiwała rozmowę obu sióstr, prowadzoną w drugim pokoju. Mówiła Łucja:

- Ja oszaleję, zobaczysz, że niedługo oszaleję. Gdyby nie Monika, rzuciłabym wszystko i wyjechałabym gdzieś. Wiesz, do tego dochodzi, że czasami przez to nienawidzę Moniki. Przez to, że nie mogę od niego po prostu sobie odejść i przez to, że chwilami staje się do Pawła tak bardzo podobna. To straszne, wiem, ale nie mogę na to nic poradzić.

- Przecież kiedyś go chyba kochałaś - odezwał się głos ciotki Alicji.

- Nie, nie, nie mów tak. Podobał mi się chyba, ale nie kochałam go nigdy. I matka wiedziała o tym, a namawiała: „Mało to kobiet bez miłości wychodzi za mąż i są szczęśliwe, najważniejsze, że on ciebie kocha. Nam ciężko, trwa wojna, i tobie, i nam będzie źlej, kiedy jeszcze jeden mężczyzna znajdzie się w domu, inwalida, takiego to zawsze nawet z łapanki wypuszczą”. Nie pamiętasz, jak to było? I ciebie też tak samo za mąż wypchnęli - głos Łucji brzmiał taką gorzką ironią, takim gniewem i nienawiścią, że Monika zadrżała w swoim łóżeczku.

„Mama mnie nienawidzi” - tak wyglądał drugi stopień edukacji i wtajemniczenia Moniki w sprawy rodziców.

Dorastającego dziecka krępowano się coraz mniej. Otwarcie, przy dziewczynce, toczono spory, w których padały oskarżenia ciężkie i złowroźne. Paweł skarżył się Alicji:

- Te tony, jakie moja żona przybiera w stosunku do mnie! Wciąż mi daje do poznania, że ona to coś lepszego ode mnie. Bo ja tylko urzędnik ze średnim wykształceniem, a ona pani doktor. Zarabia dwa razy więcej. Może się ze mną zupełnie nie liczyć. Przez nią się zmarnowałem.

Dorastająca dziewczynka ma swoje potrzeby i kaprysy. Wiedziała: pieniądze można dostać od matki. Z ojcem nie trzeba się liczyć. A więc - niech żyje fałszywa uległość.

Kiedyś Paweł zbił przy Monice Łucję do nieprzytomności. Przyglądała się tej scenie prawie obojętnie, z odrobiną podniecenia, niby walkom bokserskim na dodatku filmowym. Miała też odrobinę satysfakcji, widząc sponiewieraną Łucję. Przestała się jej bać, przestała ją szanować, nie okazywała już potulności. Paweł budził w niej wstręt. Niczego po nim w życiu nie mogła się spodziewać, a zatem nie liczył się. Traktowała go z góry, pobłażliwie - jeżeli nie było przy tym Łucji.

Niecały miesiąc temu Paweł został wypisany z sanatorium. Gdy Łucja wyjechała do Nowoborów, mieszkanie Bitmarów zabrał kwaterunek. Monika mieszkała u Alicji. Paweł tułał się po krewnych i znajomych, z pracą miał trudności, od morfiny podobno go odzwyczajono (nie na długo - przepowiadała Alicja), ale za to zaczął pić. Zawsze znajdzie się ktoś, kto postawi wódkę.

- Powinnaś pójść do ojca - radziła ciotka Alicja - może mu to dobrze zrobi. Zajmij się nim trochę, jesteś już dorosłą osobą.

Monika wzruszyła ramionami:

- A po co?

Przy okazji jednak, jadąc do Nowoborów, postanowiła popsuć humor Łucji sprawą Pawła.

Kiedy Monika ocknęła się z szoku, Łucja nie usłyszała już ponownie z jej ust pieścizotliwego „mamo”. Po swojemu, arogancko, natarczywie, z wielką pewnością siebie, na pytanie, po co przyjechała, domagała się pieniędzy:

- Ja polonistykę już dalej studiować nie myślę. Nauczycielką w Kozich Bobkach Małych za paręset złotych nie będę. Zakładamy teatr eksperymentalny, a ja zostałam jego kierownikiem literackim. Prócz tego zaczęłam pisać sztukę.

Łucja przywykła już do „pomysłów” Moniki. „Bo najważniejsze, żeby mieć pomysł” - to hasło Moniki. Pomysł na wszystko: na wiersz, na zgrywę, na miłość, na to, jak by tu wdechowo i nie wysilając się zbytnio przeżyć życie. Więc Łucja mówi ostro, sucho, szorstko:

- A ja ci na to pieniędzy nie dam. Bo przecież tego chcesz ode mnie. Albo będziesz się uczyć, albo idź pracować.

Wtedy Monika sięga do swojej utajonej broni:

- Nie wiem, czy ciotka Alicja pisała ci, że ojciec wyszedł z sanatorium. Pęta się po Warszawie, nic nie robi. Widzieli go pijanego w drobny mak. U nas też raz się zjawiał w tym stanie. Uważam, że musisz coś z tym zrobić. Nawet domagam się tego od ciebie. Ostatecznie to twój mąż i mój ojciec. Nie chcesz dać forsę mnie, to jemu musisz dać. Wstyd robi. Nachodzi mnie o pieniądze. Zerwał mi kiedyś próbę naszego zespołu. Ja się na to nie zgadzam, słyszysz, nie zgadzam się na to, żeby mi dalej psuć życie. On i ty, wy razem, słyszysz? A utrzymywać mnie musisz, takie jest prawo, do Sądu ciebie podam i wygram! Słyszysz? Do Sądu!

Głos Moniki rośnie w histeryczny krzyk. Wie o tym, robi to naumyślnie, nagrywa tę scenę, przypatruje się spod przymkniętych powiek, jakie sprawia wrażenie na Łucji. Wie, że Łucja tego nie znosi, że Łucję to męczy i boli. Wreszcie Monika rzuca się na tapczan i wybucha donośnym łkaniem.

Łucja najpierw zaciska ręce w kieszeniach fartucha - to jej zwykły, obronny gest, potem wyciąga je w górę przed siebie, niby dyrygent nakazujący orkiestrze „piano, pianissimo”, i woła:

- Monika, przestań! Przestań natychmiast! Czy ja będę miała kiedykolwiek w życiu spokój?

- Ty za swój spokój - syczy Monika unosząc głowę znad poduszki - i jego sprzedałaś, i mnie...

A Marek Lenda pyta, wytrzeszczając swoje naiwne, czarne oczy, czy Monika kocha matkę. Jeżeli to jest miłość, to jak wygląda, jaki ma smak nienawiść? Kiedyś ferajna Moniki urządzała sobie taką zabawę: zbierali się i przy winie opowiadali, co najgorszego każdy z nich o sobie może

powiedzieć. Różne świństwa i podłości. Prześcigali się w nich nawzajem. Kto gorszy? Być złym - oto fason. Monika opowiadała różne rzeczy: to, co miało miejsce, i to, co w rzeczywistości nigdy się nie zdarzyło. Zmyślała. Nigdy jednak nie wspomniała słowem, jak na przykład naumyślnie wykradała Łucji recepty, otwierając szufladę podrobionym kluczem, wypisywała na nich dawkę morfiny i dawała je Pawłowi. Łucji zwierzała się zaś szeptem, że widziała, jak Paweł wykradał jej z biurka blankiety. Nie potrafiła „ferajnie” powiedzieć, że nienawidzi matki i że pogardza swoim ojcem.

Teraz patrzyła na swoje własne zdjęcie, znalezione na nocnym stoliku Łucji, i wzbierała w niej gorycz. Dlaczego to wszystko tak się jakoś poplątało? Dlaczego jej matką jest ta dziwna kobieta, której nie rozumie, która jej też nie rozumie, dlaczego nie jest jej matką na przykład taka poczciwa, dobra starowinka, umiejąca piec świetne placki, jak matka Marka?

Ma ochotę rąbnąć tym zdjęciem o podłogę. Ramka, jak by posłuszna jej chęci, zsuwa się z kolan na ziemię. Nic z tego: szkło osadzone w niej i chroniące zdjęcie nie tłucze się, bo cały pokój jest wyścielony linoleum. Ale za to bystry wzrok Moniki dostrzega pod stołem małą kulkę z papieru. Podnosi ją. Kulka wygląda tak, jak gdyby ktoś zmiął w wielkim pośpiechu nieduży świstek i rzucił go byle gdzie, bez zastanowienia. Monika rozwija papier i wygładza starannie. Nareszcie coś, co może zdradzi jej któryś z zazdrośnie strzeżonych sekretów Łucji. Ładne, kiedyś staranne, lecz teraz nerwowe pismo Łucji. Litery biegną w rozsypce, potykają się jedna o drugą, jak by uciekały w popłochu. Układają się w słowa, które z trudem odczytuje szeptem Monika:

„Popelniam samobójstwo. Zażyłam cyjanek. Nikt nie jest temu winien, tylko ja sama. Po prostu, jestem nikomu niepotrzebna, a ta świadomość nie pozwala mi dłużej żyć. Nikogo z rodziny zawiadamiać nie należy. Łucja Bitmarowa”.

Dlaczego Łucja nie spełniła tego zamiaru? Co ją od niego odwiodło? Gdzie ten cyjanek? - zastanawia się Monika i nie zdaje sobie sprawy z tego, że twarz jej wykrzywia złośliwy,

triumfujący uśmiech. Chowa starannie karteczkę w głębokiej kieszeni szpitalnego szlafroka.

Łucja w tej chwili znajduje się daleko myślami od porzuconej niedbale karteczki i spraw z nią związanych. W gabinecie Donata tłoczno. Przyjechali konsultanci z Warszawy i Poznania. Znajduje się wśród nich profesor Łucji. Właściwie kiedy studiowała, nie był on jeszcze profesorem, stał dopiero u progu swojej wielkiej kariery. Przygląda się z zainteresowaniem swojej byłej studentce. Jaka przystojna z niej kobieta. Kiedyś była po prostu ładną dziewczyną, jak to się mówi, hożą i urodziwą - o szarych oczach, matowej, jasnoróżowej cerze i włosach koloru dojrzałej pszenicy. Dziś jej uroda straciła na świeżości, ale stała się bardziej interesująca. Może na skutek zmęczenia? Ciemne sińce pogłębiają barwę oczu. Twarz przybladła, ale za to bardziej uwydatniają się usta, nie umalowane, o delikatnym kolorze begonii, których uśmiech, gdy tylko się pojawi, przekreślają natychmiast dwie nieduże, lecz głębokie, gorzkie fałdki. Wszyscy koledzy dziwili się: kobieta wybrała chirurgię. Ale kilka lat pracy Łucji w jednej z największych klinik warszawskich rozwiało obawy. Wróżyła jej sławę. Dlaczego tak nagle uciekła z Warszawy i zaszyła się w Nowoborach?

Ktoś z obecnych przegląda plik gazet. Ani Donat, ani Łucja, ani nikt ze szpitala od paru dni nie miał gazety w ręku. Okazuje się, że w prasie pełno wzmianek i artykułów zarówno o katastrofie jak i o akcji ratunkowej, o pracy szpitala także. Są nawet zdjęcia: Łucja w masce operatorskiej, Donat pochyla się nad rannym chłopcem, trzymając go za puls. Kolejka krwiodawców. Zawilski i Firmin przesuwiają nosze.

„Wszyscy ranni będą żyć - oświadcza dr Donat, dyrektor szpitala w Nowoborach” - brzmi tytuł w jednej z gazet i profesor z Warszawy odczytuje go na głos.

- Nawet nie wiem, kiedy i do kogo to powiedziałem - krzywi się Donat. - W ogóle nie zauważyłem, kiedy tu ktoś kręcił się i fotografował.

- Ho, ho - żartuje profesor - wy prasy nie znacie, mało z nią macie do czynienia w Nowoborach. My, z Warszawy, wiemy

coś niecoś: jak co, to przed dziennikarzami nie ma ucieczki. A co do tych rannych, czy to prawda, panie kolego, czy to uzasadniony optymizm? - zwraca się do Donata.

Wzrok Donata wędruje po obecnych. Same sławy. Widuje ich czasami na zjazdach naukowych, kiedy z wysokości katedry wygłaszają referaty na temat najnowszych zdobyczy w zakresie swych specjalności. Mimo woli w tej wędrówce oczy Juliana zahaczają o zegar. Jego biała tarcza podobna jest w tym momencie do okrągłej, jasnej, życzliwie uśmiechniętej twarzy profesora z Warszawy. Zegar wskazuje za kwadrans trzecią. Ta godzina rozłożonych płasko obu wskazówek przywołała zawsze Donatowi na myśl szeroki gościniec, drogę, pełną obietnic, rozciągniętą przez całą ziemię od horyzontu do horyzontu. Ma się ochotę iść tą drogą, zdobywać świat. Dziś świat przychodzi właściwie do Juliana. Doktor Donat zdobywa sławę. Jego nazwisko figuruje w tytułach gazet. Na jego doświadczenie podczas ratowania kilkudziesięciu naraz rannych ludzi powoływać się będą, być może, podczas swoich wykładów tu obecni ludzie, z których zdaniem liczą się nie tylko w kraju. Gdyby to wszystko działo się kiedy indziej... Ale wszystko to, niestety, dzieje się właśnie teraz. Teraz zaś żadna sława nie potrafi zastąpić Julianowi tego, co stracił, tracąc Lucję.

- No to cóż, pójdziemy obejrzyć tych naszych rannych, panie kolego - profesor ujmuje przyjaźnie Donata pod ramię i całą procesją białych fartuchów ciągnie korytarzem szpitala.

Wieczorem, w tym samym gabinecie, znów spotykają się razem: konsultanci i prawie wszyscy lekarze miejscowi.

- Uważam, proszę kolegów - profesor z Warszawy ma przyjemny, niski głos, umiejętnie modulowany, znać iż przyzwyczajony do częstego przemawiania - że waszemu szpitalowi, szpitalowi w Nowoborach, należy się najwyższe uznanie. Zostało zrobione wszystko, co możliwe, a nawet zaryzykuję stwierdzenie, że zostało zrobione więcej, niż normalnie to jest możliwe, aby we własnym zakresie, wyłącznie własnymi siłami, z pomocą miejscowych kolegów, uratować życie i zdrowie pięćdziesięciu ludzi. To wielki sukces, proszę

kolegów, naprawdę wielki piękny sukces. My i cały polski świat lekarski, możemy być dumni z tego, co tu zostało zrobione. Uważam, że specjalne słowa uznania należą się naszym tutejszym chirurgom. Koleżance Bitmarowej, kolegom Firminowi i Zawilskiemu. Wiele z przeprowadzonych tu trzydziestu ciężkich, kompleksowych operacji stanowi rzadkość w naszej praktyce chirurgicznej. Ich opis nadaje się do włączenia do naukowych opracowań, proszę kolegów. Dziękuję wam.

Podczas przemówienia profesora Łucja odruchowo wkłada ręce do kieszeni fartucha i zaciska je z całej siły, żeby zapanować nad sobą. Przypomnił się jej fragment z oprowadzania profesora po szpitalnych salach. Znaleźli się w pewnym momencie w separacie. Profesor skrupulatnie badał Irenę. Podniósł głowę i spojrzał na stojącą nad nim Łucję:

- Kto operował? - spytał szorstko.

- Ja - odpowiedziała krótko Łucja i poczuła, że głos jej drży. Czyżby się pomyliła, czy zrobiła coś nie tak?

Profesor wstał. Jego mądra twarz przybrała wyraz skupienia i zamyślenia. Powiedział cicho:

- Nie wiem, czy ja sam w tych warunkach zdecydowałbym się na przeprowadzenie takiej operacji. Do tego potrzeba tyleż odwagi, co wiedzy i talentu. Wszystko w jak najlepszym porządku, oczywiście, o ile nie wystąpią komplikacje z sercem. Podziwiam. Gratuluję i podziwiam.

Łucja nic nie odpowiedziała. Pomyślała tylko: „Oto ironia mojego życia - największy sukces, który stanowi jednocześnie największą klęskę”.

Profesor przemawia, wyraża jej swoje uznanie, a jej zbiera się na płacz. Żeby tylko nie rozplakać się, żeby wytrzymać do końca. Łucja wciska dłonie jeszcze głębiej do kieszeni, jak gdyby ich płócienne dno mogło dać oparcie dla jej słabości, i nagle cała lodowacieje. Jej palce nie napotykają na opór. Kieszeń, prawa kieszeń jest pusta, nie ma w niej nic. Nie ma w niej małego, szorstkiego opłatka z cyjankiem. Musiała go zgubić. Ale gdzie? Czy nie wtedy, kiedy stała obok profesora w separacie Ireny i tak samo trzymała ręce w kieszeniach, by

powstrzymać narastający lęk? Irena poruszyła się podczas badania. Profesor poprosił, by Łucja ją przytrzymała. Wyszarpnęła wtedy nagłym gestem ręce z kieszeni i zdawało się jej, że coś nie tyle wypadło, ile wyfrunęło miękkim, cichym lotem, kreśląc białą linię w powietrzu. Całą uwagę miała wtedy jednak skoncentrowaną na profesorze i Irenie. Potem profesor ruchem, który tak bardzo lubił, zwłaszcza w odniesieniu do ładnych kobiet, ujął Łucję pod rękę i wyszli oboje z separatki.

Trzeba natychmiast tam biec, trzeba sprawdzić, poszukać. Łucja odwraca się i bez słowa wybiega z gabinetu.

- Co się jej stało? - dziwi się profesor z Poznania.

- Nerwy, panie kolego, nerwy. Nie ma się co dziwić. I jeszcze w dodatku - kobieta! - odpowiada pół żartobliwie, pół ze wzruszeniem warszawski profesor. - Swoją drogą, poważnie mówiąc, należy wam zazdrościć. Już w Warszawie świetnie zapowiadała się jako chirurg. Ale teraz już doprawdy pokazała wielką klasę. Wielką! Ogromny talent.

ROZDZIAŁ 10 PRÓG

Zaczyna się trzecia noc nieprzerwanej pracy lekarzy i całego personelu szpitala. Jeszcze nie pora na odwołanie alarmu, na uspokojenie, na spoczynek. Tu i ówdzie występują komplikacje, niektórzy ranni gorączkują, nie wszystkim minął wstrząs pourazowy, zdarzyło się kilka zapaści, opatrunki są trudne i wymagają wielkiej uwagi.

Podobno na froncie łatwiej nieraz wytrzymać psychicznie atak aniżeli obłączenie. Jeden z dziennikarzy, opisujący wydarzenia w Nowoborach, porównał walkę w szpitalu o uratowanie życia pięćdziesięciu ofiar katastrofy z bitwą. Miał wiele racji. Pierwsza noc po katastrofie przyniosła atak, walkę wręcz ze śmiercią, nacierającą jak żywioł: powódź lub huragan.

Druga - niby cień pierwszej - powtarzała jej czynności: operacje, opatrunki, zastrzyki, transfuzje, kroplówki, rentgen, co z ciśnieniem? jakie tętno? - ale już bez tumultu, bez

spontanicznych porywów. Pierwsza noc wymagała siły fizycznej, odwagi, sprawności umysłu i nerwów. Druga noc zażądała jeszcze prócz tego wytrzymałości. Po odpartym ataku umocniono się na zajętych pozycjach, ale wymiana strażaków trwała.

Ta trzecia noc najgorsza: staje się czymś pośrednim między obleżeniem i zawieszeniem broni. Wszystko niby już ucichło, sprawy mają się ku lepszemu, a mimo to trzeba nadal czuwać. I to jest najtrudniejsze, bo do tego czuwania nic już właściwie bezpośrednio nie pobudza, a przecież wystarczy chwila nieuwagi, sekundowa utrata świadomości nieodparcie pożeranej przez senność, aby zginął już raz ocalony z trudem człowiek. Laborantka zasypia nad kolejną analizą, myli się, na szczęście ktoś sprawdza, wykrywa błąd, analizę trzeba powtórzyć. Firmin przyłapuje się na tym, że pochylony nad pacjentem nie umie zdać sobie sprawy, czy zrobił mu opatrunek, czy jeszcze nie.

Już od jutra chyba szpital zacznie powracać do normalnego toku życia. Niektórych rannych można będzie wypisać, pozostanie dwudziestu kilku, a z tymi da sobie radę personel już bez pomocy z zewnątrz, z miasta. Tej nocy przekracza się więc próg, dzielący sytuację niezwykłą od zwykłego, bardziej lub mniej pracowitego dnia. Jeszcze cała uwaga poświęcona rannym, ale już mówi się i komentuje szeroko, co i o kim powiedzieli profesorowie, którzy właśnie odjechali, plotkuje się po kątach o Donacie, Łucji i Irenie i snuje domysły, co z tego wyniknie, już odżywają stare urazy i animozje, sympatie zaś i miłości domagają się powszednich, należnych im dowodów i słów.

Doktor Łobzowski, naczelnik Wydziału Zdrowia w Radzie Narodowej, zaczyna znów po dawnemu sprzeczać się z Donatem o etaty i o ślimacze tempo remontu szpitala.

Janusz Zawilski ma pretensję do Firmina, iż nie sprostował omyłki, kiedy profesor z Warszawy operację usunięcia śledziony przypisał Firminowi, podczas gdy w rzeczywistości robił ją Zawilski.

Telefonuje Janka i umawia się z Zawilskim na randkę, czyniąc mu gorzkie wyrzuty, iż ją zaniedbuje.

Bolesław Kraska decyduje się nareszcie na złożenie wizyty inżynierowi Maurycemu Jantarowi i stanowcze zażądanie od niego wypłaty zaległej premii.

Henryk Łoza w swoim mieszkaniu w blokach na pagórkowatym przedmieściu przypatruje się przez jakiś czas w milczeniu żonie. Wypłakała się, a teraz jak by skamieniała. Coś w niej się przełamało. Utraciła swój lęk przed nim, niewolniczą niemal uległość, stała się sztywna, śmiała, obca. Przegląda i przetrząsa rzeczy w szafie.

- Po co ty to robisz? - pyta Łoza. Katarzyna prostuje się, jej oczy błyszczą wrogo:

- Ano, tyle razy mówiłeś, że gdyby nie Kazik, toby; wyjechał do Hansa... To teraz chyba pojedziesz, nie?

- A ty?

Katarzyna patrzy na niego z góry, dziwiąc się temu pytaniu:

- Ja? A cóż ciebie ja obchodzi? - Znajdziesz sobie zawsze kogoś, kto ci jeść ugotuje i o bieliznę zadba. Ja tu zostanę albo do siostry do Olsztyna pojedę. Nie mam czego szukać po obcych stronach.

Mówi twardo. Nigdy jeszcze nie słyszał od niej takich słów. Zawsze się go bała. Czy nigdy nie miała do niego serca? Czy tylko lęk o dziecko, chęć zapewnienia mu ojcowskiej miłości i troski kazały jej poddawać się jego woli, jego dobrem i złym humorom? Przypomnił sobie, jak lgnęła do niego, gdy wracającej z tułaczki dał schronienie, chleb, a potem i dom.

- Katarzyna, Kasia, co ty tak... - zająknął się - ty moja żona, jakże ja sam... Sam? Tak zupełnie sam?

Słowa mu się plątały, chciał coś powiedzieć, nie umiał. Głowa opadła na ręce skrzyżowane na stole. Wysoka przegroda, wzniesiona pomiędzy nim i resztą ludzi, zawaliła się: płakał. Łzy biegły po zmarszczkach i bruzdach chudej twarzy, obmywając ją z goryczy i złości. Zmoczona łzami, stawała się jasna, chociaż skóra jej nadal pozostawała ciemna, pokryta twardym, nie golonym od dwóch dni zarostem.

- Ja tu zostanę - mówił, nie podnosząc głowy, do swoich zaciśniętych pięści - ja tu zostanę. Tu zostanę, słyszysz?!

Poczuł na ramieniu dotknięcie jej ręki. Powiedziała cicho, miękko:

- To dobrze, Henryk. Dobrze, że się tak namyśliłeś. Idź teraz do Lendowej, dowiedz się, jak tam z jej Markiem...

Wypycha go do ludzi. I słusznie. Nikt nie powinien być sam. Żyjąc wśród ludzi zbiera się łyzy. Ale i wśród nich tylko można znaleźć pociechę. Henryk Łoza przekracza próg swojego mieszkania i myśli:

„Przez ten próg cztery dni temu ostatni raz przeszedł Kazik. To próg mojego domu. Jakże mógłbym go opuścić i szukać jakichś innych, obcych progów, które nie znają kroków mojego syna?”

Marek Lenda zasypia spokojnie. Na stoliczku obok jego wózka jaskrawą, gorącą czerwienią barwi się przyniesione przez matkę jabłko. Patrzy na nie przez zmrużone powieki i uśmiecha się.

- Nie rozumiem tej Moniki... dzika dziewczyna - mamrocze ledwo dosłyszalnie.

Wydaje mu się, że ktoś się nad nim pochyla. Najpierw widzi duże, szare oczy o tak zmiennym wyrazie, że trudno powiedzieć, co naprawdę myśli i czuje ich właścicielka. Teraz są chyba smutne. Ale głos, który Marek słyszy jak przez mgłę, nie należy do Moniki. Monika rozciąga sylaby, mówi trochę przez nos, cedzi słowa. Szept, który Marek słyszy, jest szybki, pełny przejęcia, może nawet czuje się w nim hamowane łyzy. To mówi Flora:

- Marku, Marku, czy słyszysz mnie? Ja... przysięgam ci, ja nigdy już tego nie zrobię. Ja tylko ciebie, tylko ciebie kocham i zawsze kochałam. Będziemy już zawsze razem. Jeżeli tylko ty tego jeszcze chcesz. Jeżeli możesz zapomnieć. Jeżeli potrafisz mi wybaczyć.

Marek wciąż się uśmiecha, lekko, kącikami ust. Powieki jego zaciskają się. Już śpi.

Monika nie może zasnąć. Przewraca się z boku na bok na tapczanie Łucji. Kombinuje: do czego może się jej przydać

znaleziona kartka? Co by tu takiego „machnąć”, żeby zainteresować sobą otoczenie, takiego Marka na przykład, Łucję. Ponieważ żyje wyłącznie swoimi sprawami i do nich przykrawa świat, cierpi dotkliwie i głęboko, jeżeli one nie absorbują nikogo. Czuje potrzebę, żeby się nią zajmowano, żeby o niej mówiono, żeby się nią martwiono. Właściwie nawet lubi być nieszczęśliwa, znajduje w tym pewnego rodzaju ponurą satysfakcję. Może by tak na przykład zachorować, żeby Łucja musiała się nią zająć? Albo może opowiedzieć Irenie Donatowej wszystko, co wie o Łucji i Julianie?

Wstaje, wkłada szlafrok i po cichu wymyka się na korytarz. Krąży po jasnych salach i ciemnych zakątkach szpitala niby głodne zwierzę, szukające żeru. Sama nie wie, czego chce, czego szuka. Nie znajduje niczego, czym by mogła się nasycić jej nienawiść, i niczego, co mogłoby ją ugasić. Wreszcie koło północy, przyczajona za wahadłowymi, do połowy oszklonymi drzwiami pomiędzy korytarzem i klatką schodową, przyłapuje Łucję. Widzi, jak Łucja wybiega z separatki, w której leży Irena.

Twarz Łucji jest blada, ma nieprzytomny wyraz, oczy błyszczą gorączką. Przebiega obok Moniki nie dostrzegając jej i do dziewczyny dolatują urywki słów:

- O Boże, co ja zrobiłam... Co to będzie?...

Monika korzysta z momentu, kiedy Łucja, odwrócona od niej, zaczyna wspinać się po schodach. Wślizguje się na korytarz i znika w drzwiach, z których przed chwilą wyszła jej matka. Po chwili znów jednak znajduje się na korytarzu. Czuje, że twarz jej płonie z podniecenia. Szybkim krokiem, przeskakując po dwa stopnie, biegnie na oddział wewnętrzny. Tam, przy elektrokardiografie, widziała ostatnio Donata.

Łucja zatrzymała się na podeście i przystanęła przy oknie. Nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Są niezdolne do uczynienia następnego kroku. Łucja wie, że musi natychmiast odszukać Donata, ale nie ma siły. Stoi więc na tym jego ulubionym podeście, jego „mostku kapitańskim”, z którego widać zarówno część parteru, jak i pierwszego piętra, i spogląda na szybę.

Pogoda się odmieniła, ustąpił mróz, nie świecą już gwiazdy na bezchmurnym niebie, zerwał się wiatr i sypnęło gęstym,

lepkim śniegiem. Śnieg klei się do szyb. Za Łucją biel szpitalnych pomieszczeń, chodzą po nich ludzie w białych fartuchach. Przed Łucją biała szyba, jak oko zaciągnięte bielmem. Od tej bieli robi się jej zimno aż do szpiku kości. Czuje się jak człowiek w górach, który wpadł w lodową szczelinę. Jeszcze czepia się gładkich, białozielonych ścian, ale za chwilę osunie się na ciemne dno. Pułapka.

Dookoła znajdują się ludzie, lecz nikt nie udzieli jej pomocy. Dla nich wszystkich zacznie się jutro normalny, zwykły dzień, tylko ona pozostanie po tej stronie, po stronie dni, upamiętnionych w życiu Nowoborów katastrofą. Dla niej nie ma już powrotu do codziennego, zwykłego życia.

Mogłaby zapobiec temu, co stanie się z nią jutro, a może jeszcze dziś w nocy, temu, co będą robić z nią ludzie, ale nie chce. Mogłaby pójść do swojej apteczki, ma tam jeszcze różne środki. Byłby koniec. Ale Łucja tego nie robi. To byłaby ucieczka. „Stchórzyłam w życiu kilka razy - myśli. - Za drogo mnie to kosztowało w końcowym rezultacie. Nie będę umierać jak tchórz.” Łucja postanawia ponieść wszystkie konsekwencje tego, co się stało.

Jej myśl - podobnie bywa w momentach śmiertelnego niebezpieczeństwa - zaczyna pracować gorączkowo i sprawnie, chociaż, kto jak kto, ale ona przede wszystkim ma prawo powiedzieć: „Dajcie mi spokój, jestem tak zmęczona, że nie wiem sama, co robię i mówię”. A więc: jak to było możliwe? Jak się to mogło stać?

W jaki sposób opłatek z cyjankiem, zgubiony przez Łucję, zabił Irenę Donatową?

Kiedy wybiegła z gabinetu Donata, nie zastanawiała się wcale, co pomyśla i powiedzą zgromadzeni tam profesorowie i koledzy. Z początku strach kazał jej biec. Strach czasami przytępia, a czasami zaostrza wrażliwość i spostrzegawczość. Strach Łucji wzmógł jej zdolność odczuwania. Zdziwione spojrzenia mijanych pielęgniarek, salowych, sanitariuszy, łez chorych, błakających się po korytarzach, siekły boleśnie niby lodowaty grad po gołym ciele. Drzwi, drzwi pootwierane, drzwi pouchyłane - ileż drzwi w tym szpitalu? Nigdy o tym nie

myślała. Teraz wszystkie są w nią wycelowane niczym obiektywy aparatów fotograficznych. Oczy umieszczone za tymi drzwiami podpatrują i utrwalają w pamięci patrzących jej wzburzoną twarz, pochylenie pleców, świadczące o zgnębieniu, niecierpliwość rąk, przyspieszony, niepewny krok. W tym momencie z obojętnych ludzi stają się świadkami, wkraczają w krąg życia i spraw Łucji Bitmarowej. Będą mogli potem zeznawać: „Tak. Widzieliśmy między godziną ósmą i dziewiątą wieczór doktor Bitmarową, kiedy biegła przez korytarz. Była bardzo czymś zdenerwowana, bardzo poruszona. Tak jest, biegła w stronę separatki, w której leżała Irena Donatowa...”

Otwarte drzwi i badawcze oczy. Drzwi i oczy. Jak gdyby wszyscy już wiedzieli, że doktor Łucja Bitmarową, chirurg szpitala w Nowoborach, chyba straciła rozum, bo któż” jeśli nie szalony człowiek nosi ze sobą w kieszeni opłatek z cyjankiem i gubi go beztrąsko w skupisku paruset osób.

Zwolniła kroku pod ciężarem tych spojrzeń, z których każde zdawało się chwytać ją za ramię, przytrzymywać w biegu, by zajrzeć jej w twarz i żądać wytłumaczenia się z niewybaczalnej lekkomyślności.

W separacie panowały cisza i półmrok. Górne jaskrawe światło zgaszono, paliła się nieduża lampka na stoliku koło okna. Łucja pochyliła się nad Ireną. Irena oddychała równo, oczy miała zamknięte. Łucja zaczęła szukać. Na szafce Ireny tylko szklanka z wodą, tampon do zwilżania ust. Nic więcej. Łucja uklękła, wzrokiem obiegła podłogę. Pod łóżkiem Ireny coś się bielilo. Wyciągnęła rękę, wstrzymując oddech. Nie, to nie proszek: malutki, biały strzępek ligniny. - Jasne deszczulki posadzki, nienagannie wyfroterowane aż do lustrzanego połysku, przyciemnione przez półmrok, biegną równymi zakosami i zygzakami. Łucji wydaje się, iż schyla się nad wodą, którą wiatr fałduje w nietrwałą płaskorzeźbę zachodzących na siebie drobnych fal. Światło nocnej lampki odbija się w nich jasną smugą jak w wodzie blask księżyca. Gdy się zbyt długo patrzy w wodę, ma się ochotę w nią zanurzyć: woda przyciąga. Łucja chciałaby to uczynić. Gorącym, rozpalonym policzkiem przywiera do podłogi. Jest ona chłodna, gładka, śliska jak

powierzchnia rzeki, ale nie pozwala ciału wnikać w siebie, nie skryje niczego pod swoją powierzchnię, stawia opór, odpycha.

Łucja podniosła się z kłęczek. W głowie jej huczy, czuje w niej zamęt. Kotłują się jakieś myśli, których ani przychwycić, ani zrozumieć nie można, zupełnie jak gdyby myślał w niej ktoś inny, nie ona, tak niecierpliwym, że nie czeka na odpowiedź, tylko wciąż umyka, ucieka przed siebie wołając: „Co robić? Co robić?”.

Łucja rękoma błądzi po posłaniu Ireny. Może gdzieś tu, wśród fałd prześcieradeł i zwojów bandaży zawieruszyła się jej zguba? Widocznie Irena coś poczuła. Poruszyła się. Szepnęła:

- Gorąco... Pić.

Jej szept spłoszył Łucję i przeraził. Może Irena zacznie jęczeć i krzyczeć, wpadnie dyżurna siostra, będzie się dziwić, co robi tu Łucja, sama, podczas gdy wszyscy lekarze, jak wiadomo, znajdują się na odprawie w gabinecie Donata. Sięgnęła szybko po tampon. Zwilżyła go i otarła spieczone usta Ireny. Irena odetchnęła z ulgą. Powieki przestały drgać.

Kiedy Łucja wyprostowała się i odwróciła, zobaczyła, że Jantar, ubrany w szlafrok szpitalny, stoi w drzwiach i patrzy na nie obie uważnie burymi oczkami. Łucji robi się na przemian zimno i gorąco: czy widział, jak szperała po podłodze? Co sobie o tym pomyślał? Zresztą, nieważne. A może to właśnie jej jedyna szansa?

- Panie inżynierze - mówi cicho, lecz wyraźnie, zbliżając się do niego, chociaż jego twarz, przypominająca pyszczek przebiegłego i żarłocznego szczura, budzi w niej niepohamowany wstręt - czy pan nie widział może... Ja tutaj, zdaje się, że tutaj, coś zgubiłam. Taki mały biały opłatek z proszkiem. Nie zauważył go pan czasem? Albo czy nie zaglądała tu po południu sprzątaczką, salowa? Czy któraś z nich nie podnosiła czegoś z podłogi? Może pan widział... przez drzwi, Jej głos ma mimo woli ton proszący, niemal błagalny. Łucję to upokarza i denerwuje.

Maurycy Jantar odznacza się nieprzyjemnym, zimnym spojrzeniem. Łucji zawsze się zdaje, że z niej drwi, drwina zaś polega na tym, iż Jantar, oszukując, zdaje sobie doskonale

sprawę: Łucja wie o tym oszustwie i nic na to nie może poradzić. Jantar powiada na przykład:

- A tak, tak, rzeczywiście minął termin ukończenia robót w pawilonie C. No tak, w zeszłym tygodniu mieliśmy tam podłączyć wodę. Ale nie dało rady, pani doktor, absolutnie nie dało rady. Nic na to nie poradzę. Rur nie przywieźli. Nie urodzę ich, he, he, he... Chyba żeby pani doktor mi pomogła, medycyna dziś podobnież cuda działa...

Łucja wie, że to kłamstwo. W ubiegłym tygodniu widziała rury na podwórzu. Ulotniły się. Jeżeli mu to wypomni, on wykręci się: właśnie, pomylili się, przysłali nie ten przekrój, musiał odesłać. Gdy Donat skarżył się na Jantara w Centralnym Zarządzie, odpowiedzieli: „Nie mamy nikogo innego. Dobrze, że w ogóle znalazł się ktoś, kto chce wasz szpital remontować, to jest robota nierentowna. Możemy najwyżej przerwać roboty”. Prokurator Brand żąda dowodów i świadków. Kto z ludzi Jantara przeciwko niemu wystąpi? Trzeba zatem godzić się z istniejącym nieporządkiem rzeczy. Teraz Jantar cedzi piskliwym półgłosem:

- Nie, nie, nic nie widziałem, to znaczy, nie widziałem, żeby tu kto sprzątał, ani proszka żadnego nie widziałem. Pani doktor wie, czuję się tak słabo, prawie cały czas śpię. Jestem niepocieszony, naprawdę niepocieszony, że ten wypadek oderwał mnie od pracy. I powiem z żalem, że tutejsi wasi lekarze niewiele robią, żeby mnie szybciej na nogi postawić we własnym interesie... A o żadnym proszku nic nie wiem.

I Łucja znów ma wrażenie, że ten człowiek ją oszukuje. Jego pyszczek ściąga się w złośliwym uśmiechu, obnażając rzadkie, ostre zęby. Potem robi obrażoną minę. Łucją wstrząsa dreszcz obrzydzenia. Lekceważy skargę Jantara, mówi surowo:

- Więc gdyby pan coś zauważył, proszę nie ruszać, proszę mnie wezwać przez pielęgniarkę lub salową. I gdyby ktoś znalazł ten opłatek, tak samo... Niech go nikt nie dotyka. To jest... to jest lekarstwo. A właściwie - trucizna. Cyjanek. Jako inżynier, powinien się pan orientować. Może się zdarzyć nieszczęśliwy wypadek. Rozumie pan? Więc proszę...

Jantar mamrocze coś niezrozumiale i służalczo, ale Łucji nie opuszcza przekonanie, że człowiek ten ukrywa coś i że kpi z niej w bezczelny sposób.

Potem znów biegła, szła, wlokła się wreszcie przez korytarze i sale, podniecenie i przeczulenie znikły, ustąpiły miejsca otępieniu, obojętności, nic ją nie obchodziło, czy ktoś przygląda się, czy nie. Krążyła uparcie własnymi śladami z tego dnia, nie podnosząc oczu, nie odrywając ich od podłogi. Może tu? A może tam, w salce opatrunkowej? Nie, wtedy przecież zmieniała fartuch. Może w umywalni? Nie ma. Nie ma. Nie ma. Nigdzie nie ma małego, białego opłatka, wyglądającego tak niewinnie, a niosącego śmierć. Może w ogóle nie istniał? Może Łucji zdawało się tylko, że nosiła go w kieszeni? Może jednak odłożyła go do apteczki w swoim pokoju? Nie jest to nieprawdopodobne. Przecież Łucja od czasu do czasu przyłapuje samą siebie wśród pustki, przypominającej gęstą, białą, głuchą mgłę. Te puste obszary to chwilowe utraty pamięci, spowodowane zmęczeniem i nadmiernym napięciem nerwowym i fizycznym. Traci chwilami świadomość: co zrobiła, czego nie zrobiła, co powiedziała i co chciała powiedzieć, ale co pozostało tylko w niej, w jej myślach.

Na przykład: miała powiedzieć siostrze Marii, żeby zastosowano jeszcze raz transfuzję temu chłopcu, jakże on się nazywa...? Lenda, zdaje się. Tak, Lenda. Kiedyś widywała z nim Florę Dyląg. Zdawało się Łucji, że wydała siostrze Marii takie polecenie. Siostra Maria, zapytana, czy już po transfuzji, zdziwiła się:

- Nic o tym nie wiedziałam. Nikt mi nie mówił.

Łucja biegnie do swojego pokoju. Dobrze, że Monika śpi. Otwiera oszkloną, białą lakierowaną szafkę. Kasetka znajduje się na swoim miejscu. Pusta. A zatem to nie złudzenie: Łucja nie otwierała jej, nie chowała tu opłatka z cyjankiem. Łucja przypomina sobie w tej chwili także o blankiecie, na którym wypisała ostatnią - jak się jej wówczas zdawało - receptę. Receptę dla siebie samej na uspokojenie roztrzęsionych nerwów. Gdzie ta kartka, zgnieciona i rzucona przez nią na stół,

kiedy rozległy się alarmowe sygnały Pogotowia? Kartki pod stołem nie ma. Czyżby Monika? Łucja nie będzie pytać Moniki.

Przed północą, gdy ruch w szpitalu ustał, usnęli chorzy, pielęgniarki zaś i lekarze objęli swoje nocne dyżury, Łucja jeszcze raz postanowiła zajrzeć do separatki. Może szukała w pośpiechu niezbyt dokładnie. Może Jantar ją wzywał, ale wiadomość o tym nie dotarła do niej podczas zamieszania spowodowanego odjazdem profesorskiej ekipy.

Jantar spał, odwrócony do ściany. Plecy jego unosił regularny, głęboki oddech. Na korytarzu było pusto.

Irena nie oddychała. Jej ręka zwisała bezwładnie, dotykając końcami palców podłogi, jak gdyby przed wejściem do wody próbowała, czy nie jest zbyt zimna lub nurt za bystry. Twarz miała szarawosiną, skurczoną bólem. Szeroko otwarte oczy, podobne do dojrzałych kasztanów, zdawały się patrzeć na Łucję z wyrzutem i takim samym przerażeniem, jak pierwszej nocy w szpitalnym hallu pod białą kolumną. Ale tym razem półotwarte usta Ireny nie wydały krzyku, który tak prześladował Łucję owej pierwszej nocy. Z tych półotwartych ust, kiedy Łucja zbliżyła swoją twarz do twarzy Ireny tak blisko, jak by chciała wysłuchać jej ostatniego szeptu, wionął na Łucję ledwo uchwytny, delikatny zapach gorzkich migdałów.

Irena Donatowa nie żyła. Śmierć nie nastąpiła dawno. Skulone w paroksyzmie bólu ciało jeszcze nie stężało.

Dlaczego nie zaczęła krzyczeć, nie zawołała siostry, jak wydostała się z separatki i dotarła tu, na podest schodów, Łucja nie umiałaby powiedzieć. A skoro nie może sobie przypomnieć, co działo się z nią przed minutą, czy może przysiąc, że na przykład to nie ona sama, pod wpływem rozpaczony, w jakimś zaciemnionym niepamięcią ułamku sekundy sięgnęła po proszek i podała go Irenie, by ją zabić? Przecież już raz, na sali operacyjnej, tak niewiele brakowało, a byłaby to uczyniła. Łucja obejmuje rękami płonąca głowę. Sama do siebie, nie zdając sobie sprawy z tego, mówi prawie na głos:

- Co ja... Co ze mną..? Co się ze mną dzieje? Powinni mnie... powinni - nie wie, kto i co powinien z nią zrobić, ale uświadamia sobie, że ani przez godzinę dłużej nie powinna

pozostać tu, przy pracy, w szpitalu, bo nie odpowiada za swoje czyny.

Podrywa się jak do lotu. Biegnie tam, gdzie znajduje się jedyny człowiek, który mógłby ją zrozumieć, który musi jej pomóc. On ją obroni i uratuje. Tylko tam, przy nim, gdy wypłacze się, odzyska przytomność i równowagę. „To straszne - myśli - to straszne, co się stało. Ale przecież ja jej chyba nie zabiłam, choć tak bardzo pragnęłam, żeby umarła.”

Z rozmachem otwiera drzwi gabinetu Donata. Ale jego tu nie ma. Powietrze w pokoju jest jeszcze siwe od tytoniowego dymu, przez otwarte dla wywietrzenia okno wdziera się wiatr, sypiący mokrym śniegiem. W palcie, zarzuconym na plecy, drzemie w fotelu doktor Adamczyk z rejonowej przychodni. Widocznie dyżuruje przy telefonie. Budzi się na odgłos otwieranych drzwi i jak każdy wyrwany nagle ze snu, mamrocze głosem nieco przestraszonym:

- Co? Kto tu? - Na widok Łucji rozjaśnia się: - Ach, nasza dzisiejsza triumfatorka! Słucham, słucham, koleżanko. Czy coś się stało?

Łucja przecząco potrząsa głową. Jak trudno mówić. Każde słowo trzeba wydobywać siłą ze ściśniętego gardła:

- Ach, nie, nie, nic takiego. Szukam Donata.

- Chyba poszedł na internę - wyjaśnia Adamczyk. - Prosił, żeby tam go szukać w razie czego.

Na internie jednak Donata też nie ma. Ktoś odpowiada, że wezwano go na chirurgię.

- Córka pani doktor tu przybiegła i poszli oboje, bardzo się spieszyli.

Więc już się stało: Julian wie. Ale skąd do tego Monika? Przecież spała, gdy Łucja w swoim pokoju zaglądała do apteczki. Łucja nie próbuje już niczego zrozumieć. To wszystko dzieje się w świecie nierzeczywistym, świecie ze snu, z niedobrej, okrutnej bajki. Łucję ogarnia kamienna obojętność, która nie opuszcza jej nawet wtedy, kiedy staje na progu separatki, nie mrocznej już, lecz wypełnionej jaskrawym światłem, postaciami ludzi i ich głębokim, pełnym zdumienia i zgrozy milczeniem.

Wszyscy stoją plecami do drzwi, twarzy nie widać. W jednakowych białych kitlach - wśród których szarą plamą odcina się jeden szlafrok szpitalny i Łucja wie, że to Monika - tworzą tłum bezimienny, bezosobowy. Ale Łucja każdego z nich potrafi nazwać po imieniu. Oto tuż przed nią siostra Maria. Jej szerokie plecy lekko drżą, jak gdyby było jej zimno. Tam, dalej nieco, Flora. Poznaje ją po gęstej grzywie jasnokasztanowatych włosów - głowę ma schyloną, twarz ukryła w dłoniach, może płacze albo po prostu nie chce patrzeć na to, co ich wszystkich tu sprowadziło. Ciemna głowa Firmina jest lekko przechylona na bok, tak że widać stąd skrawek jego profilu; mruży zielone oczy, ściągnął nad nimi w zamyśleniu regularne, wąskie brwi, wygląda, jak by się dziwił. Wszystkie jednak te postacie nie są w stanie przesłonić sylwetki Donata. Stoi przed nimi, tuż przy łóżku Ireny, barczysty i wysoki, góruje nad całą grupą. Pochylenie jego pleców, gest bezwładnie opuszczonych ku dołowi ramion czynią go podobnym do skalnego masywu, zwisającego nad urwiskiem: tak samo zastygł w bezruchu, nieprzystępny, posepny i niemy. Po chwili jednak prostuje się. Podnosi głowę i Łucja słyszy jego głuchy głos, wydający polecenie stanowczo i spokojnie, jak gdyby wszystko to, co się zdarzyło, nie dotyczyło jego osobiście:

- Poproszę siostrę Marię, ażeby tu pozostała. Proszę niczego nie ruszać. Drzwi zamkniemy. Oczywiście nie da się tego ukryć przed pacjentami, ale przynajmniej niech ta noc przejdzie jako tako. Pana Jantara proszę przesunąć do sąsiedniej sali albo położyć w opatrunkowej, na razie. Pan, panie kolego - zwraca się do Firmina - obejmie oddział w zastępstwie doktor Bitmarowej.

Łucja drętwieje: a więc taki wniosek wyciągnął Julian z tego, co się stało? Odruchowo odsuwa się na bok, by przepuścić wychodzących. Przetacza się obok niej z cichym piskiem kółek łóżko z Jantarem. Wsparty na łokciu, inżynier zagląda jej w twarz i Łucji od tego spojrzenia robi się niedobrze. Monika ochoczo pomaga sanitariuszowi Ramuciu, na chwilę oczy matki i córki spotykają się. Monika patrzy wyzywająco, lecz nie

wytrzymałe spojrzenia matki, spuszcza głowę i woła do Ramucia:

- Zaraz, zaraz, tu nóżka zaczepiła się o framugę... Przez moment Łucji wydaje się, że w zielonych oczach mijającego ją Firmina dostrzega współczucie, Firmin zatrzymuje się przy niej na ułamek sekundy, jak gdyby chciał jej coś powiedzieć, odwraca jednak głowę i szybkim krokiem oddala się w głąb korytarza. Flora Dyląg wybiega z separatki spłoszona, oczy ma zaczerwienione, blade policzki mokre od łez; Łucja czuje dla niej za to głęboką, serdeczną wdzięczność, niezależnie od tego, nad kim płakała: nad Ireną czy nad nią, a może tak, w ogóle, bo niektórzy ludzie nie mogą powstrzymać się od płaczu, gdy widzą zmarłego człowieka.

Ostatni wychodzi Donat. Zamyka za sobą cicho i starannie drzwi i spostrzega Łucję. Łucja kuli się pod jego spojrzeniem. „Jaka ja głupia - przebiega jej przez myśl nagłe zrozumienie. - Jaka ja głupia. Spodziewałam się po nim pomocy i pocieszenia. A on pierwszy mnie oskarżył. On wierzy, że to ja.”

Julian milczy. Odwraca się od niej bez słowa i odchodzi. Łucja podąża za nim jak cień, drobny, biały cień jego dużej, białej postaci. To nie może tak pozostać. Przecież Łucja musi mu powiedzieć, jak było. Przed drzwiami gabinetu ośmiela się wreszcie i przytrzymuje go za ramię:

- Julianie - szepcze - Julianie. Co chcesz teraz zrobić?

Donat wyswabza ramię z uścisku jej ręki:

- Muszę zatelefonować do Branda. Do prokuratora Branda. A jak ty to sobie wyobrażałaś? Jak można inaczej?

- Julianie - swój szept Łucja stara się uczynić tak przekonywającym, jak tylko potrafi - Julianie, to nie ja. Przysięgam ci, że to nie ja, Julianie. Musisz mi uwierzyć.

Donat patrzy na nią badawczo, bardzo surowo i bardzo - smutno:

- Chciałbym ci wierzyć, Łucjo. Ale nie mogę. Nikomu innemu, tylko nam, tylko tobie i mnie, zależało na śmierci tej kobiety. A ja... - gorzki grymas wykrzywia jego twarz - ja nie potrafiłbym tak... Tak nieludzko, Łucjo. Tak okrutnie.

Łucja czepia się jeszcze ramienia Donata. Usiłuje go zatrzymać. Woła gorączkowo:

- Ależ posłuchaj... Musisz mnie wysłuchać!

Słowa zamierają jednak, padają w głuchą ciszę korytarza jak postrzelone ptaki, nikt ich nie podnosi. To nie ma sensu. Nic już nie ma sensu. Na Łucję spoglądają z góry jasnoniebieskie oczy Juliana takie dalekie, takie chłodne i obojętne, jakimi widywała je wtedy, kiedy Julian jej jeszcze nie kochał. Przypominają blade, wysokie jesienne niebo, zamarłe niebo, obwieszczające śmierć liści i kwiatów, barw i zapachów, zimowy sen stworzeń i odlot ptaków. Łucji wydaje się, że niebo to otwiera się przed nią jak przepaść. Pozbawiona nadziei i ratunku, spada w nie bezwładna i bezwolna aż na samo dno.

Łucja puszcza ramię Donata. Odwraca się i wolnym krokiem wlecze się przed siebie. Dokąd - nie wie sama. Słyszy, jak Donat otwiera drzwi gabinetu i zamyka je za sobą mocnym szarpnięciem.

Nad ranem Waclawa Żarnowca obudził telefon. Z początku nie mógł zrozumieć, o co chodzi prokuratorowi Brandowi.

- Co wy mówicie? Co wy mówicie? - powtarzał niemal bezmyślnie. Walczyły w nim dwa uczucia. Jedno zły, gorzkiej satysfakcji: „Oto miałem rację, gdy sądziłem ludzi surowo. Zaslugują na to. Lekarka - i takie rzeczy”. Opierało się pierwszemu drugie uczucie: „To być nie może. Po tym wszystkim, co robili ci ludzie przez ostatnie dni i noc”. Tak też odpowiedział na relację Branda. - To niemożliwe. Po prostu wydaje mi się nieprawdopodobne.

Prokurator Brand miał na ten temat własne zdanie:

- Powiem wam coś. Dużo lat pracuję już w prokuraturze. Wiele widziałem, wiele przeżyłem, dużo zrozumiałem. Wielu ludzi mnie rozczarowało. Też nie chciałem wierzyć, że mogli... Oszukać, zabić. Znęcać się nad bliskimi. A zdarza się. Zdarza się, że człowiek, zwykły człowiek, o którym nic złego byście nie pomyśleli, albo nawet bardzo kulturalny i wykształcony, co to niby zdolny jest panować nad swymi uczuciami i odruchami, popełnia zbrodnię. Pod wpływem okoliczności, przeżyć. Wydaje mi się czasami, że w każdym chyba człowieku istnieje

jakiś taki próg o którym on sam nie wie. Za tym progiem kryje się przeciwieństwo tego, czym się jest zazwyczaj. Można przeżyć całe życie, nie przekroczywszy tego progu. I można też znaleźć się poza nim niespodziewanie dla samego siebie. Ta kobieta, myślę o Bitmarowej, musiała ostatnio dużo przeżyć. Wicie przecież, wszyscy o tym mówią, ona i Donat... Żal mi jej. Ale w świetle tego, co już mi wiadomo, wszystko przemawia przeciwko niej.

- Poczekajcie!:- woła nagle Żarnowiec gwałtownie i żałuje, że to tylko telefoniczna rozmowa. Nie lubi telefonu. Lubi widzieć ludzi, z którymi rozmawia. Gdyby miał w tej chwili Branda przed sobą, potrafiłby go przekonać, że nie ma on racji. - Poczekajcie - dodaje już ciszej, spokojniej, ale sam nie wie, na co właściwie Brand ma jeszcze czekać, co mogłoby się stać takiego, co by uwolniło Łucję Bitmarową od niesłusznego podejrzenia.

- Trzeba w tej sprawie ostrożnie, bardzo ostrożnie. Nie działajcie za szybko. Ja nie wierzę, nie wierzę w winę Bitmarowej.

ROZDZIAŁ 11 DECYZJA PROKURATORA BRANDA

Późnym popołudniem następnego dnia prokurator Filip Brand wrócił do domu i zamknął się w swoim pokoju. Prosił żonę, by mu nie przeszkadzano:

- To bardzo trudna i przykra sprawa, Ewo. Muszę ją dobrze przemyśleć, zastanowić się. Muszę dziś wieczorem powziąć decyzję. Czy mam wydać nakaz aresztowania Bitmarowej, czy też dalej prowadzić śledztwo. Niektórzy są przekonani o jej niewinności. Chcę przejrzeć jeszcze raz wszystkie protokoły. Przygotuj mi tylko maszynkę czarnej kawy.

Drzwi zamknęły się cicho. Krażek ciemnobrunatnego płynu, uwięziony w białej obwódce brzegu filizanki, bił w nozdrza aromatyczną parą, która jak poranna mgielka nad stawem to

czepiała się brązowej powierzchni, powlekając ją matowością, to znów unosiła się ku górze, odsłaniając błyszczące lustro odbijające w nim ludzką twarz. Nie, prokurator Filip Brand nie miał zwyczaju wróżenia z kawowych fusów. W ogóle nie przemawiały do niego żadne irracjonalne czynniki, wierzył w fakty, tylko i wyłącznie w fakty. Przyglądał się sobie, swojemu odbiciu w lusterku kawy, i zastanawiał: taka Łucja Bitmarowa, człowiek wykształcony, lekarka, podobno świetny chirurg - wyrażał jej swe uznanie sławny profesor - najpierw ratuje życie rywalce, a potem ją zabija. Jeżeli to jest możliwe, to na przykład i on sam, w przystępie rozpaczki albo takiego życiowego zawodu, jakiego doznała Bitmarowa, też byłby zdolny do popełnienia zbrodni. Tak czy nie? Chyba tak. Fakty zaś bezapelacyjnie przemawiają za tym, że Łucja Bitmarowa otruła żonę swojego przyjaciela przy pomocy opłatka, zawierającego cyjanek potasu.

Profesor prawa, Siewierski, którego autorytet Brand wysoko ceni, twierdzi, że proces poszlakowy to coś na kształt mozaiki. Każdy jej kawałek w postaci faktów czy dowodów, wzięty z osobna, może świadczyć na korzyść lub niekorzyść oskarżonego. Dopiero wszystkie fragmenty ułożone razem dają obraz zbliżony do faktycznego przebiegu wydarzeń, umożliwiając wydanie wyroku. Ten wyrok zresztą bywa niesłuszny, bywa wątpliwy, bywa dwuznaczny, zawsze zaś niesłuchanie trudny i kłopotliwy. Trzeba więc przyjrzeć się faktom, zarówno każdemu z nich z osobna, jak i łącznie wszystkiemu temu, co obciąża Łucję Bitmarową, co ją usprawiedliwia i co świadczy przeciwko niej.

Prokurator Brand otwiera swoją plastikową teczkę, wyjmując z niej drugą, tekturową, przewiązaną tasiemką, i zaczyna odczytywać po kolei wszystkie zeznania, złożone przed nim tego dnia w sprawie otrucia cyjankiem potasu Ireny Donatowej, lat trzydzieści, zamężnej, zamieszkałej stale w Warszawie.

PROTOKÓŁ 1

Zeznaje Julian Donat, mąż zamordowanej, dyrektor szpitala w Nowoborach, zamieszkały w Nowoborach.

Prokurator Brand: Stwierdzono, że pańska żona została otruta i zmarła między godziną dwudziestą trzecią trzydzieści i dwudziestą trzecią pięćdziesiąt.

O dwudziestej trzeciej trzydzieści po raz ostatni weszła do separatki siostra Flora Dyląg, zapaliła górne światło, zrobiła zastrzyk, poprawiła bandaże, zgasiła światło, zapaliła lampkę na stoliku i wyszła. O dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt pięć Monika Bitmarówna zastała pańską żonę w separacie już nieżywą. Czy może mi pan doktor powiedzieć, kiedy pan był ostatnio u żony i co pan robił w czasie, o którym była mowa?

Doktor Donat: Byłem u żony zaraz po siostrze Florze. Sprawdziłem tętno, wykres temperatury i wyszedłem. Cały czas potem spędziłem na internie. Mamy tam jeden wyjątkowo trudny wypadek zawału serca. Starszy człowiek, pasażer tego pociągu, którego lokomotywa rozbiła autobus. Robiliśmy elektrokardiogram. Znajdowałem się przy pacjencie przez cały czas do momentu, kiedy przyszła Monika.

Prokurator Brand: Co powiedziała panu Monika Bitmarówna?

Doktor Donat: Że z moją żoną dzieje się coś niedobrego i żebym natychmiast zszedł na oddział chirurgii.

Prokurator Brand: Kiedy pan zszedł na dół, do separatki, czy zorientował się pan natychmiast, co spowodowało zgon pana żony?

Doktor Donat: Nie... A właściwie... tak. Raczej tak. To znaczy objawy, przede wszystkim sinica, wskazywały na śmierć nagłą, nie taką, jaka nastąpiłaby, powiedzmy, na skutek zapaści. To nie mógł być także wynik operacji, zgon nie byłby tak natychmiastowy. Zapach... Zapach gorzkich migdałów jest przy cyjanku charakterystyczny. To musiała być duża dawka.

Prokurator Brand: Czy tylko ten fakt, to stwierdzenie skłoniło pana do zatelefonowania do mnie?

Doktor Donat: Tak.

Prokurator Brand: Bardzo pana doktora przepraszam... Ale, niestety, muszę wyjaśnić wszystkie okoliczności, więc zapytam, choć może to dla pana przykra sprawa.

Doktor Donat: Proszę. O co chodzi?

Prokurator Brand: Jakie były stosunki między państwem, to znaczy między panem i pańską żoną, jako małżeństwem? Żona pana mieszkała stale osobno, prawda?

Doktor Donat: No cóż, nie będę ukrywać, to i tak chyba stanowi publiczną tajemnicę. W Nowoborach niczego nie ukryjesz, ani tego, co jest, ani tego, co mogłoby być, ani tego co w rzeczywistości nie istnieje. Żona moja poświęciła się karierze naukowej, odwiedzała mnie rzadko. Mężczyźni trudniej znoszą samotność niż kobiety. Związałem się... bardzo bliską przyjaźnią z doktor Łucją Bitmarowa. Miałem zamiar zaproponować mojej żonie rozwód. Sądzę, że zgodziłaby się bez większego oporu. Dzieci nie mieliśmy, a swoje zainteresowania naukowe stawiała wyżej niż sprawę domu.

Prokurator Brand: Ale zdaje się, że pańska żona jechała tym razem do Nowoborów na dłuższy pobyt, czy się nie mylę? Tak przynajmniej mówiono. Przysłała duży bagaż, w Radzie Narodowej poinformowano mnie, że miała objąć prace wykopaliskowe nad jeziorem Miłym.

Doktor Donat: Nosiła się z takim zamiarem, ale nie przywiązywałem do tego większej wagi. Często lubiła zmieniać decyzje.

Prokurator Brand: Czy pańska żona wiedziała o stosunkach, jakie łączyły pana z doktor Bitmarowa?

Doktor Donat: Nie. Przypuszczam, że nie. Chociaż plotkarzy; nigdzie nie brakuje. Mógł ktoś jej donieść.

Prokurator Brand: Czym wobec tego wytłumaczyć należy scenę, jaką pana żona zrobiła doktor Bitmarowej w hallu, po przywiezieniu pana żony z przejazdu, po katastrofie?

Doktor Donat: Nie wiem nic o żadnej scenie. Nikt mi o tym nie mówił.

Prokurator Brand: Sanitariusz Ramuć, który był przy tym, zeznał, że krzyczała. „Nie chcę, żebyś ty! Nie dotykaj mnie!”

Doktor Donat: To mógł być szok pourazowy bez udziału świadomości osoby rannej.

Prokurator Brand: Czy pan doktor nie przypuszcza, że pana żona mogła popełnić samobójstwo?

Doktor Donat: Samobójstwo? Samobójstwo? Nie... Chyba raczej nie. Ależ nie, na pewno nie. Wykluczam. Przy jej stanie, po tak ciężkiej operacji? Skąd by zresztą wzięła cyjanek?

Prokurator Brand: Jeszcze jedno pytanie, panie doktorze. W jaki sposób w szpitalu mógł ktoś wejść w posiadanie takiej dawki cyjanku?

Doktor Donat: Nie wiem. Nasza apteka szpitalna nie posiada cyjanku.

Prokurator Brand: Dziękuję panu doktorowi. Jeżeli zajdzie potrzeba, poproszę może pana jeszcze raz.

PROTOKÓŁ 2

Zeznaje Maurycy Jantar, inżynier, lat czterdzieści, zamieszkały czasowo w Nowoborach.

Prokurator Brand: Bardzo mi przykro i przepraszam pana, że w tej sytuacji, w tym pana stanie... Ale sądzę, że pan, leżąc tuż obok separatki pani Donatowej, mógł słyszeć lub widzieć coś, co wyjaśni nam całą sprawę. Czy czuje się pan na tyle dobrze, że możemy chwilę porozmawiać?

Maurycy Jantar: Nie czuję się dobrze. Wprawdzie nie zostałem ciężko ranny, ale miałem poważny szok, no i teraz, ta historia... No, ale władza... tego... władza dla mnie święta rzecz. Ja zawsze, wszystko, tego.. Tak, właśnie. Czym mogę służyć, obywatelu prokuratorze?

Prokurator Brand: Proszę mi powiedzieć dokładnie, możliwie dokładnie, kto tej nocy tak między jedenastą i dwunastą wchodził do separatki - i co tam robił.

Maurycy Jantar: Ja spałem, obywatelu prokuratorze, tak, właśnie, przeważnie spałem, drzemałem. Na zegarek nie patrzyłem, bo i po co. Ach, żeby to było wiadomo, że taka rzecz wydarzy się właśnie tej nocy!... Jak sobie pomyślę, ja kimałem, a obok mnie wykończyli babkę, to zimno mi się robi. I to jaką babkę, fest kobita, no nie? A mogli przecież i mnie też, no nie?

Prokurator Brand: Proszę odpowiadać na pytania. Kto wchodził, czy też kogo pan widział wchodzącego w nocy do separatki?

Maurycy Jantar: Zaraz, zaraz, momencik, niech no sobie przypomnę. Wieczorem kręcili się różni. Potem nastął wreszcie

spokój. Zdrzemnąłem się. To przyszła ta siostra Flora, taki nasz tutejszy szpitalny kociak. Kombinuje z tym eleganckim doktorkiem, Firminem... Ależ dobrze, już dobrze, streszczam się. Obywatel prokurator taki niecierpliwy, a podobnież dla śledztwa takie tam rozmaite okoliczności uboczne najważniejsze. No więc ta Flora zapaliła światło, zrobiła nam zastrzyki, pokręciła się, potem zgasiła górne światło i zapaliła lampkę. I wyszła. Po niej był pan dyrektor Donat. Coś tam robił przy żonie, ale co, nie widziałem. Raz postękała, nie wiem, zastrzyk jej robił jeszcze jaki, czy co. I tak dalej: co ja się zdrzemnę, to znów ktoś się wmeldowuje. Aż zły byłem, choremu spać nie dają. I tak sobie nawet umyśliłem, żeby następnego dnia poprosić o przeniesienie gdzieś indziej.

Prokurator Brand: Czy nie zwrócił pan uwagi, w jakim stanie była pani Donatowa po wizycie męża?

Maurycy Jantar: Przecie mówię i powiadam: ciemno już było w pokoju. Taka lampka to tyle, co kocie oczy. No więc potem obudziła mnie doktor Bitmarowa. Ja się tam jej dziwię, że też jej się chciało przez cały czas tak koło żony swojego amanta skakać... No dobrze, już dobrze, nie będę więcej na ten temat, nie chce władza wiedzieć, to nie. Doktor Bitmarowa długo się tam ceremoniowała. A to się schyliła, a to przykłękała. Myślałem sobie, pewnie znów tego proszka szuka. Drzwi były uchylone, dobrze widziałem.

Prokurator Brand: Jakiego proszka?

Maurycy Jantar: Ano tego, co go zgubiła. Z wieczora jeszcze wpadła jak nie przymierzając bomba i zaczęła szukać. Po podłodze, pod łóżkiem. Potem mnie pytała, czym nie widział proszka, i kazała się zawołać, gdybym przypadkiem dojrzał go gdzie. Mówiła, że to trucizna, jakoś to nazwała, ale nie pamiętam.

Prokurator Brand: I co dalej?

Maurycy Jantar: No więc, w nocy też się tak kręciła. Musiała być w nerwach, bo coś do siebie mamrotała, ale nie słyszałem, co. I wybiegła, jak by uciekała. Niedługo po niej przyszła ta mała, jej córka. Powierciła się koło pani dyrektorowej,

pokręciła i wyskoczyła jak z procy. No a potem to już wróciła z dyrektorem Donatem i inni zaraz po nich weszli i zaczęło się...

Prokurator Brand: Czy pan znał dobrze panią Donatową?

Maurycy Jantar: Ależ skąd. Toć przecież ona tu nigdy nie bywała w szpitalu, a i w Nowoborach chyba raz do roku. Bobym ją znał. Ja to lubię ładne kobiety, ma się te słabość. W drodze ją poznałem, w autobusie, ale też nie wiedziałem, kto ona zacz. Tak się gawędziło, o tym i owym. Dopiero tu, patrząc, ta sama z autobusu koło mnie leży na noszach. I dyrektor Donat przy niej, skwaszony, jak by mu kto w łeb za przeproszeniem dał. No i powiedzieli mi, że to jego żona.

Prokurator Brand: Dziękuję, nie mam więcej pytań.

PROTOKÓŁ 3

Zeznaje Monika Bitmarówna, lat dziewiętnaście, studentka, zamieszkała stale w Warszawie.

Prokurator Brand: Pani sama zgłosiła się do mnie. Podobno chce pani złożyć jakieś ważne zeznanie. Słucham panią.

Monika Bitmarówna: Ja... nigdy jeszcze... Ja jeszcze nigdy, proszę pana prokuratora, nie zeznawałam, więc przepraszam, jeżeli coś powiem nie tak. Ale jest taka sprawa...

Prokurator Brand: Widzę, że jakoś trudno to pani idzie. No, niechże się pani uspokoi. Papierosa? Proszę. Ale nie powinna pani palić w tak młodym wieku. Więc do rzeczy, młoda osobo.

Monika Bitmarówna: Moja matka...

Prokurator Brand: Co pani matka?

Monika Bitmarówna: To zrobiła moja matka.

Prokurator Brand: Nie rozumiem. Co zrobiła pani matka?

Monika Bitmarówna: Zabiła tę Irenę.

Prokurator Brand: Hm... tak... Na czym pani opiera to... to podejrzenie? To oskarżenie?

Monika Bitmarówna: Widzi pan prokurator, ja nie mogłam zasnąć. Tak sobie tylko drzemałam w pokoju matki. Matka weszła, to mogło być chyba około dziesiątej albo między dziesiątą i jedenastą, i brała coś z apteczki, która wisi nad umywalką. I wyszła, nic nie mówiła, bo myślała, że śpię, a ja tylko tak udawałam, bo nie chciałam jej robić przykrości, martwiłaby się może, że źle się czuję. A ja dalej nie mogłam

spać. Wreszcie postanowiłam przejść się trochę, myślałam, może to co pomoże albo spotkam matkę i ona da mi coś na sen albo któraś z sióstr. Więc wyszłam z pokoju. Na schodach o mało nie zderzyłam się z matką. Biegła, bardzo zdyszana i zdenerwowana, mówiła do siebie, nawet mnie nie zauważyła...

Prokurator Brand: Co mówiła, czy nie słyszała pani?

Monika Bitmarówna: Owszem, słyszałam, mówiła dość głośno. Mówiła: „Co ja zrobiłam? Co to będzie?” Kiedy się odwróciła, pobiegłam do separatki, bo widziałam, że stamtąd właśnie wyszła. Zaniepokoiłam się. Coś się stało, pomyślałam. Matka przecież operowała Irenę. Kiedy weszłam, zorientowałam się, że z Ireną coś niedobrze... Była sina na twarzy, miała takie wybałuszone oczy, nie oddychała. Poleciałam po Juliana i sprowadziłam go.

Prokurator Brand: Po kogo, proszę? Monika Bitmarówna: Po Donata. Pana Juliana Donata.

Prokurator Brand: A jak pani sądzi, jak pani przypuszcza, jakie miała powody pani matka, by to uczynić?

Monika Bitmarówna: Jak to jakie? Zazdrość. Ona była zazdrosna o Donata. Ta Irena taka ładna... A moja matka, cóż, starsza już kobieta. Nie te lata, nie ta uroda. Donat byłby w końcu wrócił do Ireny.

Prokurator Brand: Widzę, że pani jest doskonale zorientowana w sprawach osobistych swojej matki. Czy to wszystko, co ma mi pani do powiedzenia?

Monika Bitmarówna: Nie, jeszcze coś, żeby pana przekonać, że ja mam rację. Proszę, oto kartka, którą znalazłam pod stołem w pokoju mojej matki.

Prokurator Brand: Tak... tak. A więc pani matka miała zamiar popełnić samobójstwo tego wieczora, kiedy zdarzyła się katastrofa. Zamiaru swego nie spełniła. Sądzi pani, że wybrała inną, drugą drogę, zgładziła panią Donatową.

Monika Bitmarówna: No tak, właśnie tak. Oczywiście.

Prokurator Brand: Niech mi pani powie, panno Moniko, dlaczego pani do mnie z tym przyszła? Mogła pani przecież zachować te wiadomości przy sobie. Tak zrobiłaby zapewne większość córek w stosunku do swych matek. To sytuacja bądź

co bądź niezwykła: córka pomaga udowodnić swojej matce morderstwo. Co panią skłoniło do tego?

Monika Bitmarówna: Ja... ja... Ja wyżej ponad uczucia rodzinne stawiam poczucie sprawiedliwości.

Prokurator Brand: Dobrze, w imieniu sprawiedliwości oficjalnie dziękuję pani. A teraz prywatnie. Panno Moniko, odrzućmy tę komedię, obłudę, te maski i miny, całe to udawanie. Udawanie przede mną nie ma sensu. Znam się na ludziach. Pani mnie zadziwia. Co zaszło między panią i jej matką, że pani tak okrutnie się na niej mści?

Monika Bitmarówna: Ja? Ja? A to dobre sobie. Nie, ja się nie mszczę. Ja tylko chcę, żeby dostała za swoje. Nie za to, co zrobiła z Ireną. Irena koło nosa mi wisi. Nie za to! Nie za to! Za to, co zrobiła z ojcem, ze mną! I za Donata, bo tylko on dla niej istnieje, nie istnieję ja ani mój ojciec, jej mąż. Niby „były mąż”. Wniosła przecież o rozwód. Ojciec sam nieraz mówił, że to ona z niego zrobiła narkomana, że on tak przez nią... I przez to ja domu nie mogłam mieć, jak inne dziewczyny, inni chłopcy. I ona zawsze ta „święta”, ta „ofiara”. Wszyscy jej zawsze żalowali, że taki ma los. Mąż - bydło, córka - nieuk, chuliganka, złe ziele po ojcu. I tylko ona, ona jedna cierpiętница. Szlachetna. Pokazało się, jaka szlachetna. Taka szlachetna, że aż chorą, ranną kobietę zabiła. Ona - lekarka!

Prokurator Brand: Czy pani nie żal matki?

Monika Bitmarówna: Nie.

Prokurator Brand: Jeszcze jedno pytanie. Czy o swoich przypuszczeniach, a raczej o tym, co pani widziała i słyszała, wspominała pani doktorowi Donatowi?

Monika Bitmarówna: Ależ tak. Oczywiście. Dlaczego miałabym mu tego nie powiedzieć? Przecież on właściwie jest jakby jej współnikiem. Niech wie.

Prokurator Brand: Ach, tak...? Dziękuję pani.

PROTOKÓŁ 4

Zeznaje Łucja Bitmarowa, lekarz-chirurg, lat czterdzieści jeden, zamieszkała w Nowoborach.

Prokurator Brand odczytuje nagłówek i odkłada zapisaną kartkę. Nie ma ochoty czytać tego protokołu. Jest on zresztą

najkrótszy ze wszystkich. Tak się już dzieje, może słusznie, może niesłusznie, że gdy zeznaje osoba podejrzana, jednakową uwagę poświęca się jej słowom i jej zachowaniu. Jak się zmieszała, kiedy zapytał ją wprost, czy to ona zrobiła, jak zareagowała na relację z zeznań Donata i Moniki, wyraz oczu, gesty rąk - wszystko to stanowi dla Filipa Branda surowiec, tworzywo, z którego będzie formować swój akt oskarżenia albo uzasadnienie prowadzenia dalszego śledztwa.

Prokurator Brand woli więc rekonstruować sobie w pamięci całość przesłuchania Łucji Bitmarowej.

Zachowywała się spokojnie. Bardzo spokojnie, powiedziec by można z godnością. Nie spieszyła się ani razu, nawet wówczas, gdy pytał ją o sprawy najbardziej osobiste, intymne.

- Tak jest - odpowiadała patrząc Brandowi prosto w twarz. - Od trzech lat byłam przyjaciółką Juliana Donata. Żona jego o niczym nie wiedziała, chociaż prosiłam doktora Donata niejednokrotnie, by wyjaśnił naszą sytuację.

- Dlaczego między panią i córką panują tak napięte stosunki? - interesował się Brand, gdyż zachowanie Moniki nie dawało mu spokoju. Pragnął wyświecić tę sprawę ostatecznie, nie jest to bynajmniej obojętne dla scharakteryzowania sylwetki Bitmarowej.

Łucja uśmiechnęła się smutno:- Ach, pan prokurator ma zapewne na myśli te jej „zeznania”, o których mi wspominał. Proszę nie sądzić, że ją potępiam. Dużo w tym niewątpliwie i mojej winy. Wiele w życiu przeszłam, mam wyczerpującą pracę, jestem bardzo nerwowa. Nie wykazałam dość cierpliwości w opanowywaniu jej urazów, spowodowanych stosunkami w domu. A zresztą... niezależnie od tych urazów dziewczęta w jej wieku, i na dodatek jeszcze z jej środowiska, mają skłonność do komedianctwa. Chcą być „ważne”. Pragną za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę, nie licząc się z niczym, stać je na każdą podłość, na krzywdę nie do naprawienia. To rezultat potrójnego konfliktu: dojrzałości fizycznej, niedojrzałości umysłowej i nadmiernie, aż do hysterii wybujałej uczuciowości. Te dysproporcje dają krótkie spięcia między nimi i otoczeniem.

- To bardzo interesujące, co pani doktor mówi. Wróćmy wobec tego do sprawy najważniejszej. Inżynier Jantar twierdzi, że pani szukała w separacie jakiegoś zgubionego proszka. Co to było?

Łucja splatała i rozplatała palce, lecz nie zwlekała z odpowiedzią:

- Podczas obchodu z profesorami wypadł mi z kieszeni opłatek z cyjankiem potasu. Przypuszczałam, że zgubiłam go właśnie w separacie, bo tam przebywaliśmy najdłużej.

- Czy pani zdaje sobie sprawę z wagi tego, co pani powiedziała? Pani wie, że Irena Donatowa zmarła na skutek otrucia cyjankiem potasu?

Łucja znów patrzyła prosto w oczy Brandowi i to go raczej peszyło.

- Wiem o tym.

- W jakim celu nosiła go pani przy sobie?

To była ta jedyna odpowiedź, przy której Łucja spuściła głowę:

- Głupio mi o tym mówić. Chciałam popełnić samobójstwo. Wieczorem, przed katastrofą... Usłyszałam jednak sygnały Pogotowia, po osiem, raz za razem... Alarm. Kartkę rzuciłam widocznie pod stół, opłatek wsunęłam odruchowo do kieszeni, nie było czasu na schowanie go z powrotem do apteczki. Przybiegła po mnie siostra Dyląg. Potem zapomniałam o tym opłatku.

- A co brała pani z apteczki wczoraj wieczorem? Łucja westchnęła: a więc Monika nie spała, szpiegowała ją.

- Właśnie szukałam tego proszka, myślałam, że może jednak odłożyłam go do kasetki.

- Tak... tak... Skąd wzięła pani doktor cyjanek, dlaczego w ogóle przechowywała go pani u siebie w apteczce?

- Jeszcze w Warszawie dostałam po znajomości... Od jednego chemika. Coś mu tam nakłamałam wtedy. Chciałam mieć... chciałam mieć coś takiego pod ręką. Dla siebie. Na wypadek, gdybym... no, po prostu gdybym nie miała już więcej sił znosić tego, co znosiłam przez wiele lat.

- Niestety, muszę zadać pani doktor to pytanie, gdyż nasuwa mi się ono samo: to pani zabiła Irenę Donatową, prawda?

Głos Łucji brzmiał chłodno i stanowczo. Zbyt chłodno i zbyt stanowczo:

- Nie, panie prokuratorze. To nie ja. Ale czuję się winna śmierci tej kobiety. Ktoś wykorzystał moją karygodną, powiem po prostu nawet zbrodniczą lekkomyślność. Niezależnie od wszystkiego moim obowiązkiem było odnieść cyjanek do apteczki. I moim obowiązkiem było zawiadomić doktora Donata, że go zgubiłam. Ale wtedy musiałabym przyznać się do zamiaru popełnienia samobójstwa. Stchórzyłam.

- Pani doktor zdaje sobie sprawę, że wszystko przemawia przeciwko pani?

Łucja powiedziała z goryczą:

- O, tak. Zdaję sobie z tego sprawę. Będzie piękny proces poszlakowy. Będę się bronić. Trudno, muszę to wszystko znieść. Trzeba ponosić odpowiedzialność za swoje postępowanie.

Prokurator Brand odczytuje sobie to ostatnie zdanie Łucji jeszcze raz z protokołu, niepewny, czy je dobrze zapamiętał. Odważna, mocna kobieta. Twardy charakter. Taka kobieta chyba jest zdolna do zabicia innej kobiety, która stanęła jej na drodze. Jednego tylko prokurator Brand zrozumieć nie może: dlaczego najpierw ratowała życie Irenie Donatowej? Mogła ją zabić podczas operacji, podobno była to bardzo trudna i niebezpieczna operacja i właściwie nikt jej niczego nie zdołałby dowieść. To przemawia na korzyść Bitmarowej.

Z drugiej jednak strony... Z drugiej strony fakty układają się w logiczny ciąg. Kobieta nieszczęśliwa w pożyciu małżeńskim. Nowobory, Donat, miłość - zdaje się, że wzajemna - ostatnia już chyba szansa życiowa. Zjawia się żona. A więc najpierw, przyjmijmy to za prawdę, owa niedoszła do skutku próba samobójstwa. (Bo ta historia z karteczką też mogła zostać ułożona na wiadomość o przyjeździe Donatowej albo już nawet potem, po katastrofie, jeżeli Bitmarowa postanowiła Irenę zgładzić). No i niech już będzie - ten oplatek w kieszeni. Bitmarowa sądziła, że Donatowa nie wyżyje, tymczasem

operacja się udała, pacjentka będzie żyć. Więc przypomina sobie o tym opłatku, inscenizuje zgubienie go, wchoazi do separatki, kiedy Jantar śpi. Nikt nie dziwi się, że tyle razy zagląda do pokoju rannej, to była przecież ta słynna operacja, najtrudniejsza ze wszystkich dokonanych w tych dniach. No i już. Po wszystkim. Sędziowie... Sędziowie może tak, może owak, istnieje tyle okoliczności niejasnych. Proces poszlakowy. Może się uda obronie przekonać sąd, uzyskać wyrok uniewinniający. Właśnie chociażby na podstawie argumentu: ratowała jej życie, dlaczegoż by zatem miała ją zabijać?

Prokurator Filip Brand jest w wielkim kłopotcie. Zrobił wszystko, co tylko mógł dla wszechstronnego zbadania okoliczności. Ma pewność, że nikomu innemu, tylko Donatowi i Łucji Bitmarowej mogło zależeć na śmierci Ireny. W Nowoborach Donatowa była prawie zupełnie nieznana. Ktoś, kto, powiedzmy, chciałby się mścić na Donacie, tego by nie zrobił, bo stanowiłoby to przysługę, a nie zemstę, brzmi to może cynicznie i bezwzględnie, ale taka jest prawda. Donat ma alibi. Donat tego nie zrobił. Pozostaje więc Łucja Bitmarowa.

Prokurator Brand spogląda na zegarek. Jedenasta. Tak długo siedział nad tą sprawą? Kawa wystygła. Na popielniczce piętrzy się stos niedopałków. Brand otwiera okno. Cicho pada śnieg. W oknach przeciwległych domów ciemno. „Późno - myśli Brand - ale trudno, muszę to zrobić jeszcze dziś, teraz. Ta kobieta gotowa popełnić znów jakieś głupstwo.”

Siada przy biurku, wyjmuje z teczki, przewiązanej tasiemką, ostatnią kartkę papieru, leżącą na samym spodzie, pod protokołami. Przez chwilę, się waha, ale za to potem jednym pociągnięciem pióra podpisuje nakaz aresztowania Łucji Bitmarowej.

O tej samej porze Julian Donat powiedział do Łucji:

- Łucjo. Może po raz ostatni o coś ciebie proszę. Proszę cię o to, żebyś mi pozostawiła przynajmniej szacunek dla ciebie. To nie ma sensu zapierać się tak bezmyślnie. To ci nic przecież nie pomoże. Bądź odważna do końca. Przynajmniej mnie możesz to powiedzieć. Przyznaj się, Łucjo, przyznaj się, że to ty.

Lucja popatrzyła na Donata ze zgrozą i przez głowę przemknęła jej przerażająca myśl: a może to on sam otruł Irenę, nie mógł znieść myśli o całym długim życiu przy boku kaleki, zląkł się?

O tej samej porze Bolesław Kraska brnął ciemnymi ulicami, na których zdażyły się już zgromadzić śniegowe zasy. Szedł do domu, pierwszy raz od trzech dni, w szpitalu zastąpił go kolega z elektrowni. Bolesław Kraska tak myślał:

„Michalina będzie żyć. Tak jeszcze raz powiedział mi teraz dyrektor Donat. To dobrze, Michalino. Nie wiem, jak by to było: żyć bez ciebie. A wiesz, dyrektora żona umarła. Nie żyje. Podobnie ją ktoś otruł. Mówią, że to ta doktorka, co ciebie z Korą ratowała. Bo ja wiem, czy to prawda? To wielki grzech, tak pozbawić kogoś życia. Ale jak ona życie ludziom ratuje, to chyba nie jej rzecz zabijać. Ja tam nie wierzę, żeby to ona. Oczy ma dobre i taka do ludzi. O, właśnie: do ludzi. Nie: od ludzi. To już by prędzej taki Jantar potrafił. Wiercił się jakoś przy tej Donatowej, jak poszedłem tam wczoraj w nocy, bo kiedy indziej czasu nie miałem, więc poszedłem w nocy, żeby z nim o tej premii pogadać, co mi ją winien. »Pić jej dawałem - powiedział do mnie - gorączkę widać ma, bo pić chciała«. Bo ja tam wiem, może naprawdę pić jej dawał. A może...? Ale po cóż by mu było ją truć? Zrobiła mu co, czy jak? Albo przez zemstę na Donata? Nie wiem, nie wiem, Michalino. Szkoda, że ciebie nie ma. Ja głupi, ty byś może poradziła, czy iść, powiedzieć o tym temu prokuratorowi, co po szpitalu chodził, ludzi przepytował, czy nie? Bo jak powiem, to Jantar będzie się mścić. Z pracy wyrzuci albo jeszcze co innego wymyśli. Bo on taki. Mściwa cholera. Żeby to człowiek był mądry albo żeby mu kto umiał dobrze poradzić...”

Po godzinie Bolesław Kraska już nie pamięta o swoich wątpliwościach. W domu tyle kłopotów: nic nie posprzątane, w piecu nie napalone. Franka się spiła, zapomniała dać dzieciom kolację.

ROZDZIAŁ 12

ALBUM Z WYCINKAMI

Drzwi zatrzasnęły się, w mieszkaniu zapanowała cisza. Żarnowiec został sam. Do siostry przyjechał nareszcie długo oczekiwany syn. Poszli przejść się po Nowoborach: musiała przecież pokazać wszystkim znajomym i kumom, jaki to jest ten jej syn, jak mu do twarzy w mundurze, jak zmęźniał w wojsku.

Koniec sierpnia dyszał ciepłem, jak gdyby chciał wynagrodzić zimne i deszczowe lato. Ale to już nie było to, za czym stęsknili się ludzie. Tkwił w tym jakiś błąd, raził fałszem, denerwował złudzeniem. To lato, rozpoczynające się u progu jesieni, przypominało sukces u schyłku życia artysty, całymi latami prześladowanego przez krytykę i niedocenianego przez publiczność - albo nieoczekiwanie przebudzoną miłość w kobiecie, której młodość już minęła. Doznane życiowe zawody stanowią gorzką glebę: kwiaty, wyrastające na niej, nie pachną i wędną bardzo prędko.

Na parapet okienny łagodny wiatr nawiewał suche, szeleszczące, żółtawe liście. Nad dachami niewysokich domów po przeciwległej stronie ulicy i w prześwicie przecznic Żarnowiec mógł widzieć splecione korony starych, wysokich drzew parkowych, podobny do gęstych kłębow zielonego dymu. Tryskały tam już gdzie-niegdzie złociste i czerwone iskry, zapowiedź wielkiego jesiennego pożaru, który nie oszczędzi przyrody, spali i spopieli każdy najmniejszy liść, źdźbło trawy, łodygi bylin, pierzaste łebki melancholijnych astrów i kudłatych chryzantem.

Głośniki radiowe w otwartych oknach mieszkań, duży głośnik na Rynku i drugi w parku przerzucały sobie, podawały przez powietrzny most, powtarzały i pomnażały wielokrotnie krzyki i oklaski tysięcznych tłumów, dźwięki fanfar, urywane zdania, wykrzykiwane przez schrypnięty i podniecony głos spikera. Transmisja z Olimpiady w Rzymie skupiała ludzi w zasłuchane grupki. Ten i ów, co po prostu wybrał się na spacer w ładne

sobotnie popołudnie, kobiety, załatwiający pospieszne, ostatnie przedniezielne sprawunki, dzieci gonące się po ulicy, chłopcy i dziewczęta spieszący do kina czy na potańcówkę w kawiarni parkowej - każdy niemal przystawał, żeby posłuchać i dorzucić swój komentarz, choć niejeden w życiu w ogóle nie widział, jak się skacze z trampoliny do wody.

Żarnowiec nigdzie tego popołudnia nie poszedł. Czuł się zmęczony, chciał odpocząć, coraz częściej już ostatnio odczuwał potrzebę wytchnienia. „Widocznie starzeję się” - pomyślał. Następnego dnia o świcie czekała go jazda w teren. Powódź letnia nie oszczędziła okolic Nowoborów. Chociaż woda ustąpiła, trosk wciąż jeszcze nie brakowało.

- Biorę sobie urlop na kilka godzin - powiedział do siostrzeńca, gdy ten namawiał go na wspólną przechadzkę po mieście.

Miał mały plan, dotyczący spędzenia tych paru samotnych godzin. Posiadał pewną pasję, znaną nielicznym osobom w mieście. Waław Żarnowiec gromadził troskliwie i namiętnie wszystko, co dotyczyło Nowoborów: stare monografie i zdjęcia, szpargały i wspominki, wycinał z gazet wojewódzkich i centralnych każdą wzmiankę, opisującą zarówno ważne, jak i mało znaczące wydarzenia w życiu miasta i jego mieszkańców. Od kilku już tygodni nie zaglądał do swojego albumu z wycinkami, czas nie pozwalał. Walka z powodzią, trudne żniwa dodane do normalnych miejskich kłopotów wypełniły dni i noce po brzegi. Zebrało się trochę nowych wycinków, trzeba je powlepić.

Żarnowiec wyciąga z szafy swoje albumy. To wklejanie nowych wycinków stanowi właściwie pretekst. Żarnowiec po prostu lubi przeglądać swoje albumy wstecz, aż do tych pierwszych, których kartki są żółtawe i kruche, szeleszczą sucho jak liście na parapecie okna. Waław Żarnowiec zna takich, co lubią wspominać - dawne boje i surowe, pełne - zmagania i wyrzeczeń trudy pierwszych powojennych lat, by potem wzdychać i z rezygnacją machać ręką:

- Ech, bracie, to były czasy. Nie to, co dziś. Oddychało się jakoś szeroko, robiło się do utraty tchu, namawiać nie było potrzeba. Spróbowałbyś tak dziś.

Odchodzą od wspomnień do swoich bieżących spraw, pograżają się w leniwych odmětach codzienności i zwątpienia. Był czas, że Żarnowiec też się poddał tej tępotcie powszedniości. Mimowolnym ratunkiem okazały się dla niego te właśnie wycinki.

Działo się to w niedobrym dla Żarnowca okresie. Przesuwały się przed nim twarze ludzi zawzięte, niechętne, musiał wysłuchiwać albo gorzkich słów, pełnych żalu i pretensji, albo zaciętego milczenia. Nikt mu nie wychodził naprzeciw. Nikt. Stał się nagle samotny.

W komitecie, tak kiedyś ruchliwym i pełnym zgiełku, zapanowała głucha cisza. Puste korytarze, na których nikt na niego nie czekał, by łapać go, przebiegającego, za rękę, aby w locie wysłuchiwał skarg i zawyłych wyznań - po prostu straszły. Ludzie odeszli, zabrali swoje troski ze sobą, nie chcieli już jego pomocy, nie wierzyli w nią, stała się dla nich niepotrzebna i zbędna jego dobra wola, jego dobra rada. Pewnej nocy, po dniu, kiedy to ani razu nie zadzwonił telefon na jego biurku, sięgnął po swoje albumy. Przeglądał je starannie, aby nie uronić ani jednego szczegółu na fotografiach, ani jednego słowa w notatkach, bo może właśnie jakiś nieważny pozornie fragment pozwoli mu zrozumieć, co się stało i z ludźmi, i z nim samym.

Oto zdjęcie ruin. Tak wyglądały Nowobory, kiedy przybył tu razem z wojskiem po wyzwoleniu. A oto pierwsza notatka na papierze twardym, szorstkim, grubym, łamliwym: „Pierwsza partia osiedleńców przybyła do Nowoborów”. Dalej - reportaż z uruchomienia elektrowni. Przemówienie działacza z Warszawy z okazji wyprodukowania pierwszej partii silników w odbudowanej fabryce. Między notatkami przerwy nieraz wielomiesięczne. Ale nie są to przerwy nieme, głuche, ślepe. Mówią więcej niż same wycinki: wtedy właśnie się pracowało na skrzypiącym mrozie za kawałek chleba albo unrowski ciuch. Darło się gołymi, odmrożonymi rękami zwały betonu,

rozdierało prymitywnym łomem kłębowiska pordzewiałych stalowych konstrukcji, szukało się śrubek w rozmokłej paci gruzów i popiołu.

Dalsze wycinki przywodzą na myśl pamiętnik matki, obserwującej rozwój swego dziecka. Już nauczyło się chodzić, już daje sobie jako tako radę. Pora na przyjemności, chociaż i kłopotów nie brak. A więc: „Uruchomienie pierwszego kina w Nowoborach” i „W sklepach - znów brak dziecięcego obuwia”. „Kiedy nareszcie zostanie uruchomiony szpital miejski?” - pyta ciekawski dziennikarz z wojewódzkiej gazety. „Nowoborzanie własnym wysiłkiem budują boisko sportowe.” „Gdzie troska o bhp w fabryce S-2?” - alarmuje dziennik warszawski. Inny chwali: „Zespół amatorski z Nowoborów może stanowić przykład dobrej roboty kulturalno-oświatowej na - Ziemiach Zachodnich”.

Odpowiedzi na swoje wątpliwości Żarnowiec tamtej nocy nie znalazł w szczegółach. Suma wspomnień, doświadczeń, przypomnianych przez wycinki, odkryła mu prawdę i pokazała drogę. Przełamał swoją gorycz, swoje odosobnienie, swój żal do ludzi o niewdzięczność i niezrozumienie. Następnego dnia mówił w fabryce na zebraniu załogi:

- Gdybyśmy teraz powiedzieli: precz z tym wszystkim, cośmy zrobili przez tamte lata, precz, dlatego, że wiele rzeczy działo się nie tak, jak by powinny się dziać - postępowałibyśmy jak człowiek, który burzy swój własny, z największym poświęceniem wzniesiony dom, dlatego że drzwi z pokoju do pokoju zrobił nie tam, gdzie trzeba, albo żal mu się zrobiło blizn na ciele, pozostałych po ciężkich skaleczeniach, bo pracować musiał przy pomocy złych i tępych narzędzi. Nasz dom stoi i to jest fakt niezaprzeczalny. Potrzebne nam nie zwątpienie i nie opuszczanie rąk, nie sarkanie i prześmiewanie się z naszych potknięć, ale duma, poczucie własnej godności jako ludzi i jako narodu. Nie musi być złe to, cośmy zrobili, i to, co robimy, jeżeli pomyłki nie rozwały naszej budowy. O tym, co było złe, trzeba pamiętać, żeby pomyłek nie powtarzać. Ale kto idzie dalej z opuszczoną głową, daleko nie zajdzie. A my chcemy iść daleko, bo stać nas na to.

Potem Żarnowiec przez wiele dni i tygodni chodził po mieście. Szedł do ludzi, którzy odwracali się plecami na jego widok, i zmuszał ich, żeby patrzyli mu w twarz. Sekretarka niezamordowanie odpowiadała przez telefon:

- Nie, nie ma towarzysza Żarnowca. Wyszedł na spotkanie z młodzieżą, dziś już nie będzie. Jutro? Jutro ma naradę z handlem, ale też na mieście. Proszę dzwonić do domu, późnym wieczorem, jeżeli to coś pilnego.

Ten okres Żarnowiec dawno już ma za sobą. Wiele ognia, którym wypalał nie gojące się rany, zdążyło znów przygasnąć. Dni powszednie mają to do siebie, że bywają jak drobna, niemal niewidoczna rozpylona w powietrzu mżawka: przygaszają niepostrzeżenie ognisko, pozostaje gryzący kłęb dymu i wąty żar pod popiołem. Coś jednak przetrwało. I z tamtych, pierwszych, zawziętych lat i z lat wielkiego samozadowolenia, i z miesięcy bolesnych rozgoryczeń. Jak w małżeństwie: pamięć miłości obok pamięci zawodów, uraz i krzywd.

Sierpniowe popołudnie niczym jednak nie rani, jest łagodne i skłania do rozmyślań wyrozumiałych i podobnych do dojrzałych, jesiennych owoców.

Żarnowiec otwiera album, noszący na okładce nalepkę z wypisaną datą: „Rok 1960”. Pierwsza notatka, która rzuca mu się w oczy, dotyczy katastrofy na przejeździe. „Noc grozy w Nowoborach”, „Całe miasto spieszy z pomocą rannym” - donosiła prasa wojewódzka i ogólnokrajowa. Żarnowiec odczytuje jeden z reportaży i zdaje mu się, że po raz pierwszy dowiaduje się o tym, co działo się przecież przy jego bezpośrednim udziale. Reportaż, podpisany „S. Pogoda-Kalicki”, nosi tytuł: „Człowiek nie jest sam”. Czerwonym ołówkiem Żarnowiec pozakreślał swego czasu niektóre fragmenty reportażu, które poruszyły go szczególnie:

„Nie było jeszcze żadnego wezwania. Był tylko donośny jęk syren karetek. Lekarze na schodach zakładali w pośpiechu jesionki, wszystkie ulice miasta prowadziły do szpitala...

...gdy na przejeździe kolejowym dopełniała się tragedia pięćdziesięciu jeden istnień ludzkich, w szpitalu było zaledwie

czterech lekarzy. Jak wynikało z normalnego dyżuru chirurgii. Kilkanaście minut po godzinie dwudziestej drugiej kończył dopinać biały fartuch dwudziesty dziewiąty lekarz.

...Po chwili tysiące ludzi idzie trasą ratunku.

...Kiedy karetki zajeżdżały przed szpital, z milczącego tłumu wybiegali mężczyźni w jesionkach, w ubraniach tylko, w swetrach i bez słowa ujmowali za rączki nosze. Obcy, przypadkowi przechodnie. Godzinę wcześniej kładli się do snu, wychylali kieliszek wódki, siedzieli w kinie.

...W ciągu tej nocy dokonano dwudziestu sześciu wielkich, kompleksowych zabiegów operacyjnych, trepanacji czaszek, usunięcia pękniętej śledziony, złamania ud... Kliniczne, profesorskie operacje.

...Szpital jest właśnie w stanie kapitalnego remontu. W gabinecie rentgenowskim zwisają przewody prowizorycznej instalacji. Właściwie aparat jest z powodu remontu nieczynny. Mimo to dokonano tej nocy siedemdziesięciu zdjęć; uratują one kilkunastu ludzi od kalectwa.

Jest już na posterunku cała obsługa dzienna kuchni i magazynów. Statystyczki medyczne przeprowadzają identyfikację nieprzytomnych rannych, naklejają na przegubach plaster z kolejnym numerem. Są wszyscy rzemieślnicy. Hydraulik, ślusarz, elektryk... Pielęgniarki nie tylko z oddziału chirurgii... Nie wiem, czy nawet jedną trzecią zdołano wezwać telefonicznie i przez gońców. Większość przybiegła bez wezwania. Będa pracowały całą noc, a jutro od ósmej rano czekają na nie normalne dyżury, praca w ambulatoriach...

...technik budowlany odwija rękaw koszuli. Zapoczątkowuje kolejkę stu sześćdziesięciu honorowych dawców krwi. Robotnicy, urzędnicy, młodzież. Po kilkanaście, kilkadziesiąt kilometrów przyjeżdżają ludzie z daniną krwi.

...gdy opuszczam szpital, jest to już dziewięćdziesiąta trzecia godzina tego stanu alarmowego medycyny”.

Wacław Żarnowiec przymyka oczy i widzi znów zimową noc, noc tragedii i otwartych na roścież ludzkich serc, ludzkich ramion, wyciągających się spontanicznie ze wszystkich stron,

by ponieść w nich ciężar zmasakrowanego ciała obcego, nieznanego człowieka. W myślach kładzie rękę na ciemnej głowie drobnego, szczupłego chłopca, który nie żyje i przemawia do niego przyjaźnie: „Widzisz, Kaziku, miałeś rację. To twoje gwiazdy na ziemi. Wiesz co? Jednak udało mi się je zobaczyć. Raz, lecz tego się już nigdy potem nie zapomina”.

Ale co dalej? Co działo się później, po tej katastrofie w Nowoborach? Które gwiazdy zgasły jak meteory, które świecą jeszcze nadal, które z nich przesłoniły chmury? Waclaw Żarnowiec stara się pomóc swej pamięci, sięgając po następne notatki z gazet i czasopism.

„List gończy. Podczas konwoju zbiegł i ukrywa się dwudziestodwuletni Zdzisław Borucki, notoryczny awanturnik, który miał być sądzony za usiłowanie popełnienia zabójstwa na Edwardzie Feliksiaku przez pchnięcie go nożem. Podajemy rysopis poszukiwanego Zdzisława Boruckiego: wysoki szatyn, oczy piwne, twarz owalna. Ktokolwiek wiedziałby...”

Nikt nie wiedział. A może i wiedział, lecz do Milicji wieść ta nie dotarła. Dotychczas jeszcze nie udało się złapać Zdzisława Boruckiego, ale po dziś dzień w kołach jego młodocianych wielbicieli opowiada się z zapartym tchem, jak to Zdzisiek poszedł sobie niby nic oddać krew w szpitalu dla rannych z katastrofy, bimbając na to, że mogą go złapać. Legenda obrosła szczegółami, które zapewne nie istniały. Że Zdzisiek tylko spojrzał na spotkanego milicjanta i ten umknął na jego widok, że sam wezwał do szpitala prokuratora Branda przez telefon, zawiadamiając go, że tam mogą się spotkać, bo chciał, żeby wszystko odbyło się z należytą pompą i z fasonem; jeżeli mają go brać, niech to będzie nie byle milicjant, ale sam prokurator. I tak dalej.

Przypadek chyba sprawił, że tych kilka notatek prasowych sąsiaduje ze sobą. Oto bowiem druga dotycząca tego samego, co Zdzisiek, kręgu ludzi:

„Edward Feliksiak, znany w Nowoborach chuligan, który niedawno wyszedł ze szpitala, gdzie przebywał na kuracji po zranieniu go przez kompana, pobił wieczorem dnia 17 lipca

przechodnia, ob. W., do utraty przytomności. Feliksiak w więzieniu oczekuje na rozprawę”.

A Franka Koralczyk? Co dzieje się z Franką Koralczyk, która z taką starannością podczas akcji ratowniczej zbierała bagaże rannych, a potem opiekowała się dziećmi elektryka Bolesława Kraski, pełniącego nieprzerwany dyżur przy prowizorycznej instalacji w szpitalu przez cztery dni i trzy noce?

Tytuł notatki: „Sąsiadka okazała się złodziejką”. Tekst zaś głosi: „Od dłuższego czasu lokatorom domu przy ulicy Mokrej 33 ginęły ze strychu suszące się tam sztuki bielizny, zwłaszcza bielizny dziecięcej. Ubiegłej nocy w pomieszczeniu znajdującym się obok strychu i zajmowanym przez Franciszkę Koralczyk, nigdzie nie pracującą, wybuchł pożar, zaprószone prawdopodobnie przez jednego z mężczyzn, odwiedzających Koralczykównę. Podczas gaszenia pożaru w starym kufrze w przyległej komórce znaleziono rzeczy, które lokatorzy rozpoznali jako swoją własność. Franciszka Koralczyk nie udzieliła na ten temat żadnych wyjaśnień, gdyż znajdowała się w tym czasie w stanie kompletnego zamroczenia alkoholowego. Opilstwo to okazało się fatalne w skutkach, albowiem Koralczykówna zmarła, nie odzyskawszy przytomności”.

- Zapłała się - oświadczył poufale Żarnowcowi któregoś dnia spotkany przypadkowo na ulicy król nowoborskiego podziemia złodziejskiego, Kurzawa. Od czasu gdy na przejeździe pomagał w ratowaniu ofiar katastrofy, uważał za właściwe uprzejmie kłaniać się władzy, na ulicy. O France mówił: - Jej już nie do życia było. Od tej katastrofy całkiem się jej we łbie pomieszało. Jakąś dziewczynkę tam widziała zabitą, ciurkiem o niej bredziła.

Personalnie o Kurzawie żadnej wzmianki w swoim albumie Żarnowiec nie posiada. Chyba żeby do niego odnosiła się notatka treści następującej:

„W nocy z soboty na niedzielę dokonano w sklepie spożywczym na Rynku zuchwałego włamania. Łupem złodziei padły towary ogólnej wartości około 100 000 złotych. Sprawców nie ujęto. Milicja czyni usilne starania w celu wykrycia złodziei”.

Włamanie zdarzyło się miesiąc temu, jak dotychczas na razie sprawców nie odnaleziono.

Niedaleko Nowoborów, w lasach, znajduje się dziwna, stroma skała. Stara legenda, którą Żarnowiec również odnotował w swoich zapiskach, głosi, iż w skale tej znajdują się ukryte nieprzebrane skarby. Aby do nich dotrzeć, trzeba nie tylko znać zaklęcie; człowiek, pragnący je posiadać, także musi odpowiadać pewnym warunkom. Musi to mianowicie być ktoś, kto w życiu doznał wszystkich nieszczęść, jakie tylko człowieka mogą dotknąć, i pomimo to nie uczynił nikomu żadnej krzywdy. Podobno znalazł się jeden taki przed wieloma laty. On to, zdobywszy skarby, pobudował zamek nowoborski, którego ruiny za miastem chodzą zwiedzać turyści i wycieczki szkolne. Od tamtej pory nie słychać, by ktokolwiek wzbogacił się w podobny sposób. Żarnowiec zamyślił się. Ta bajeczka jakoś mu pasuje do niektórych ludzi, którzy tamtej, styczniowej nocy i w ciągu następnych dni zapomnieli o sobie, zapomnieli, jacy są, i ratowali rannych. Na jedną noc, na kilkadziesiąt godzin stali się posiadaczami „dobrego słowa” - bo tak brzmiało hasło nowoborskiej średniowiecznej legendy. Ale to bardzo trudne: mieć złe życie i zachować dobroć, cnotę wzgardzoną, nieprzydatną i śmieszoną. Więc Kurzawa będzie kradł dalej, dopóki go nie złapią i nie udowodnią mu rabunku. Borucki gdzieś na drugim końcu Polski rozrabiać będzie, jak rozrabiał, Feliksiak nie raz jeszcze posiedzi w więzieniu za pijackie burdy, żadnej z dziewczyn wałęsających się nocą po nowoborskich ulicach nie odstraszy tragiczny finał życia Franki Koralczyk.

No, a inni? Inni ludzie w Nowoborach, tacy sobie zwykli ludzie, tacy przeciętni, tak zwani porządni ludzie, nie wykolejeni jak tamci? Czy tamta noc, która pokazała im, nie jakimi są, ale jakimi być mogą, być potrafią, zmieniła cokolwiek w ich życiu, odwiodła od lubego zapatrzenia się w koniec własnego nosa, najważniejszy dla nich na świecie? „Bynajmniej” - stwierdza to Żarnowiec trzeźwo i nie bez goryczy. Może nawet i wstydzą się tamtego odruchowego porwy. Nie chcą o nim pamiętać, zawstydza ich to wspomnienie.

- Ach tak, tak... Wtedy to było zupełnie co innego. Sytuacja wyjątkowa - powiedział mu ktoś, odmawiając jego prośbie o wzięcie udziału w jakiejś akcji społecznej.

Zdaje się, że chodziło o to, co wymyślili „ci od Lendy” - bo tak ich nazywają ze złośliwym uśmieszkiem zarówno miejscowe pięknoduchy, jak i obiboki. Błądząc myślami po przestronnych obszarach społecznych instynktów nowoborzan i nowoborzanek, Żarnowiec nie zauważył, że od pewnego czasu wpatruje się bez przerwy w zdjęcie wycięte z gazety i opatrzone obszernym podpisem. Podpis wyjaśniał:

„Oto grupa młodzieży z nowoborskich zakładów S-2, która objęła patronat nad miejscowym Domem Dziecka. Młodzież nie tylko organizuje systematycznie zbiórkę odzieży i zabawek dla swoich podopiecznych, lecz również urządza dla dzieci przedstawienia i zabawy. Nowym pomysłem jest zabieranie wychowanków Domu na kilkudniowy pobyt w domach prywatnych z okazji świąt oraz na niedziele. Inicjatywa młodych z Nowoborów jest godna pochwały i naśladowania”.

„Autor notatki nie wysilił się zbyt - myśli Żarnowiec. - Bardzo to «szkolne» i moralizatorskie. Rzeczywistość jest dużo trudniejsza i w rezultacie bardzo piękna, po ludzku wzruszająca. Dużo przeszkód musieli pokonać ci młodzi, będący sami jeszcze po trochu dziećmi, aby okazać pomoc malutkim ludziom nie tyle osieroconym, ile przeważnie porzuconym i skrzywdzonym przez ludzi dorosłych. Z własnego, trudnego dnia, dzielonego między pracę i naukę, a często jeszcze i obowiązki domowe, musieli wykrawać godziny dla tych dzieci. Musieli przewycięzać nie tylko ludzką obojętność, bierność, ale także w sobie samych głuszyć natrętny refren popularnego szlagieru: «Myśl o sobie! Myśl o sobie! Myśl tylko i zawsze o sobie!» Musieli przejść do porządku nad złośliwością i wzdurliwym wzruszeniem ramionami: «Że też im się chce» i «Co oni będą z tego mieli». Często niechęć bliskich: «Sami nie mamy pieniędzy. A czasami po prostu pokusę: «Nie pojedę dziś do tych malców, tak bardzo chce mi się iść na mecz. Też mi się coś w życiu należy».

Sam Marek bezpośrednio właściwie niezbyt wiele miał z całą tą akcją wspólnego. Oczywiście, to on odciągnął część nowoborskiej młodzieży od Feliksiaków i Boruckich, pomógł przebudzić się pragnieniom i potrzebom, z których istnienia nie zdawali sobie sprawy. Mimo to jednak nie ma go na zdjęciu grupy chłopców i dziewcząt, zabawiających maluchów pluszowym niedźwiadkiem. Nie dlatego, że zdrowie jego wciąż jeszcze pozostawia wiele do życzenia po pamiętnej katastrofie na przejeździe. Z Markiem nie taka prosta sprawa. Częściowo mogą ją wyjaśnić dwie notatki z albumu wycinków Wacława Żarnowca. Pierwsza z nich jest krótka i pochodzi z gazetki ściennej fabryki silników:

„Młodzież Zakładów S-2 składa serdeczne życzenia szczęścia i pomyślności koledze Markowi Lendzie i siostrze Florze Dyląg z okazji ich ślubu. Młodej parze - sto lat!”

Drugi wycinek to artykuł z „Trybuny Ludu”. Mowa w nim o przejściu fabryki S-2 na nowe normy. Zakreślony czerwonym ołówkiem przez Żarnowca fragment brzmi:

„Już teraz cała załoga uznała słuszność i przydatność nowych norm, przekonana przykładem brygady młodzieżowej. Nawet najoporniejsi, starzy i doświadczeni majstrowie przyznają obecnie, że młodzież miała rację”.

Oto dwa sukcesy życiowe Marka Lendy, czemu więc Żarnowiec myśli z troską o młodym człowieku?

- Marek zrobił się teraz taki ważny - skarżył się Żarnowcowi jeden z chłopców - że ani do niego przystąpił. Od kiedy go do rady wybrali, czasu nigdy nie ma, żeby z nim pogadać, poradzić się. „Całą fabrykę mam teraz na głowie - powiada do nas - a nie was jednych, radźcie sobie sami.”

Żarnowiec był świadkiem na ślubie Marka i Flory. Drugim świadkiem był Donat. Któregoś dnia pod koniec lipca Żarnowiec spotkał Florę. Nie pracowała już w szpitalu, przeniosła się do Ośrodka Zdrowia, w ten sposób mogła więcej czasu poświęcać Markowi. Szła z zakupami, smutna i zasepiona.

- Boję się, co to będzie z nami dalej - mówiła do Żarnowca. Widocznie czuła potrzebę zwierzenia się komukolwiek ze

swojego zmartwienia. - Marek wciąż nie może mi zapomnieć tej historii z Firminem. Przez to właściwie musiałam opuścić szpital, chociaż zarabiałam tam lepiej i nauczyć się mogłam czegoś więcej, niż umiem. Jest przykry, zazdrosny, dokucza mi. No cóż, ja rozumiem, chory człowiek. On jeszcze długo będzie kulał, ale jest niecierpliwy, wmówił sobie, że już do końca życia zostanie kaleką i że ja z litości tylko wyszłam za niego. I że na pewno kiedyś go rzucę, bo znudzi mi się taki ułomny mąż. Niech tylko spojrzę na jakiegoś przechodnia na ulicy, zaraz awantura. I to wszystko w kilka miesięcy po ślubie, co to będzie za kilka lat, kiedy stracę cierpliwość?

Patrzyła na niego z obawą i niepokojem w wielkich, piwnych oczach. Krótka sukienka bez rękawów odsłaniała ładne, gładkie ramiona, zgrabne nogi; kasztanowate włosy błyszcząły w słońcu ciepłym brązem. „Przystojna kobieta - pomyślał Żarnowiec. - Trochę się temu Markowi nie dziwię.” Jego argumenty nie bardzo trafiały Florze do przekonania. Że to Markowi przejdzie, że ona swoim postępowaniem i zachowaniem się odzyska w końcu jego zaufanie, że to dowód, iż Marek naprawdę ją bardzo kocha. Odeszła krokiem świadczącym dobitniej niż słowa o zmęczeniu i zniechęceniu. W prawej ręce niosła koszyk z zakupami, lewą przyciskała do piersi pęk krwistych i rdzawych dalii. Wyglądało to, jak gdyby dłonią usiłowała przytłumić ciemny płomień lęku o swoje szczęście, wydobywający się z serca i przenikający na zewnątrz jej ciała przez lekką, jasną tkaninę letniej sukienki.

Zaniepokojony tym wyznaniem Flory, Żarnowiec wstąpił kiedyś do Lendów pod pozorem porozmawiania z Markiem o sprawach fabryki. Zastał rodzinę przy obiedzie. Atmosfera panowała nieprzyjemna, duszna, pełna napięcia. Widocznie znów się posprzeczali. Oczy Marka błyszcząły gniewem i urazą, jadł od niechcienia.

- Znów zapomniałaś dodać cebuli do placków, Fiordu, przecież wiesz, że Marek lubi placki z cebulką, mówiłam ci - głos starej Lendowej brzmiał cicho, lecz z wyrzutem.

Marek odłożył demonstracyjnie widelec. Flora odwróciła się, może miała łzy w oczach, a może także wzbierał w niej gniew,

który usiłowała jeszcze kryć. Żarnowiec pomyślał: poeci opiewali zawsze miłość wielką i wspaniałą, którą niszczą i łamią okoliczności niezwykle, tragiczne dramaty, walka namiętności ponad ludzką miarę, zbrodnie, wojny lub śmierć. To nie tak. Największym wrogiem miłości jest powszedniość. Owe drobiazgi codziennego życia, które oplatają i duszą największe nawet uczucia jak gęsta i lepka pajęczna sieć. Przez wielkie przeszkody miłość może przefrunąć na skrzydłach, przez małe musi się czołgać na kłęczkach. Bohaterami miłości nie są ci, którzy uzbrojeni w szpadę czy miecz kładą trupem niezliczonych wrogów swojej kochanki, ale którzy wybaczyć jej potrafią niewłaściwie przyrządzoną ulubioną potrawę. Niestety, nikogo nie można nauczyć sztuki współżycia we dwoje, mówi o tym historia ludzkości. A może dlatego właśnie miłość nie przestaje być atrakcyjna, zawsze nęcąca i świeża, odradzająca się w każdym pokoleniu, że każdy musi sam poznawać od początku do końca jej upadki i wzloty, zasadzki i sposoby. Miłość znana ze słyszenia czy lektury jest tylko widokówką z dalekiego kraju, pełnego uroków i niespodziewanych niebezpieczeństw. Córce nic po tym, że matka opowiada jej o pierwszym okresie swojego małżeństwa i być może nawet ostrzega ją i daje dobre rady: ona tego nie widziała, nie było jej na świecie albo była jeszcze małym dzieckiem. Otrzymuje obraz miłości swojej matki zniekształcony przez lata, które minęły, wzór to dla niej bez wartości jak model sukni albo film sprzed lat: śmieszny fason i nienaturalny gest.

Żarnowiec nie wie, czy może i jak w ogóle mógłby pomóc Markowi i Florze. Dałby im jakiś znak, wyrzekłby życzliwe słowo, ale oni i on stanowią jak by dwa okręty mijające się z dala na morzu, gest zniekształci oddalenie, słowo zagłuszy wiatr i szum fal. Oni nawet nie chcą nic widzieć ni słyszeć. Może dopłyną do swojego portu, a może rozbiją się o skały lub osiadą na mieliźnie. Ani Żarnowiec, ani oni sami, ani nikt na świecie nie zdoła tego przewidzieć.

Żarnowiec z westchnieniem odrywa się od fotografii, na której nie szczupła, śniada twarz Marka, lecz brak tej twarzy

sprawił, iż poświęcił mu chwilę niespokojnej i smutnej zadumy. Na Żarnowca czekają teraz strony gęsto wylepione obszernymi prasowymi sprawozdaniami. Będzie przedzierać się przez nie z trudem i bólem, tak jak przeżył tygodnie procesu Łucji Bitmarowej.

Neofita, człowiek świeżo nawrócony na jakąś wiarę, nie chce nawet słuchać, kiedy mu mówią, że jego duszpasterz jest człowiekiem duchowo ułomnym i grzesznym. Żarnowiec nigdy nie lubił środowiska lekarskiego. Wydawało mu się ono sztucznie wyobcowane ze społeczeństwa, bezzasadnie wywyższone. Chętnie dawał posłuch prawdziwym lub zmyślonym wieściom o krociowych zarobkach lekarzy, o bezdusznym traktowaniu przez nich niezamożnych pacjentów, o karierowiczostwie i wstecznych poglądach. Kilka ostatnich głośnych procesów zdawało się potwierdzać jego nieufność. W dniach, które nastąpiły po katastrofie na przejeździe, Żarnowiec przeżył coś w rodzaju wstrząsu. Ludzie w białych kitlach szpitalnych zaimponowali mu, poruszyli go do żywego swoją bezinteresownością, hartem woli, solidarnością.

Podziwiał zwłaszcza Łucję. Wieści ze szpitala rozchodziły się szybko i sprawnie po mieście. Wszyscy mówili głośno o operacji, jaką zrobiła Donatowej, o innych niebezpiecznych i trudnych operacyjnych zabiegach, które uratowały życie i zdrowie rannym w katastrofie. Żarnowiec poczuł dla tej drobnej, szczupłej kobiety o poważnych, szarych oczach nabożny niemal szacunek. I oto nagle wybuchła sprawa otrucia Donatowej. Oskarżenie, sformułowane,- jak zapewniał prokurator Brand, z całą ostrożnością i rozwagą, ujawniające w lekarce morderczynię, spadło na Żarnowca niby grom z jasnego nieba. Nie mógł i nie chciał w to uwierzyć. Czy mógłby jeszcze kiedykolwiek w ogóle Wierzyć ludziom, gdyby ta potworność okazała się prawdą? Nie mógł sprzeciwić się Brandowi, nie miał do tego żadnych podstaw i nie rozporządzał żadnym dowodem, który zdołałby obalić twierdzenie prokuratora.

Zdążył tylko jeszcze pojechać do szpitala, zanim Łucję arestowano. Gdy jechał, obawiał się, że zastanie kobietę zdenerwowaną, roztrzęsioną, szlochającą lub przynajmniej

zapłakaną. To by mu nie pasowało do obrazu, jaki miał w swojej pamięci. Łucja jednak nie zawiodła. Spokojna i opanowana, jak gdyby nic nie zaszło, przekazywała sprawy oddziału Firminowi. Powiedziała z przekąsem:

- Widzę, że moja sprawa już staje się głośna.

Kiedy ją wziął za rękę gestem, jakim dorośli bierze za rączkę dziecko chore, by je uspokoić, lub zaleknione, bojące się przejść przez jezdnię pełną rozpędzonych samochodów, przygarbiła się nagle i opuściła nisko głowę.

- Nikt mi nie wierzy... - szepnęła cicho - nikt mi nie chce wierzyć.

- A ja wierzę - odpowiedział jej równie cicho, jak by oboje zwierzali sobie tajemnicę albo wyznawali nieśmiałą miłość. - A ja wierzę.

Często patrzyła na niego podczas procesu. W ciemnej, średniowiecznej sali o łukowatych sklepieniach i wąskich oknach, w której kiedyś, być może, okrutnie sądzono kobiety oskarżone o czary, widział jej oczy zwrócone na niego. Tak samo chyba albo podobnie spoglądać musiały tamte kobiety, niewinnie skazywane, gdy szukały z rozpaczą jednego choćby świadka wśród ludzi spuszcających wzrok pod ich spojrzeniem, który z podniesioną głową powiedziałyby: „A ja nie wierzę. Nie wierzę, żeby to ona zrobiła”.

Od początku niemal sprawa Łucji Bitmarowej stała się sensacją w prasie nie tylko miejscowej, ale i ogólnokrajowej. Toteż wycinków ani efektownych tytułów w albumie Żarnowca nie brakowało: „Czy lekarka zamordowała żonę swego przyjaciela?”, „Po udanej operacji - dawka śmiertelnej trucizny”, „Nie zabiłam, ale czuję się winna - oświadczyła oskarżona”, „Kto zabił Irenę Donatową, młodą sławę polskiej archeologii?”.

- Zabito człowieka - mówił prokurator poważnie i surowo - te słowa jeszcze niestety zbyt często rozbrzmiewają w naszych salach sądowych. Zdarzają się zabójstwa podczas bójk, po pijanemu, w rodzinnych sporach, w celu rabunku. Wszelkie morderstwo budzi w każdym normalnym człowieku wstręt, w każdym zdrowym społeczeństwie wywołuje potępienie.

Pozbawienie bowiem życia innego człowieka jest sprzeczne z prawem natury, która sama wyznacza kres życia ludzkiego wtedy, gdy zużyty organizm nie jest już w stanie funkcjonować biologicznie. Zabójstwo wdziera się brutalnie w to prawo natury, ubiega ją w wykonywaniu tego prawa, przerywa życie człowieka wówczas, gdy cykl od narodzin i wzrastania do starzenia się i śmierci naturalnej nie został zamknięty, gdy organizm jeszcze przez czas dłuższy lub krótszy mógłby spełniać życiowe funkcje. To się jednak zdarza, chociaż napawa nas wstrętem i karane jest we wszystkich krajach świata z należąca surowością. To się zdarza, powtarzam, pod wpływem rozmaitych impulsów, okoliczności, tragicznych powikłań ludzkiego losu. Ale w tym wypadku, który Wysoki Sąd będzie rozpatrywać na tej sali, mamy do czynienia ze zbrodnią wyjątkowo ohydną. Nie tylko dlatego, że zabito młodą kobietę, bardzo zdolną, która swoją pracą dobrze służyła społeczeństwu. Zabito człowieka chorego, nieprzytomnego, nie mogącego się bronić. Zabito dlatego tylko, że jego istnienie przeszkadzało zabójcy w realizacji osobistych celów. Uczyniła to na dodatek lekarka, a zadaniem lekarza jest walka ze śmiercią, nie zaś zadawanie śmierci. Zabójczyni sprzeniewierzyła się zatem podwójnie: prawu natury i prawu swojego zawodu, obowiązkom swojego zawodu. Jest winna jako człowiek i jako lekarka. W myśl artykułu 225 kodeksu karnego stawiam wnioski o najwyższy wymiar kary dla oskarżonej Łucji Bitmarowej. Stawiam wnioski o karę śmierci.

W sali zapadła wtedy cisza. - Zdawałoby się, że tak licznie zgromadzeni w niej ludzie wszyscy jak na komendę wstrzymali oddech. Potem ktoś głośno westchnął, w jednej z ostatnich ławek rozległ się cichy kobiecy szloch. Siostra Maria ręką zakryła usta. Donat, nieporuszony, błady i wyprostowany, jak gdyby nie słyszał tego, co powiedział prokurator, wpatrywał się swymi bladoniebieskimi oczami w uchylone okno. Zaciśnięte, wąskie usta nadawały jego twarzy wyraz posepny i zawzięty. Drobną postać na ławie oskarżonych drgnęła i zgarbiła się niby pod niewidzialnym ciosem. Przymknęła oczy. Żarnowiec poczuł bolesne, dotkliwe ukłucie w sercu.

Obrońca oskarżonej, mecenas Żemła, przeciwstawiał argumentom prokuratora swoje racje, które brzmiały logicznie, lecz w świetle zeznań świadków niewiele chyba mogły pomóc Łucji:

- Artykuł 225 kodeksu karnego, na który powołuje się prokurator, zaczyna się od słów: „Kto zabija człowieka...” Ale my faktycznie nie wiemy, proszę Wysokiego Sądu, kto zabił Irenę Donatową. Jest to proces poszlakowy, w procesie poszlakowym stosowana bywa zasada, że fakt wątpliwy należy interpretować na dobro oskarżonego. Mając do wyboru dwie koncepcje przeznaczenia opłatka z cyjankali, noszonego w kieszeni fartucha przez oskarżoną, a więc pierwszą: że doktor Bitmarowa miała go przy sobie, zamierzając popełnić samobójstwo, i drugą: że zaopatrzyła się w truciznę, aby pozbawić życia żonę przyjaciela - musimy zdecydować się na tę interpretację, która nie obciąża ludzkiego i lekarskiego sumienia oskarżonej. A raczej obciąża je w mniejszym stopniu, bo przecież nikt nie pochwała samobójstwa. Łucja Bitmarowa jest tą, która postanowiła ustąpić. Zamiar ten, powtarzam, niedobry zamiar, zniweczyła katastrofa. Poczucie lekarskiego obowiązku wzięło górę nad osobistą tragedią. W momencie kiedy zabrzmiały syreny Pogotowia, Łucja Bitmarowa mogła jeszcze zdążyć zażyć truciznę. Nie zrobiła tego. Pobiegnęła ratować życie rannym. Podkreślam specjalnie ten fakt, chociaż sprawa ta stanowi osobistą, najbardziej osobistą domenę doktor Bitmarowej jako kobiety i jest sprawą przykrą i bolesną. Ale wybór dokonany tamtej nocy świadczy jak najbardziej dodatkowo o oskarżonej jako o lekarzu. Po raz drugi lekarka zwyciężyła kobietę, gdy przystępowała do operowania Ireny Donatowej. Mogła odmówić zrobienia tej operacji. Słyszeliśmy tu, na tej sali, głos rzeczoznawcy, wielkiej profesorskiej sławy. Profesor C. stwierdził, iż sam wahałby się w podjęciu decyzji, gdyby miał do takiej operacji przystąpić w podobnych warunkach. Po wielu godzinach męczącej pracy. Przy braku odpowiednich urządzeń. Bez całego sztabu pomocników, niezbędnego przy tak skomplikowanym operacyjnym zabiegu. Operacja się udała. Udała się mimo ogromnego ryzyka. A

przecież mogła Łucja Bitmarowa, gdyby zamierzała uśmiercić Irenę Donatową, popełnić po prostu przy operowaniu drobną jakąś pomyłkę. Nikt by Jej nie udowodnił celowości działania. Pan profesor tu stwierdził, iż zgon operowanej jeszcze na stole operacyjnym, bądź też zaraz po operacji, nie wywołałby niczyjego podejrzenia. Łucja Bitmarowa tego nie zrobiła, przeprowadziła operację zgodnie ze swym lekarskim sumieniem, włożyła w pracę całą swoją wiedzę i umiejętność. Czy po to uratowała życie Irenie Donatowej, by je potem odebrać? Ośmielę się użyć tu ostrego słowa i z góry przepraszam za to Wysoki Sąd - to nonsens.

Ktoś ze świadków składał na karb ambicji zawodowej to, że doktor Bitmarowa podjęła się operacji, wiedząc, iż jest ona ryzykowna i trudna. Zdaje się, że powiedziała to świadek oskarżenia, Bitmarówna. Świadek Donat usiłował sugerować, iż ta nielogiczność wypływa z kobiecej niekonsekwencji. W moim przekonaniu niekonsekwencji tej nie da się niczym wytłumaczyć, gdyż ona po prostu nie istnieje. Doktor Bitmarowa uratowała życie Irenie Donatowej i nie ona jest osobą, która Irenę Donatową pozbawiła życia. Obala tezę oskarżenia również i to, że Łucja Bitmarowa, jako osoba o wysokich walorach umysłowych, co potwierdzali świadkowie na tej sali, podejmując decyzję otrucia Ireny Donatowej musiałaby zdawać sobie sprawę, - iż podejrzenie zwróci się przede wszystkim przeciwko niej. Poszukiwaniem zgubionego opłatka zwracała przecież właśnie na siebie uwagę. Gdyby okoliczność ta stanowiła inscenizację, świadczyłaby o wielkiej naiwności oskarżonej. Na kogo bowiem pragnęłaby przerzucić winę? Kogo nią obciążyć? Nie widzimy takiego człowieka, na którego by oskarżona chciała wskazać palcem. Ktoś jednak wykorzystał lekkomyślność i nieuwagę doktor Bitmarowej. Kto to uczynił? Sprawą dalszego śledztwa jest wykryć sprawcę ohydneho zabójstwa. Proszę Wysoki Sąd o zmianę kwalifikacji prawnej w akcie oskarżenia. Łucja Bitmarowa powinna odpowiadać tylko i wyłącznie za nieostrożne obchodzenie się z trucizną, za niedopełnienie obowiązku. Jeżeli już bowiem przechowywała u siebie truciznę, co skądinąd sprzeczne jest z

przepisami służbowymi, obowiązkiem jej było tak ją zabezpieczyć, aby nie mogła dostać się w niepowołane ręce. Gdy zaś zgubiła ów opłatek z cyjankiem, obowiązkiem jej było zawiadomić o tym dyrekcję i personel szpitala. Proszę Wysoki Sąd o uniewinnienie Łucji Bitmarowej z zarzutu otrucia Ireny Donatowej.

Teraz, kiedy Żarnowiec po upływie kilku miesięcy odczytuje streszczenie mowy obrończej mecenasa Żemły, argumenty jego wydają mu się nieodparcie przekonujące, wtedy jednak tak nie było. Twarze sędziów pozostały niewzruszone, publiczność na sali szeptała cicho, nie zwracając nawet uwagi na to, co mówi obrońca. Rozprawa odbywała się w mieście wojewódzkim. Ci sędziowie, ci ludzie - poza świadkami i mieszkańcami z Nowoborów, przybyłymi z własnej woli, z ciekawości czy życzliwości dla Łucji - nie byli w stanie ocenić tego, co nadawało właściwy ciężar słowom mecenasa Żemły. Nie byli przecież w Nowoborach, kiedy z przejazdu godzinami zwożono rannych, kiedy dni i noce mijały, a lekarze i szpitalny personel wydobywali z siebie resztki sił, by nie zasnąć stojąc przy opatrunku. Nikt z nich nie potrafi więc zrozumieć, że - przynajmniej zdaniem Żarnowca - po tym wszystkim, co działo się wówczas w Nowoborach, Łucja Bitmarowa nie mogła zabić Ireny.

„Sensacyjny proces lekarki z Nowoborów, oskarżonej o otrucie żony swego przyjaciela trwa - donosiła gazeta wojewódzka. - Oskarżona nie przyznaje się do winy. W zeznaniu swym oświadczyła jednak, że czuje się moralnie odpowiedzialna za śmierć Ireny Donatowej, gdyż jako lekarka musiała przewidzieć, iż lekkomyślne obchodzenie się z trucizną może się stać przyczyną groźnego w skutkach wypadku. Trudno, oczywiście, przewidzieć werdykt sędziowski, ale wszystko wskazuje na winę oskarżonej.”

Sąd zarządził przerwę. Wraz z innymi Żarnowiec opuścił salę. Zdenerwowany, przechadzał się po długich, wąskich korytarzach, pełnych ludzi. W tłumie dojrzał wysoką, szczupłą postać prokuratora Branda. On także przyjechał na rozprawę. Podszedł do niego.

- Widzę, że bardzo przejmujecie się tą sprawą - powiedział Brand, kiedy się przywitali.

Żarnowiec wzruszył ramionami:

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Wciąż mi się zdaje, że coś tu nie pasuje, coś zostało pominięte, że nie dość dokładnie badano wszystkie okoliczności. I ciągle mi się zdaje, że coś się jeszcze musi stać, ale co” nie wiem. W każdym razie coś takiego, co uwolni tę kobietę od tak krzywdzącego i strasznego oskarżenia.

- Zapewniam was... - zaczął mu cierpliwie tłumaczyć Brand, ale nie skończył.

Stał przed nimi niewysoki, mizerny człowiek, w widoczny sposób zmieszany i obracał czapkę w palcach. Żarnowiec przypomniał sobie: Bolesław Kraska, elektryk z przedsiębiorstwa remontującego szpital. Zapamiętał i tę postać, i nazwisko, podobnie jak innych, którzy w dniach po katastrofie pracowali w szpitalu bez wytchnienia. Nazwisko Kraski powtarzało się zresztą kilkakrotnie w sprawozdaniach dziennikarskich z akcji ratunkowej. Czego chce od niego ten człowiek? Zjawia się w dość niefortunnej chwili. Prawdopodobnie chce się poskarżyć na stosunki w przedsiębiorstwie, może nie dopłacili mu za jakąś robotę albo mieszkanie chce zmienić.

- Wy do mnie? Jeżeli macie jakąś sprawę, przyjdźcie lepiej jutro do mnie do komitetu, z samego rana - starał się pohamować rozdrażnienie.

Kraska jednak nie odchodził. Głośno przelykał ślinę, jak gdyby w gardle mu zaschło z gorąca, przestępował z nogi na nogę:

- Ja... tak... Ja właściwie to może nie tyle do was... Ja... z prokuratorem... ale niech będzie i do was. Bo ja...

Brand dziwił się, zaskoczony:

- Do mnie? A o cóż to chodzi?

Kraska zdecydował się i zaczął mówić tak prędko, jak by się bał, że nie potrafi powiedzieć wszystkiego, co chce, jeżeli któryś z mężczyzn, stojących przed nim, przerwie mu w pół zdania:

- Obywatel prokurator mnie nie zna. Ale, towarzysz Żarnowiec to wie, kto ja. Bolesław Kraska, elektryk. Niech powie, widział mnie przy remoncie szpitala. Bo ja pracuję u Jantara, tego, co szpital remontuje. Obywatel prokurator może wie. A jak nie wie, to szkoda, bo to łajdactwo, a nie remont. Ale ja nie o tym teraz. Tylko o czym innym. Ja muszę... muszę coś powiedzieć. Obywatel prokurator niech pozwoli. Potem to już choćby i do więzienia mogę iść. Michalina, moja żona, tak mi powiedziała: „Musisz iść i powiedzieć, co wiesz, bo na sumieniu niewinne życie byś miał, to grzech i ja bym ciebie znać nie chciała”. Bo moja żona już w domu, zdrowa, towarzysz Żarnowiec może wie. Umrzeć miała, ale w szpitalu ją odratowali. Doktor Kora i ta doktorka, co ją teraz sądzą, i doktorzy w Warszawie.

Brand zrobił niecierpliwy gest ręką, nic z tego nie rozumiał. Bolesław Kraska nie pozwolił jednak sobie przerwać:

- Ja muszę o tym wszystkim, bo obywatel prokurator musi od początku i po porządku wiedzieć, co i jak. Po katastrofie, towarzysz Żarnowiec może pamięta, było nas tam paru takich, rzemieślników, przez trzy dni ze szpitala nie wyszliśmy, żeby woda albo światło nie nawaliły. No bo jak by to było, tyle rannych, a tu wody nie ma, światła nie ma. Pan inżynier Jantar też tam leżał, w katastrofie przygniotło go trochę, ale tylko trochę, bo taki to zawsze szczęście ma, we wszystkim. Jak tak leżał, to ja sobie pomyślałem, pójdę do niego, o moją premię się upomnę, co mi był winien od trzech miesięcy. Na budowie, przy robocie, to nigdy czasu na takie rzeczy nie ma: „Jutro przyjdźcie - powiada - głowy mi nie zawracajcie”. Więc tu, myślę, czas ma, pójdę i powiem mu, co ja o nim myślę. Pierwszego ani drugiego dnia czasu nie miałem, dopiero na - trzecią noc kolega mnie zastąpił, poszedłem zobaczyć, czy Jantar nie śpi. Podchodzę, patrzę, nie ma go w łóżku na korytarzu. Od tego pokoju, co w nim dyrektorowa Donatową leżała, drzwi otwarte. A w pokoju Jantar przy niej stoi, pochylony, szklanekę w ręce trzyma. Aż podskoczył, jak mnie zobaczył, i tylko rękami macha i szeptem do mnie, ale tak, jakby krzyczał: „Idź, idź pan, panie Kraska, stąd. Pić jej

dawałem, pić się jej zachciało. Idź pan stąd, tu nie wolno nikomu wchodzić”. Więc ja przeprosiłem i cichutko wyszedłem, drzwi zamknąłem. Nic sobie złego wtedy jeszcze nie pomyślałem, cóż, pić choremu człowiekowi dawać - nie krzywda, a zasługa. I nawet sobie pomyślałem, co to ten Jantar taki uczynny, bo on, jak by kogo widział, że na drodze zdycha z głodu, toby jeszcze kopnął. Ale pomyślałem sobie: dyrektorowi Donatowi widocznie chce się posłużyć...

Żarnowiec wstrzymał oddech. Spojrzał na Branda. Prokurator na przemian czerwienił się i bladł, patrzył w ziemię, przygryzając usta. Kraska zmęczył się, chyba nigdy jeszcze w swoim życiu tyle nie mówił, dużą zieloną chustką wytarł spocone czoło i ciągnął dalej:

- Jak tę panią doktor aresztowali, pomyślałem sobie nawet, czyby nie pójść do obywatela prokuratora i nie powiedzieć, co widziałem. Bo mi się nie zdawało, żeby ta pani doktor taka zła była, żeby kogo zabić tak bez litości. Ale mi z głowy wyszło, bo tu robota, a tu znów dzieci bez opieki. Jak Jantar wstał, to się migiem do roboty wziął, żeby jak najprędzej kończyć, ani nam odzipnąć nie dał. Dawniej to tygodniami nic się nie robiło, teraz to chciał na olaboga. „Przekonałem się - mówił - na własnej skórze, że szpital ludziom potrzebny.” Ale bo to prawda? Jakiś tam swój cel musiał w tym mieć. Nie tak sobie, ot, po prostu, bo on nie taki. Kiedyś mnie do siebie zawołał i tak mówi: „Panie Kraska. Wiem, że panu ciężko, bo żona chora, pieniędzy pewnie w domu nie macie wiele. Ma pan tu pięć tysięcy złotych. Odda mi pan, jak pan będzie miał, albo i wcale, ja mam pieniędzy jak lodu. Żal mi pana i dzieci, a pracownik z pana dobry, więcej się panu za robotę należy niż z listy płacy wypada. Pan wie, na budowie zarobi się to i owo na boku, to z tego właśnie panu daję, ale niech pan milczy, nikomu o tym nie mówi”. Mnie akurat pieniądze były bardzo potrzebne, ale się dziwię ogromnie, skąd tyle dobroci w panu Jantarze? Ja go przecie znam nie od dziś. I nie chcę brać, ale on mi te pieniądze gwałtem wpycha i mówi tak sobie, od niechcenia: „Aha, i jeszcze jedno, byłbym zapomniał. Żeby pan nigdy nikomu słowem nie pisał, że mnie pan tamtej nocy przy łóżku

dyrektorowej Donatowej widział. Zaczną mnie ciągać po przesłuchaniach, pytać, co i jak, a ja jej tylko pić dawałem”. Wsiadł w samochód i pojechał, a ja z tymi pieniędzmi jak głupi zostałem. Strach mnie wziął. Żony jeszcze wtedy nie było w domu, w Warszawie w szpitalu leżała, nie miałem się kogo poradzić. Jak on mi tyle pieniędzy dał, myślę sobie, to znaczy, że sprawa nieczysta. Ale pójść i powiedzieć? On się wykręci zawsze, a jeszcze mnie wkopie. Kiedyś zapowiedział na budowie, że jeżeli który z nas co piśnie o jego sprawkach, żywy do domu nie pójdzie. Pamięta obywatel prokurator, taki wypadek kiedyś mieliśmy na budowie, technik młody przyjechał, z rusztowania spadł, kark skrzył? Mówiło się - nieszczęśliwy wypadek. Taki to i był wypadek. Więc kto by chciał... jak on? Ja troje dzieci małych mam i żonę chorą.

Stłumiony gwar wielu ludzkich głosów przerwał nagle dzwonek, zapowiedź końca przerwy. Za chwilę rozpocznie się ostatnia część rozprawy przeciwko Łucji Bitmarowej. Sąd ogłosi wyrok. Przy szeroko otwartym oknie stoi Donat i oddycha z wysiłkiem, jak gdyby mu brakowało powietrza. Żarnowiec myśli: „On jeszcze nie wie. On jeszcze nie wie, jak bardzo będzie cierpiał za chwilę. To będzie dla niego o wiele gorsze, niż gdyby ją skazali na śmierć. Bo najgorsza śmierć to wtedy, kiedy się mówi: »ten człowiek umarł dla mnie, chociaż żyje«. Bo może ktoś umrze naprawdę, ale żyć w myślach ludzi bliskich. To nie Łucja umrze, to on umrze dla Łucji. Ale on jeszcze o tym nie wie...” Żarnowiec woła:

- Prędej, prędej, towarzyszu Brand, panie Kraska! Prędej!

Gazeta wojewódzka z datą następnego dnia donosiła: „Sensacyjny zwrot w sprawie nowoborskiej lekarki. W ostatniej chwili, tuż przed ogłoszeniem wyroku, zgłosił się do prokuratora świadek, którego zeznania całkowicie zmieniły tok procesu. Elektryk Bolesław Kraska widział na własne oczy, jak pseudo-inżynier Jantar podawał coś Irenie Donatowej. „Krzuszyła się - opowiada na sali sądowej - słyszałem, jak krzuszyła się”.

Inne gazety pisały już później: „Terror kliki w przedsiębiorstwie remontującym szpital przyczyną fatalnej

pomyłki sądowej”. „Inżynier Jantar ukrywa się. Nie wrócił do Nowoborów, mimo iż skończył mu się urlop. Milicja czyni usilne starania, by go odnaleźć.” „Inżynier Jantar zatrzymany w chwili, kiedy jako wycieczkowiec »Orbisu« miał przekroczyć granicę. Czy to miała być ucieczka?” „Milionowe nadużycia rzekomego inżyniera. Czy Irena Dortatowa wiedziała coś o złotych interesach Jantara?” I wreszcie: „Maurycy Jantar przyznaje się do otrucia Ireny Donatowej. Oto fragment jego zeznań: »Podczas jazdy autobusem, nie wiedząc, kim jest ta kobieta, zwierzyłem się jej lekkomyślnie z pewnych manipulacji materiałowych, jakie się robiło przy remoncie szpitala. Po katastrofie leżałem na korytarzu obok jej separatki. Dowiedziałem się, że to żona dyrektora Donata. Najpierw myślałem, że umrze. Ale ten profesor z Warszawy orzekł, że wszystko w porządku i że będzie żyć. Bałem się, że jak oprzytomnieje, powtórzy wszystko mężowi, dyrektor Donat i tak był na mnie cięty. Gdyby zaczęto dochodzić prawdy, wydałyby się moje nadużycia. Wiedziałem, jaka jest sytuacja doktor Bitmarowej. Kiedy zgubiła ten proszek, podniosłem go i schowałem pod poduszkę, jeszcze nie wiedziałem, co to jest, ale ona sama mi powiedziała, że to trucizna. No i skorzystałem z okazji. Wiedziałem, że podejrzenie padnie na Bitmarowa. Kto mógł wiedzieć, że ja do Donatowej mam swoje pretensje...”Żarnowiec oddycha z ulgą. Po wszystkim. Już po wszystkim. Łucja dostała swój wyrok z zawieszeniem za nieostrożne obchodzenie się z trucizną. Jantar dożywocie. „Czemu dożywocie?” - dziwiło się wielu. Prokurator założył rewizję. Może jeszcze Jantara powieszą. Wprawdzie dobre dusze walczą o zniesienie kary śmierci, ale Żarnowiec po cichu przyznaje się, że nie miałby nic przeciwko najsurowszemu wymiarowi w odniesieniu do Jantara.

Gdy Łucję zwolniono z więzienia, przyszła do Żarnowca dziękować:

- Gdyby nie pan... Pan jeden mi wierzył - mówiła splatając i rozplatając swoje palce, jeszcze szczuplejsze niż dawniej. Schudła i postarzała się. Złociste włosy zmatowiały, tu i ówdzie pobłyskiwała wśród nich siwizna, jak gdyby głowę Łucji

pokryto cienką siateczką z pajęczych nici. Dwie gorzkie fałdy koło ust nie zniknęły nawet wówczas, kiedy uśmiechała się nieśmiało do Żarnowca.

- Co pani doktor zamierza teraz robić? - spytał częstując ją papierosem. Teraz już nie umiał sobie wyobrazić Nowoborów bez tej kobiety, którą tak rzadko przecież widywał. Jakoś przyjemnie było mu myśleć, że ona tu jest.

Zauważył, że palce, trzymające papierosa, lekko drżą. Oczy jednak po dawnemu miała czyste, spokojne, chociaż od czasu do czasu przelatywał przez nie jak by cień. Odpowiedziała od razu:

- Przemyślałam sobie już wszystko... tam. W więzieniu. Dużo miałam czasu. Kiedy człowiek jest długo sam, sam ze sobą, zaczyna wiele rzeczy inaczej widzieć i rozumieć.

Chciał jej dopomóc, powiedział ciepło i zyczliwie:

- Żal i gorycz bywają czasami złym doradcą, nawet jeżeli są usprawiedliwione. - Pomyślał o Henryku Łozie. Potrzeba było aż rozpaczy, by roztopiła w nim gorycz i pogodziła go z ludźmi. Żarnowiec czułby się zawiedziony, gdyby poczucie niesprawiedliwości, jaka ją spotkała, wepchnęło tę kobietę w gniewne i zacięte odosobnienie.

Zaprzeczyła gorąco:

- O nie. To, co przeszłam, to, czego doznałam od ludzi, stało się dla mnie czymś w rodzaju odczynnika chemicznego. Cyjanek... cyjanek rozpuszcza złoto i pomaga wydobywać je ze złoza. Tak mi to przyszło do głowy właśnie w więzieniu. Że moja sprawa pokazała mi także, co warci są ludzie, z którymi żyłam, pracowałam, których jak mi się wydawało, znałam. Jedni ludzie znikli, inni wyodrębnili się z tłumu, przyszli mi pomóc. Nie znałam ludzi. Nikt nie zna ludzi, dopóki nie trafi mu się w życiu taka ciężka chwila, jak mnie. Nieszczęście to okrutna próba, ale nie ma innej, żeby się dowiedzieć o ludziach prawdy.

- Może kiedyś...

- Może kiedyś, ale nie dziś. Dziś jeszcze nie. Co ja mam zamiar robić, pytał pan. No cóż, tu przecież nie zostanę. Niech pan nie myśli, że ze względu na Donata. Nie. Między nami... nic

już nie istnieje. Przynajmniej z mojej strony. Pustka. To chyba gorsze od nienawiści. Mogłabym... Stać mnie na to, żeby przechadzać się przed nim nie rzuciwszy nawet okiem. A co on...? To mnie nie obchodzi.

- A więc...?"Czy nie ze względu na Firmina? - Żarnowiec nie zdawał sobie sprawy, że wypytuje Łucję z zazdrością zakochanego.

- Trochę tak. Trochę ze względu na Firmina. On zajął moje miejsce. To dobry, bardzo zdolny chirurg. Myślałam się, kiedy sądziłam, że tkwi w nim tylko pretensjonalny goguś. Pokazał, że umie i potrafi pracować. Gdybym teraz znów objęła stanowisko, on musiałby wrócić „do szeregu”, jak to się mówi. Takie nie zawinione degradacje zdarzają się, oczywiście, ale to nie jest właściwe. To stwarza urazy i kompleksy na całe życie. Niech więc zostanie tak, jak jest, tym bardziej że chcę i muszę przenieść się z powrotem do Warszawy.

- Czy dlatego może, że ludzie na ulicy oglądają się za panią? - Żarnowiec wciąż nie mógł zrozumieć przyczyn decyzji Łucji. - O ile wiem, nie ma pani doktor w Warszawie mieszkania, trudno będzie się urządzić.

- Wiem o tym. Na razie zamieszkałam u siostry. Poszukam sobie jakiegoś lokum, może nawet pod Warszawą. Widzi pan, ja postanowiłam wrócić do Pawła. Do mojego męża Pawła. Napisałam do niego, że wycofuję skargę rozwodową, o ile, oczywiście, nie ma on nic przeciwko temu. Odpisał mi. Otrzymałam od niego właśnie wczoraj bardzo serdeczny list.

Żarnowiec zdenerwował się. Zdusił w popielniczce papierosa, wstał, przeszedł się po pokoju i znów usiadł. Sam nie rozumiał, dlaczego ta decyzja Łucji wytrąciła go z równowagi. Chyba Bitmarowa wie, co robi. I chyba słusznie. Mimo to miał wątpliwości:

- Przepraszam... Ja bardzo przepraszam, że o to zapytam...

- Och, proszę się nie krępować. Przecież nie ma takiej mojej osobistej sprawy, która podczas procesu nie byłaby omawiana publicznie aż do najdrobniejszych szczegółów...

- Tak. To było bardzo przykre. Z tego, co właśnie na rozprawie poruszano, wiem, że wasze współżycie małżeńskie

było... bardzo nieszczęśliwe. Pani mąż to chory człowiek, nałogowiec... Czy nie bierze pani na siebie zbyt wielkiego ciężaru? Czy ma pani dość sił... po tym wszystkim, po całej tej sprawie?

Lucja ożywiła się. Widać było, że rozmowa z Żarnowcem na ten temat nie sprawia jej przykrości:

- Właśnie. Właśnie po tej sprawie jest mi to potrzebne. Żeby o niej zapomnieć. Trzeba zająć się czymś, sama praca nie wypełni mi przecież ani czasu, ani myśli, pozostaną z doby całe godziny. Puste i bezładne. Jak zniszczone, spalone, zrujnowane miasto. Nie. Na to nie mogłabym sobie pozwolić. To musiałoby się źle skończyć... dla mnie. Ale nie tylko o to chodzi. Ciężar... Pan powiedział: ciężar. A kto powiedział, że można przejść przez życie z torebką w rękę? Tylko młodzi i głupi tak sobie czasami życie wyobrażają, tym ciężiej im potem. Jeżeli mówiłam panu, że zrozumiałam wiele w więzieniu, miałam przede wszystkim na myśli poczucie odpowiedzialności. To ulubiony konik Donata: poczucie odpowiedzialności, potrafi o nim rozprawić stale, długo i mądrze. Ale on ma zawsze na myśli tylko odpowiedzialność w pracy. A przecież człowiek posiada także życie prywatne. Czy w nim nie obowiązuje poczucie odpowiedzialności?

- Niestety - przerwał jej Żarnowiec - wielu ludzi nie tylko tak sądzi, ale również tak postępuje. To jest zjawisko nagminne.

- Ale czy należy się z tym godzić? Czy nie należy się temu przeciwstawić? Przeciwdziałać? Ja też... ja też zatraciłam to poczucie w pewnym okresie życia.

Teraz o tym wiem. Przeze mnie zmarnowało się dwoje ludzi: mąż i córka. Wysłałam za mąż nie kochając Pawła. Zgoda: tego nie wolno mi było zrobić. Ale skoro już to zrobiłam, trzeba było ponieść wszystkie konsekwencje. A ja nie chciałam, buntowałam się. Wie pan, to dziwne, lecz miłość... Otóż mówią, że miłość zaślepia. Tak, na pewne sprawy czyni nas ślepyimi. Ale jednocześnie pozwala nam dostrzec i zrozumieć takie strony życia, które były przed nami zamknięte, jakby niedostępne dla naszych oczu i uszu. Kiedy tak bardzo... tak bardzo przywiązałam się do Donata... tak bardzo, że... Tak,

mogę to panu powiedzieć, nie chcę, żeby pan uważał mnie za jakiś ideał, to niepotrzebne, złudzenia czynią ludzi krótkowidzami... Otóż przywiązałam się do Donata tak bardzo, że niewiele by brakowało, a pozbawiłabym życia jego żonę. Tak, tak, niech pan się nie dziwi i niech mi pan nie przerywa. Nie chciałam jej operować, byłaby umarła. Donat dopiero mnie zmusił do operacji. W czasie operacji też miałam taki moment... Tak. Miałam taki moment. Powiem panu nawet, że gdyby mnie skazali, nie odczuwałabym tego jako niesprawiedliwości: ja Irenie życzyłam śmierci. Więc jeżeli można kochać aż tak, że z tej miłości gotów człowiek popełnić zbrodnię, można się ważyć i na inne szaleństwa. Teraz wiem, co czuł Paweł. Postaram się jemu pomóc.

- Czy to nie będzie beznadziejna walka?

- W sanatorium trochę go wyleczyli. Oczywiście, najgroźniejsze są recydywy. Chodzi o to, by go powstrzymać za wszelką cenę, żeby nie sięgnął znów po morfinę albo nie wpadł w alkoholizm, co często w takich wypadkach się zdarza. Miałam kiedyś kolegę, lekarza. To był bardzo nieszczęśliwy człowiek. Na polowaniu zdarzył mu się tragiczny wypadek: zastrzelił swoją żonę. Ożenił się po raz drugi, ta druga popełniła samobójstwo, nie mogła znieść napadów szału, jakie miewał, kiedy przypominał sobie tamtą historię. Wpadł w nałóg. Ale w końcu znalazła się kobieta, która poświęciła dla niego swoje życie. Była tak cierpliwa i tak wiele miała dla niego uczucia, że dziś to zupełnie normalny, zdrowy człowiek.

- Możliwe. Wszystko w życiu bywa możliwe, w każdym razie to, co dotyczy stosunków między ludźmi. Ale jeszcze jedno. Powiedzmy, pani poświęci się. Powiedzmy, stworzy mu pani przyjazną, życzliwą domową atmosferę. Czy mu to wystarczy? Przecież... przecież pani chyba jeszcze kocha Donata? Nie wyobrażam sobie, żeby nagle taka wielka miłość, jak sama pani mówiła, przestała istnieć. Tak zupełnie... bez śladu?

- A czy można zabić człowieka jednym ciosem? Można. Prawda, że można? Można za jednym, silnym zamachem odrąbać mu rękę, nogę. Uczucie to część człowieka. I tę część można także niszczyć od razu i bez reszty. Ból, który po tym

odczuwamy, to już taki ból jak po stracie ręki czy nogi. Pan wie, ludziom, którym amputowano, powiedzmy, rękę albo dłoń, wydaje się, że ta ręka ich boli. Złudzenie. Kiedy ktoś w nas zabija miłość, wydaje się nam, że ten ból to wciąż jeszcze miłość, a to już tylko pustka. Ta pustka, ta strata nas boli. Miłości już nie ma, nie istnieje. Donat umie decydować się szybko. Zabił we mnie wszystko, co do niego czułam: i przywiązanie, i szacunek, zrobił to błyskawicznie.

- Ale dlaczego? W jaki sposób? Czy przez to, że uwierzył w oskarżenie Branda?

- On pierwszy mnie oskarżył, jeszcze zanim Brane zjawił się w szpitalu. A skoro on dał do zrozumienia, że przekonany jest o mojej winie, tym łatwiej wszyscy uwierzyli w nią. „Jakże to, sam Donat z miejsca pokazał na nią palcem - pomyśleli wszyscy - on chyba wie najlepiej, zna ją, był przez trzy lata jej kochankiem, zdaje sobie sprawę z tego, na co ją stać.” Potem już, zasugerowany, każdy z tego, co o mnie i o tamtej nocy wiedział, wybierał to tylko, co potwierdzało podejrzenie Donata. Czy nie tak? Niech pan sobie przypomni zeznania świadków, zeznania lekarzy, pielęgniarek, salowych, pacjentów. A ja... Mogłam myśleć różne rzeczy, to prawda. Ale wiem, że nigdy bym się nie zdobyła na to, o co zostałam oskarżona. Pan mi uwierzył, pan, człowiek znający mnie tak mało. A on, on, który mnie tak znał, powiedział: „Zabiłaś”. On mi nie wierzył. Brak wiary w ludzi niszczy w nich zaufanie we własne siły, czyni niezdolnymi do działania. Niewiara w człowieka, pojedynczego człowieka, to zabijanie go od środka. Bo życie polega na działaniu. Rozumie mnie pan? Czy pan rozumie teraz, dlaczego mogę śmiało powiedzieć: nie, nic już nie czuję do tego człowieka?

Żarnowiec w milczeniu skłonił głowę.

Rozmowa z Łucją odbyła się w końcu czerwca. Minęły dwa miesiące, w czasie których Żarnowiec niejednokrotnie powracał do niej myślą. Powracał po to, by łatwiej przywołać w wyobraźni obraz szczupłej, bladej twarzy kobiecej, na której troska wyźłobiła zawył wzór złożony z bruzd i zmarszczek. Chciałby ją widzieć znów, zagłębioną w niewygodnym,

kulawym fotelu, ustawionym na skos biurka, pod ścianą. Wmawiał sobie, że powoduje nim życzliwa ciekawość: jak też sobie radzi? Jak ułożyła sobie życie? Ze zgrozą pomyślał pewnego dnia, że najbardziej ucieszyłby się, gdyby się okazało, że warszawskie rachuby Łucji zawiodły i że wraca do Nowoborów. Nie przeszkadzałoby mu chyba nawet, jeżeli by to uczyniła przekonawszy się, iż nie może wytrzymać z dala od Donata. Wystarczyłoby mu, gdyby przyszła od czasu do czasu, usiadła w starym fotelu i splatając swoim odruchowym gestem palce, uśmiechała się leciutko, samymi kącikami warg o ciepłym i delikatnym kolorze kwiatów begonii...Do licha - zganiał się - zakochałem się w niej czy co? Pięćdziesiąt pięć lat człowiekowi stuknęło, a takie głupstwa po głowie chodzą!”

Łucja nie podejrzewała nawet, że zburzyła spokój starego odludka niespodziewanym wtargnięciem w jego samotne życie. Od czasu do czasu przysyłała krótką wiadomość o sobie. Tego rana Żarnowiec otrzymał od niej dość obszerny list. W nawale zajęć przejrzał go pobieżnie. Teraz sięgnął po wąską kremową kopertę i czytał uważnie. Łucja pisała:

„Niepokoił się Pan o mnie, jak dam sobie radę po moich wszystkich przejściach. Naprawdę, mam więcej szczęścia, niż sobie na to zasłużyłam. Spotkałam niedawno mojego profesora, tego samego, który występował jako rzeczoznawca. Oczywiście najpierw strasznie na mnie krzyczał i kazał sobie przysięgać, że żadnych głupstw już w życiu nie będę robić. Potem się uspokoił, mruczał jeszcze jak rozeźlony niedźwiedź, ale w końcu wypalił: może by pani raczyła przyjąć zagraniczne stypendium? Uśmiełam się, podziękowałam pięknie, ale powiedziałam, że nie reflektuję. Nie jestem pewna, co znów zaczęłyby wyprawiać Paweł, gdybym wyjechała na pół roku, teraz zaś jego stan jest zupełnie zadowolający. Profesor znów pomruczał i powiada: «No to jednego z moich asystentów wyślę, szkoda, żeby się stypendium zmarnowało, a koleżankę wezmę na jego miejsce». O zgodę wcale mnie nie pytał, ani mu to w głowie. A mnie w mojej przychodni rejonowej, choć biednie, ale dobrze. Nie bardzo mi się chce pchać do «eleganckiego świata», za wiele intryg, zawiści i innych

możliwości ujawniania wszelkich brzydkich stron ludzkiej natury. Nie wiem, jeszcze porozmyślał. A jak Pan radzi? Z Moniką znów kłopoty. Po raz trzeci zmienia kierunek studiów i kocha się w chłopaku, który rzekomo zamierza dla niej rozwieść się ze swoją trzecią żoną. Jest on malarzo-pisarzem, czy też pisarzo-malarzem, maluje abstrakcyjne obrazy, z - których ja nic nie rozumiem, bo jestem staroświecka. Utrzymuje się jednak z malowania pocztówek, na których wśród róż całują się dwa gołąbki przeplecione złożoną wstążeczką z napisem «Z powinszowaniem Imienin». Jak tam powódź? Czy narobiła wiele szkód w okolicy, bo czytałam w prasie, że nasza poczciwa rzeczulka przypomniała sobie burzliwe młodzieńcze latka? Proszę napisać kilka słów. Serdeczne pozdrowienia dla Pana i Nowoborów...”

Nie dokończył czytania. Przy drzwiach wejściowych rozległ się dzwonek. Żarnowiec odłożył list na biurko i niechętnie poszedł otworzyć. To ciepłe, sierpniowe popołudnie przeznaczone było dla Łucji. A tu zjawia się ktoś, tak zbędny jak trzecia osoba przy spotkaniu zakochanych.

- Czy można? Nie przeszkadzam? - W drzwiach stał Donat.

- Ależ proszę bardzo, jestem sam - Żarnowiec zapraszał gościa, by wszedł.

- Tak też sobie pomyślałem, widziałem twoją siostrę na rynku z młodym wojskowym. To jej syn, nieprawda? Podobny do niej.

Usiedli. Donat ulokował się w fotelu, który Żarnowiec w nryślach nazywał „fotelem Łucji”. Był o to trochę zły. Donat usiłował jak gdyby zająć jej miejsce. Ci dwoje, którzy się rozeszli, schodzili się w życiu Żarnowca, w jego mieszkaniu i jego myślach, w rozmowach, które prowadził z każdym z osobna, podczas gdy drugie z nich, pozostając w oddaleniu, nie wymieniane nawet słowem, patronowało owemu zbliżeniu i wchodzeniu Żarnowca w ich życie.

Żarnowiec - pomyślał sobie jeszcze raz, jak myślał zawsze już teraz, kiedy spotykał się z Donatem, że stosunek, jaki ich obecnie łączy, stanowi jedną z jego najdziwniejszych życiowych przygód. Nie była to ani szczególna zażyłość, ani przyjaźń, wymagająca szczerości i oddania. Dominowała

prawdopodobnie ciekawość. Obaj byli ciekawi. Kiedyś, przed katastrofą, bardzo się nawzajem nie lubili. Po katastrofie przysła sprawa Łucji. Żarnowiec nie mógł jej Donatowi darować. Potem Łucję zwolniono. Żarnowiec obserwował z pewną dozą satysfakcji, jak bardzo cała ta sprawa i jej nieoczekiwany obrót odbiły się na Donacie. O ludziach tak wyglądających mówi się potocznie: „załamał się”. Donat właśnie załamał się. Pryśła jego pewność siebie, znikła chłodna wyniosłość. Kiedy się na niego patrzyło, można było powiedzieć bez ryzyka popełnienia omyłki: człowiek zgorzkniały, zawiedziony, cierpiący.

W okresie powodzi i dramatycznych zniw Żarnowiec został zaskoczony. Pewnego dnia zjawił się Donat. Mówił trochę niedbale, z ironicznym uśmiechem:

- Mógłbym się przydać, jeżeli potrzeba. Mam właśnie urlop, a do Sopotu się nie wybieram.

Montowano wówczas ratunkowe ekipy. Donat nie cofał się przed żadną pracą. Wyglądało na to, że zapamiętał i rozpaczliwie próbuje fizycznym wysiłkiem i zmęczeniem zagłuszyć w sobie wewnętrzne rozdrażnienie. Sypał z żołnierzami wały, robił dzieciom zastrzyki, odkażał z grupami sanitarnymi studnie, ratował chłopskie poduchy i wyprowadzał z obór ryczące krowy. W wodzie po pas ściągał z pól gnijące snopki.

- Skąd wy to tak umiecie, doktorze? - zażartował któregoś dnia Żarnowiec, przesiadający się co raz z wozu do łodzi, z łodzi na amfibię.

- A ja ze wsi, moiściewy - zadrwił Donat z ponurym wyrazem twarzy - wiejski chłopak.

Od tego się zaczęło. Rozgadali się. Wieczorami na prowizorycznych noclegach i biwakach, wśród lamentujących kobiet, ryczącego rozpaczliwie bydła i płaczących dzieci pili kubkami gorącą zupę z żołnierskiego kotła. Nawet nie spostrzegli się, kiedy zaczęli mówić sobie po imieniu. Potem Donat wrócił do szpitala. Żarnowiec sądził: zażyłość skończyła się, pan doktor znów zaszyje się w swojej „twierdzy”.

Któregoś jednak wieczora, podobnie jak dziś, Donat zadzwonił do drzwi mieszkania Żarnowca. Obaj byli nieco zmieszani i skrepowani. Tak spotykają się ludzie, których złączył w niezwykłych okolicznościach przypadek. Na codzień, po cywilnemu, trudno się dogadać, bo o czym właściwie mają mówić? Kręgi ich przeżyć osobistych nie pokrywają się, nie przecinają w żadnym punkcie, jak orbity dalekich planet. Jak długo można opowiadać sobie o sprawach i powszednich trudnościach miasta oraz o nadzwyczaj interesujących przypadkach chorobowych w szpitalu? Często zalegało między nimi niezręczne milczenie. Może dlatego, że nie padło ani jedno słowo o sprawie, która bliska była im obu: o nie tak dawno zakończonym procesie Łucji, o Jantarze i o samej Łucji. Jak gdyby zmówili się, że o wszystkim tym będą milczeć. Pierwszy jednak nie wytrzymał Żarnowiec:

- Jednego to ci nigdy nie zapomnę.

Długie, sprężyste strugi deszczu uderzały w okienne szyby - Nad miastem zawisło ciężkie, szare niebo, jakby wykute z jednej skalnej bryły. Martwa, grząska drętwota dławiała i przyrodę, i ludzi. Tym bardziej się ją odczuwało, że kalendarz mówił o lecie. Oczy Donata też wyglądały jak oczy martwego człowieka. Nie było w nich ani blasku, ani życia. Może tylko wielkie zmęczenie i lęk. Wiedział, o co chodzi, ale zdawało się, że nie ma siły, by powstrzymać Żarnowca od mówienia. A Żarnowiec mówił, bo czuł, że musi to powiedzieć, patrząc prosto w zaleknione oczy Juliana:

- Że tak się obszedłeś z Łucją. Tak nie wolno krzywdzić człowieka.

Julian nie chciał się poddać, bronił się atakując:

- A czy ty nie skrzywdziłeś nikogo w życiu, będąc przekonany, że musisz tak postąpić z racji swoich przekonań, w ich obronie?

Żarnowiec zastanawiał się. Donat przyjął to milczenie za przyznanie mu słuszności. Wyrzucał z siebie słowa gorączkowo, niecierpliwie, tak jak się spycha z grzbietu gniotący go od dawna ciężar:

- Ja wtedy widziałem, co się z nią działo. Przecież ją znam. Zawsze wiem, co myśli, mogę przewidzieć zawsze, co zrobi, jak

zrobi. Łucja jest bardzo nie zrównoważona, miała ciężkie przejścia, prawda. Ale powiem szczerze: dużo w tym hysterii. Widziałem jej oczy, kiedy patrzyła na Irenę. Kobiety często bywają nieobliczalne, nie umieją przewidzieć skutków swoich czynów, mają słabo rozwiniętą wyobraźnię. Bałem się. Tak, bałem się wtedy o nie obie. Czulem, że Łucja może się zdecydować na wszystko. Tak, tak, na wszystko. Więc kiedy to się stało... i kiedy Monika mi powtórzyła słowa Łucji... Jak mogłem myśleć inaczej? Postąpić inaczej? W naszym zawodzie...

- Och - przerwał mu z gniewem Żarnowiec - czy to nie przesada z tym „waszym zawodem”? Mówicie o specjalnych wymaganiach w gruncie rzeczy po to, by uzyskać specjalne prawa. Wiem, co powiesz. „Odpowiedzialność”. Ale lekarze to tacy sami ludzie, jak inni, oddychają tym samym powietrzem co reszta społeczeństwa, znajdują się pod tym samym... jak by to powiedzieć... Pod tym samym ciśnieniem moralnym” Tak jak istnieje ciśnienie atmosferyczne, istnieje i moralne. Ja to tak w każdym razie nazywam. Nacisk, układ stosunków moralnych w społeczeństwie oddziałują jednakowo na wszystkich. I na lekarzy też. Dlaczego więc mają oni być jacyś inni, wyjątkowi?

- I nie są inni. Masz rację - w głosie Donata znać było podniecenie i zawziętość. - Ale powinni być. Dzieją się w naszym społeczeństwie różne niedobre rzeczy. Ale chyba przyznasz, że to różnica, mój drogi, czy weźmie łopówkę zdun ze spółdzielni za sprawniejsze zreperowanie dymiącego pieca, czy lekarz za uratowanie ludzkiego życia. Nie darmo wiedza medyczna, umiejętność leczenia ludzi, choćby najprymitywniejsza, stanowiła zawsze albo przywilej kapłanów, albo podnosiła leczących do rangi czarowników. Wiedza lekarska daje zbyt potężną władzę jednemu człowiekowi nad życiem drugiego, albo inaczej jednemu człowiekowi nad życiem wielu innych ludzi, abyśmy mogli pozwolić sobie na matczyną wyrozumiałość i pobłażliwość wobec tych, którzy nią rozporządzają.

- Czegóż więc chcesz? Czego się domagasz? Zapisania lekarzy do zakonu, specjalnego prawodawstwa dla nich czy co? Brniesz w jakiś idealizm. To prawda, zdarzają się w środowisku lekarskim różne brzydkie historie. Nadużycia, groszorbstwo, bezduszność. Ale mamy setki, tysiące ofiarnych, bezinteresownych, zahartowanych lekarzy, którym na dodatek mało płacimy, bo na więcej nas nie stać, jak na razie. Nie wymagaj od nich świętobliwości.

- Nie chodzi o zakon ani o świętobliwość - Donat czuł wzmagającą się w nim przekorę. - Specjalne prawa, mówisz... Być może. Być może, że specjalne prawa, nakazy i zakazy. Współczesna wiedza medyczna coraz większą wagę przywiązuje do czynników psychicznych. To nie idealizm, to tylko pogłębienie wiedzy o ludzkim organizmie. Jednym z takich czynników jest zaufanie chorego do lekarza. Wiesz, skarżyli mi się młodzi lekarze, że pacjenci, wychodząc od nich, nieraz już w poczekalni drą dane im recepty. Prosto zaś z przychodni biegną do znachora lub sąsiadki, by słuchać ich rad. Do przychodni wybrali się tylko po zwolnienie lekarskie albo z ciekawości. Nie mają zaufania do lekarza. Obserwują go podejrzliwie, uparcie. I otóż: nie wolno nam robić nic, co by tę podejrzliwość utwierdzało, co pogłębiłoby brak zaufania. Bo to tak, jak by robotnik w fabryce psuł maszynę, służącą mu do pracy. I dlatego ja nie przestanę mówić o odpowiedzialności, chociaż niejeden uważa, że mam bzika. I dlatego, rozumiesz, dlatego ja wtedy nie zawahałem się ani jednej minuty. Chociaż czułem, że» cały szpital wali mi się na głowę.

- Aż do takiego stopnia miałeś pewność, że to Łucja? Nie dopuszczalesz żadnej wątpliwości?

- Miałem taki moment. Pomyślałem: a jeżeli to nieprawda? Ta wątpliwość też mnie nie powstrzymała. Istniała jedna szansa na sto, że się mylę. Lepiej, żebym się pomylił i skrzywdził Łucję, aniżeliby miał ktoś inny, z zewnątrz, a nie ja, odpowiedzialny za szpital, ujawnić zbrodnię i wskazać sprawcę...

- Zdumiewasz mnie, naprawdę - Żarnowca ogarnęło nagle rozbawienie. Donatowi wydawało się nawet, że przeciwnik z

niego szydzi. - Postępujesz zupełnie odmiennie niż twoi koledzy, którzy raczej skłaniają się do tuszowania różnych niemiłych zdarzeń w świecie lekarskim, bo to „prestż podrywa”. Oni dbają o to samo co ty, ale ty całkowicie inaczej.

- Wiem, że jestem odosobniony.

- Tym gorzej dla twoich zapatrywań. A swoją drogą, z ciebie kawał fanatyka, co się zowie. Twoje nieprzejednanie trąci demagogią, wiesz? A zawsze mi zarzucałeś, że jestem dla ludzi zbyt wymagający i niewyrozumiały. Dochodzę do wniosku, że nie ma gorliwszych tyranów niż liberałowie, kiedy wchodzą w grę istotne sprawy ich środowiska.

- No wiesz... - Donat czuł się najwyraźniej urażony.

- I w ten sposób ty, człowiek, jak to się mówi, „prawy”, działając w absolutnie szlachetnym zamiarze, dochodzisz do tego, że krzywdzisz człowieka, czyli wyrządzasz zło. Bo w ogóle ludzie przeważnie nie są ani całkiem źli, ani całkiem dobrzy. I nie to jest ważne w życiu społecznym, w ostatecznym rachunku ważne jest, jacy są dla innych. Nie odpowiedziałem ci na pytanie, które mi na początku zadałeś. Pytałeś, czy mnie się nie zdarzyło skrzywdzić człowieka w imię moich racji. Odpowiem ci teraz tak, zdarzyło mi się. I doświadczenie, gorzkie doświadczenie nauczyło mnie, że nic dobrego z tego dla mojej, racji nie wynika. Moja racja może być warta wszelkich poświęceń, aż do oddania dla jej dobra życia włącznie. Ale w moim pojęciu nie istnieje taka racja na świecie, która nie wykruszyłaby się przy faszerowaniu jej ludzką krzywdą.

Ktoś przerwał im wtedy ten zażarty spór. Rozeszli się nie przekonani nawzajem. Mimo to spotykali się nadal.

To łagodne i ciche sierpniowe popołudnie nie sprzyjało jednak krótkim spięciom. Donat siedział milczący, w palcach obracał zerwaną gdzieś po drodze małą gałązkę jarzębiny. Wśród pierzastych liści barwił się wesołą czerwienią pęk matowych kulek, podobnych do koralii. Żarnowiec obserwował go spod oka.

- Zrobić ci kawy? - zapytał, by przerwać milczenie.

- Napiję się chętnie - w głosie Donata wyczuwało się roztargnienie. Jak gdyby myślał zupełnie o czymś innym, wcale

nie o kawie, nie o Żarnowcu, do którego przyszedł, i nie o sierpniowym, sobotnim popołudniu, słodkavo-gorzkim jak późny miód, zebrany przez pszczoły na wrzosowisku.

Żarnowiec pomyślał przelotnie: „Młodszy o tyle lat ode mnie, a wygląda chyba tak staro jak ja”.

Gdy wrócił z kuchni z dwiema filiżankami kawy, zastał Donata nadal siedzącego na fotelu, lecz lekko przechylnego do przodu - jak by wrywał się siłą komuś, kto przytrzymuje go na miejscu - i wpatzonego nieruchomym wzrokiem w rozłożony na biurku Żarnowca list Łucji. Żarnowcowi zrobiło się głupio: Julian może pomyśleć, że to naumyślnie, jemu na złość.

- List od Łucji? To list od Łucji, prawda? - zdławiony szept brzmiał, jak gdyby Donat miał chrypkę.

Żarnowiec skinął potwierdzająco głową. Ustawił filiżanki. Dla Donata na małym stoliku, zawalonym gazetami i książkami, dla siebie na biurku pełnym tekturowych teczek i papierów.

- To ona do ciebie pisze? Koresponduje z tobą? - gorączkował się Donat.

- Pisze - odpowiedział Żarnowiec siłąc się na spokój. Cóż to, Donat sceny zazdrości mu robi? Jakim prawem? Ujął delikatnie w dwa palce rozłożony papier listowy, wypełniony równym, trochę ostrym pismem, i wyciągnął rękę w kierunku Donata gestem mówiącym: „Proszę. Możesz przeczytać. Nie mamy z Łucją żadnych tajemnic. Wyobraźmy sobie obaj na chwilę, że to nie skrawek papieru, list Łucji, ale ona sama. Nie zabieram ci jej. Sięgnij po nią, jeżeli możesz. Jeżeli uważasz, że masz prawo. Mnie wystarcza list. A tobie?”

Donat jednak nie przyjął listu. Nawet nie poruszył ramieniem.

- Nie - odpowiedział cicho - nie. Nie chcę wiedzieć, co do ciebie pisze Łucja. Ja i tak wiem. Wszystko wiem. Byłem w Warszawie. Chciałem ją widzieć. Musiałem ją zobaczyć, rozumiesz? Ale ona powiedziała: „Nie trzeba”. Wypytywałem o nią kolegów, znajomych. Dużo mi o niej mówili.

Żarnowiec złożył list, wsunął go do koperty i schował w szufladzie. Koniec sprawy Łucji. Donat skulił się. Jego szerokie plecy pochyliły się. Obie wielkie dłonie, zwinięte w pięści, leżały

bezwładnie na blacie stolika. Sprawiały przygnębiające wrażenie swoją bezsilnością przy pozorach fizycznej siły. Przypominały przydrożne polne kamienie, które odrzuca się na bok, orząc ziemię.

- Słuchaj... To wszystko nie tak, jak ci kiedyś mówiłem, pamiętasz...? Ja tak mówiłem, bo wciąż szukałem dla siebie usprawiedliwienia. I znaleźć nie mogłem. Więc już przestałem szukać, bo wiem, że nie znajdę. Ja wtedy po prostu oszalałem. To była pycha. Moja pycha. Pokazać, jaki jestem. Że mnie, chociaż tak ją kochałem, stać na to, żeby ją oskarżyć... Skrzywdziłem Łucję, ale i siebie. Siebie bardziej. Bo właściwie... kończę się. Ot co.

- Człowiek nawet nie wie, ile potrafi znieść - powiedział łagodnie Żarnowiec - tak samo, jak nie wie nikt, na co go stać. Wiesz, czym się zajmowałem, zanim tu przyszedłeś?

Trzeba koniecznie zmienić temat rozmowy. Roztrząsanie sprawy Łucji do niczego już nie doprowadzi. Ale i Donat już się opanował. W obie dłonie ujął filiżankę, żeby jej nie upuścić, bo drżały mu palce, i łąpczywie pił wystygłą kawę.

- Przeglądałem moje wycinki o Nowoborach. O tej katastrofie, o akcji ratunkowej. I myślałem sobie o naszych ludziach. O tobie też. Właściwie mamy wspaniałych ludzi i tak mało o tym sami wiemy. Mówimy o nich często jakby z zawstydzeniem, pokątnie, czasami z niedowierzaniem. Dużo jest siły w ludziach, dużo dobroci, bezinteresowności, chociaż tak, na codzień, wydaje się, że są słabi, źli i zawistni, że ugrzęźli w sobiepaństwie, samowoli, egoizmie... I to prawda, są tacy, bywają tacy. A jednocześnie umieją zadziwić taką spontaniczną, samorzutną, bezinteresowną solidarnością, jaką pokazali tamtej nocy i podczas następnych dni. Niektórzy biadają, że zanika instynkt społeczny. Przekonałem się wtedy, że to nieprawda. Nie zawsze tylko istnieją warunki dla jego pełnego ujawniania się. Myślałem sobie po tamtej nocy: jak by to było pięknie, gdyby wszyscy pozostali takimi, jakimi widziało się ich wtedy. O ileż łatwiejsze stałoby się nasze życie...

Donat skrzywił się sceptycznie:

- Sam mówisz zawsze: ludzie jak ludzie. Zdawało mi się, że się godzisz z ułomnością ludzkiej natury. A ty pewnie w cichości ducha spodziewałeś się jednak, że po tamtej całej sprawie nasi nowoborzanie nagle staną się aniołami?

Żarnowiec uśmiechnął się: trochę smutnie i trochę wyrozumiale. Ze swoją kwadratową twarzą i sennymi, brązowymi oczyma o opuszczonych ku dołowi kącikach, mógłby stanowić wcielenie poczciwości i prostodusznej ufności. Ale Julian Donat niejednokrotnie śledził grę tej twarzy. Wiedział, że kiedy się nie uśmiecha, fałdy wokół ust nadają jej twardy wyraz gorzkiego rozczarowania, a zmrużone oczy patrzą wtedy podejrzliwie i nieufnie. Żarnowiec uśmiechnął się, zniecierpliwiony, że Donat nie potrafi czy też nie chce go rozumieć:

- Wcale tak nie sądziłem. Znam tych ludzi. I powiem ci: to właśnie jest w nich najbardziej ludzkie. Że tacy są, jak są - jak to powiedziałeś, ułomni - a jednocześnie, i mimo to, zdolni do różnych poświęceń, do bohaterstwa, do miłosierdzia. Wiem, niemodne to słowo, skompromitowane przez zakłamanie panusie, ale szkoda, że tak jest. To bardzo piękna ludzka cecha. Aniołami... powiedziałaś „aniołami”. Aniołami ludzie staną się może... kiedyś. W miarę jak coraz mniej będą mieli okazji do paskudzenia się, a coraz więcej do ujawniania swoich cnót i zalet. Nie przy pomocy zbiorowych katastrof, oczywiście. Nikt nie podziwia aniołów za to, że nie grzeszą i że spełniają same dobre uczynki. A ludzi trzeba za to podziwiać. I trzeba w ludzi wierzyć. To powiedziała mi Łucja. Powiedziała: nie wierzyć w ludzi to tak, jak by ich zabijać.

Donat opuścił nisko głowę. Po chwili jednak ożywił się. Powiódł oczyma po pokoju. Za biurkiem stały dwie półki z książkami różnej treści, poukładanymi byle jak.

- Czy masz Tuwima?

- Mam. Bo co?

- To daj. Nie ten pierwszy, drugi tom. Żarnowiec sięgnął po tom w żółtej, płóciennej oprawie i podał Julianowi.

- Coś ci przeczytam. Możesz to sobie przepisać i wkleić do tego swojego albumu z wycinkami. Posłuchaj:

My - ze wszystkimi naszymi błędami,
Tu z jakąś wina, a ówdzie i z grzechem,
My, twardzi, szorstcy, nieprzejednani,
Z zaciśniętymi kamiennie pięściami -
Ach, mimo wszystko jesteście uśmiechem,
Ziemi majowej szczęśliwym oddechem...
Słońcem młodzieńczym na świeżej polanie,
Świtem, pachnącym igliwem leśnym,
Ust niecierpliwych słodkim pośpiechem -
- Oto, kto my jesteście.

Żarnowiec znał ten wiersz. Mimo to słuchał go, jak gdyby pierwszy raz przemówiła do niego tuwimowska strofa, a może teraz dopiero docierał do niego jej sens. Pociągnęło go nagle do ludzi. Donat czytał dalej, ale on wstał cicho i podszedł do okna. Nie zauważyli, rozmawiając, że słoneczne barwy na dworze zaczęły już gęstnieć, słońce zaszło za wzgórza i widać było już tylko jego rąbek, czerwony jak jagody jarzębiny, porzucone przez Donata obok filiżanki nie dopitej kawy. Nie opodał mieściło się kino. Właśnie skończył się seans, grano francuski film „Siedem grzechów głównych”. Nowoborzanie widocznie bardzo byli ciekawi owych siedmiu grzechów głównych, gdyż tłum, wychodzący z kina, zajął całą długość i szerokość uliczki. Żarnowiec dostrzegł wiele znajomych twarzy.

Oto toczy się doktor Kora z prokuratorem Brandem. Kora rozprawia o czymś z ożywieniem; gdy zbliżają się do okna, w którym stoi Żarnowiec, dobiegają do niego słowa:

-...i trzy blotki pik. Groszek. I z taką kartą on mówi bez atu. Rozumie pan, Cztery bez atu. Legenda była oczywiście, jak stąd do Ferbelina.

Weszli w bramę naprzeciwko. Widocznie na sobotniego brydża, dziś u prokuratora Branda, bo on właśnie mieszka w tym domu.

Głos Donata wznosi się, opiera na średniówce wiersza i ześlizguje z niej, opada, kołysze lekko, łagodnie w sierpniowym zmroku, chociaż poeta wspomina wiosnę.

Teraz po przeciwnej stronie ulicy idzie kulejąc Marek Lenda. Trzyma pod rękę Florę, uśmiechają się do siebie, Marek prowadzi żonę uważnie, ona zaś stąpa ostrożnie, jak gdyby bała się potknąć. Faldy szerokiej sukienki opadają luźno wzdłuż jej postaci. Dogania ich warkot motoru. Ocierając się niemal kołami o krawężnik, sunie wolno zielona taksówka. Henryk Łoza wychyla się z jej okienka i daje znać ręką, że jedzie w stronę domu, że może ich podwieźć. Wsiadają, przekomarzają się wesoło. Trzaskają drzwiczki wozu. Pojechali.

Donat czyta:

*I takich właśnie - błądzących często,
Gniewnych, zaciekłych w Ostatnim Boju,
Tu z błędem smutnym, tam z winą ciężką,
Trudnych, surowych, ugrzęzłych w znoju...*

Żarnowiec myśli: „O kim to? O kim on tak? O mnie?

O Marku? O Henryku Łozie? Florze? A może o nas wszystkich, o każdym z nas? Nie znał przecież nikogo z nas, a tak wiedział, jacy jesteśmy...”

Głos Donata nie kołysze już łagodnie, jest prawie surowy, uroczysty:

Takich nas wspomni wieczne Zwycięstwo,
Wspomną stulecia szczęścia, pokoju -
Ale tak wspomną, jak się wspomina
Ziemi majowej tchnienie szczęśliwe...

A oto nadchodzi wesołe towarzystwo. Antoni Firmin i Janusz Zawilski prowadzą eleganckie, bardzo ładne dziewczyny. Zawilski przesunął się nieco wyżej w hierarchii szpitalnej po pamiętnych wydarzeniach styczniowych i uznał, że towarzystwo Janki, skromnej urzędniczki, nie jest już dla niego odpowiednie. Jedna z dziewcząt należy do wyższego światka Nowoborów, jest córką miejscowego architekta i studiuje języki wschodnie. Druga, ładna blondynka o subtelnej, bardzo

polskiej urodzie, to wschodząca gwiazda polskiego ekranu. Widocznie nudzi się na zdjęciach plenerowych, które ekipa filmowa „kręci” w ruinach nowoborskiego zameczku, i urozmaica sobie czas, pozwalając się adorować miejscowej medycynie. Firmin wygląda na bardzo zainteresowanego sztuką filmową.

Donat odłożył książkę, podchodzi do Żarnowca i staje obok niego. Też patrzy na ulicę. Nad dachami zapalają się pierwsze gwiazdy. Zakończenie wiersza zna Julian na pamięć. Widocznie nie po raz pierwszy zajrzał do niedużej książki w żółtej, płóciennej oprawie. Szepcze cicho, tak, że ledwo słyhać, ale Żarnowiec odgaduje słowo po słowie, jak gdyby nie pochodziły z kart książki, lecz tkwiły w nim samym, były jego myślami i tylko nagle odnalazły swój właściwy słowny kształt:

I ten wiersz do Niej... jak się zaczynał?...

Jakoś najtkliwiej i najboleśniej:

„Mglistą, daleką widzę cię we śnie, Moja jedyna...”

- Oto, kto my jesteśmy.

Donatowi wydało się, że z głębi ciemnej już teraz zupełnie ulicy popatrzyły na niego nieco skośne, ciemne oczy Ireny.

Żarnowcowi kobieta, idąca w tłumie środkiem jezdni i prowadząca małego chłopca za rączkę, przypomina pochYLENIEM jasnej głowy i szczupłych ramion żonę zabita w wrześniu, w trzydziestym dziewiątym roku.

Potem obaj pomyśleli o Łucji.

W oknach zapalały się światła. Na Nowobory zza widnokregu zsuwała się noc.

Monice minął już szok. Trochę osłabiona i ogłuszona unosi się na łóżku i rozgląda dookoła. Naprzeciwko niej na wózku leży młody mężczyzna. Rozpoznaje w ciemnej twarzy rysy chłopca, którego śpiew i zachowanie się w autobusie tak ją zgniewały.

Ale jeszcze jakieś wspomnienie kojarzy się z tą twarzą. Monika nie może sobie przypomnieć. Znowu zapada w sen.

